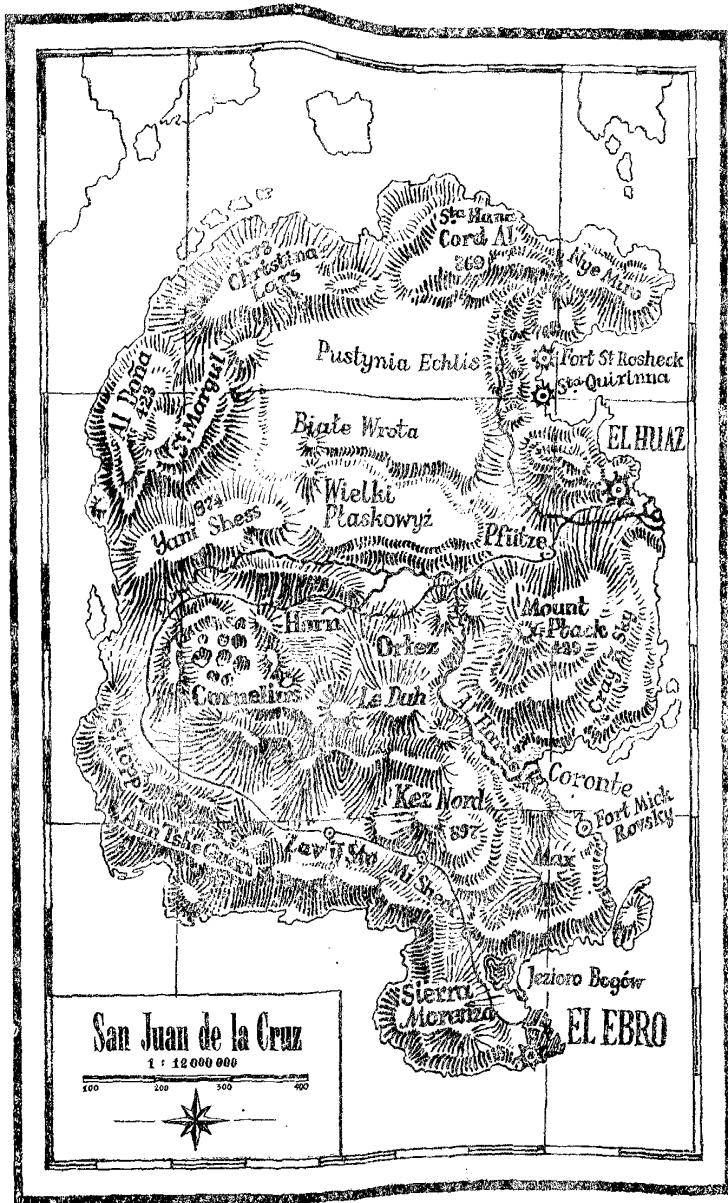

Max Lars

LUDZIE-SKORPIONY

Przygody Joachima El Toro
na wyspach archipelagu San Juan de la Cruz

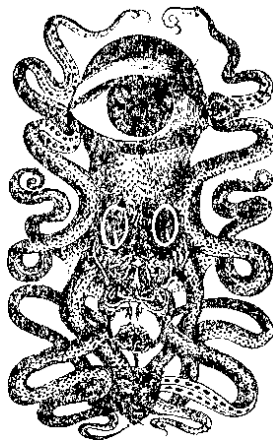




Max Lars

LUDZIE-SKORPIONY

Przygody Joachima El Toro
na wyspach archipelagu
San Juan de la Cruz



Pomorze Bydgoszcz 1989

Projekt okładki i stron tytułowych

Jan Misiek

Ilustracje i przerywniki

Stefan Chwin

Redaktor

Aleksandra Bartkowiak

Redaktor techniczny

Anna Faleńczyk

Korektor

Maria Karska

© Copyright by Max Lars, Bydgoszcz 1989

ISBN 83-7003-119-6

Zdarzenia, o których opowiada ta książka, miały miejsce około 1907 roku, podczas mojego pierwszego pobytu na wyspach archipelagu San Juan de la Cruz — tej perły zamorskich posiadłości Królestwa Hiszpanii w Indiach Zachodnich położonej w samym sercu Morza Karaibskiego. Staralem się je opisać możliwie najwierniej, przyświecała mi bowiem świetna dewiza hrabiego von Bullov — *Prawda to dokładność*, a także nie mniej świetna dewiza barona von Mock — *To prawdziwe, co widzę*, z którymi zgodzi się każdy rozsądnie myślący czytelnik.

Dzięki Zachodnio-Indyjskiej Kompanii Przewozowej Michaelisa Ardena, wielce zasłużonego dla rozwoju handlu z Archipelagiem, każdy, kto pragnie sprawdzić wiarygodność opisów drzew, jaskiń, gór, ptaków, kwiatów, motyli, chrząszczy, mundurów, typów uzbrojenia, imion i nazw zamieszczonych na tych kartach, może to uczynić, korzystając z usług Agencji Żeglugi Zachodniej obsługującej Linie Karaibską. Trójpokła dowy parowiec „Mellisanda” odchodzi do El Ebro z Liverpoolu z nadbrzeża siódmego w każdy czwartek przed dziesiątą (śniadanie, już na pokładzie, podają czarni stewardzi; dla tych, którzy się spóźnią, zarezerwowano motorówkę o dźwięcznym imieniu „Coxis”, która dopędza odpływające okręty w pobliżu przylądka Brasbee, w miejscu, gdzie stara Anglia spotyka się z szarymi falami Oceanu).

Ruszajmy więc w tę podróż. Przed nami Archipelag San Juan de la Cruz (15 stopni szerokości północnej i 65 stopni długości zachodniej) wąwozy i przepaście, pościgi i ucieczki, pułapki i cudowne ocalenia, złotonośne strumienie i tonące w purpurowym słońcu góry Sierra Morena, miłość i nienawiść, okrucieństwo i gniew, dziwne spotkania, sny, zagadkowe obrazy i bolesny smutek milczenia drżący we wnętrzu słów...

A więc naprzód, Duchu Opowieści! Prowadź!

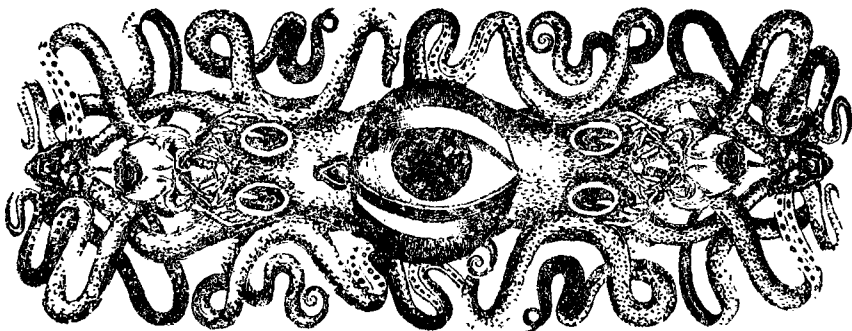
MAX LARS pisane w Liverpoolu 14 julliet 1912

... Nie chcąc Cię łudzić pozorami własnej wszechwiedzy stawilem naturę zdarzeń taką, jaką była. To, co w nich niej pozostawilem niejasne. Dlatego tkanina tej opowieści pul ściemnieniami i zgęszczeniarni barw, niespodziewanymi zerwami i nawrotami, motywy zawiązują się, aby za chwilę urwać i zniknąć... To, co drobne, nagle olbrzymieje jak obraz na a soczewki... To, co olbrzymie, kurczy się jak okruch lodu w ogni Zabawa przechodzi w mroczne Przypomnienie, a prosta Przygoda staje się sondowaniem Ziemi i Dotyku... Wszystko zmienia się w Modulację Doświadczenia migoczącego w głębi zdarzeń niczym rzeka na dnie skalnych pieczar...

Jeśli więc lubisz Ciemność, Nadmiar i Anamorfozę -- Noc i Wzburzenie Snu, przybywaj na Archipelag, korzystając z nie ocenionych usług Kompanii Ardena...

Jeśli zaś Twoje upodobania są inne, szukaj innych Archipelagów...

Max Lars do S.R. w maju 1909 roku



GDZIE JEST GWARDIA?

Okno otworzyło się z brzękiem. Czerwona pelargonia spadła z parapetu i potoczyła się w głąb pokoju. Joachim zerwał się z krzesła — wiatr szarpał żółtą firanką, papiery na stole zaszeleściły i poleciały na podłogę. Z ulicy doleciał gwar, odgłosy miasta, stukotanie, szuranie, łomot. Podszedł do okna. Kurz, żółty pył unosił się wysoko. Tłumy przesuwały się w stronę Rue de Sanditz, nie można było rozróżnić twarzy, z daleka dolatywały pojedyncze okrzyki, na które jednak nikt nie odpowiadał, mrowie ciągnęło wypełniając całą szerokość jezdni. Po drugiej stronie, w oknach, widać było rodzinę Sencourt. Niżej, na balkonach, ulokowali się Lagardowie z dziećmi, a służąca Katarzyna oparta o barierę z kutego żelaza machała do kogoś kolorową chustką. Joachim podbiegł do stołu. W pierwszej chwili chciał podnieść z podłogi białe arkusze, które kupił niedawno u Dijona, księgarza z dzielnicy irlandzkiej — był to świetny papier ze znakiem wodnym Genevius Imieis — tej samej firmy, która dostarczała je do Zachodnich Indii na wydania La Harpe'a, Dertaus i Moutassiego. Ale machnął ręką, chwycił tylko z talerza na stole kawałek gotowanego kurczaka, pozostałość z wczorajszej kolacji, jednym haustem wypił szklankę czerwonego wina (którego dziś — niech tam! — nie mieszał z wodą) i wybiegł z pokoju. Szybko zeskakiwał po kilka stopni. Minął mieszkanie Courtaux, potem ciemne przejście między pokojem samotnika Gavallo a pralnią, z której dolatywał zapach krochmalu. W biegu dostrzegł panią Ruthford, która chyłkiem przenosiła w kwadratowym koszu brudne warzywa, chleb i biały dzbanek ze śmieta-

ną, zdobycze wyżebrane u siostry mieszkającej po drugiej stronie podwórza. Przeskoczył wyrwę w siódmym stopniu, na której położono chybotliwą deskę i wbiegł do bramy. Było tu cicho i ciemno. Krople wody z beczki umieszczonej na rusztowaniu przez murarzy, którzy od wczoraj łatali tynk na suficie, uderzały w blachę opartą o ścianę. Joachim podbiegł do zamkniętych wrót, chwilę mocował się z zardzewiałą klamką.

Światło i gorąco osłępiły go. Zmrużył oczy, tak jaskrawy żar bił z nieba. Stał oszołomiony ruchem, przesuwaniem się, szelestem. Patrzył -- ale nie wiedział, dokąd ma pójść. Dreiser, Radetzky, Wegner, Rosencourt... Goldberg... Przeleciały mu przez głowę imiona. Ale nie był zdecydowany. Rozglądał się więc, patrzył na tłum, na domy, na dachy, nawet na niebo, bo niebo było też zupełnie inne niż zazwyczaj. Nagle usłyszał czyjś podniesiony głos.

— El Toro!

Czyj to był głos? Spojrzał w tłum, ale nie zobaczył żadnej znanej sobie twarzy. Więc może to z któregoś okna? Zadarł głowę, patrzył na kamienicę Sencourtów, potem na gmach poczty, potem — to już przesada! — na kopułę św. Jakuba, na wieżę koszar, na gołębie, które zerwały się nagle ze szczytu dzwonnicy i pofrunęły z trzepotem na drugą stronę kanału, tam gdzie gmach sądu styka się z ponurą budowlą więzienia i komisariatu policji. Ale i tu nikogo nie zobaczył.

— El Toro! El Toro! Tutaj!

A więc znowu ktoś krzyczał do niego! Tym razem Joachim zobaczył. Tak, tam, po drugiej stronie, na żeliwnym postumencie latarni stał Wegner i machał do niego ręką. Joachim podniósł dłoń.

— Wegner! Chodź tutaj!

Zawołał, jak mógł najgłośniejszy, ale tamten pokazywał, że nic nie słyszy, nic nie rozumie i chce, żeby podejść do niego. Niech tam — mruknął Joachim i ruszył w tłum. Przesunął się między Mulatami, którzy szli zwartą grupą trzymając białą chorągiew z czerwonym napisem, wyminął kobiety z irlandzkiej dzielnicy, które niosły ze sobą słomianą kukłę na wysokim kijku powiewającą różnokolorowymi wstążkami, ale zaplątał się wśród robotników z doków, którzy niechętnie ustępowali, krzycząc na każdego, kto wszedł im pod nogi. Ludzka fala zniosła go więc. Zobaczył, że latarnia z Wegnerem zostaje gdzieś z tyłu i z boku, trzeba było iść w inną stronę, wprost na Metysów — brudnych, z resztkami piór we włosach i czerwonym tytoniem w ustach, którzy śpiewali, na

dwa głosy, stare pieśni z Gotautocalpo. Ruszył więc wymijając kobietę z roześmianą dziewczynką, która chciała mu ściągnąć kapelusz. Przesunął się obok starca niosącego przed sobą koszyk jabłek. Dziad jedno z nich wetknął mu w rękę krzyżąc skrzekliwie: chodź z nami! Joachim potrząsnął głową, jakby tłumacząc się, że tak, ale jeszcze nie teraz, bo teraz nie może, ale później — na pewno! Wreszcie wymijając nad podziw zręcznie gapiów, którzy stali na wysokim krawężniku (jeden z nich, wysoki chudzielec, dłubiący w zębach wykałaczką, krzyknął pokazując Joachima: „Zobaczcie, ale wąsy!”), dotarł do Wegnera. Przez chwilę stał przed nim łapczywie chwytając powietrze, potem wyciągnął rękę.

— Co się dzieje? Czy coś z tego rozumiesz?

Krzyczał mu w samo ucho, bo tłum podjął starą, znaną wszystkim pieśń, a stojące najbliżej kobiety dołączyły piskliwym jękiem. Wegner krzyczał również.

— To już.

— Co już?

— No, już. Po prostu już. Stało się.

— To widzę. — Joachim kręcił głową. — Ale co się dzieje gdzie indziej?

— Jak to co? — Wegner wzruszył ramionami. — To samo. Wszędzie jest to samo.

— Ale co? — Joachim musiał usunąć się przed wózkiem warzywnika, na którym wieziono teraz długie żerdzie przypominające narzędzia ogrodnicze. — To samo, to znaczy, co?

— To, co widzisz. Wszędzie idą. Ze wszystkich stron. Od Irlandczyków. Z doków. Z Saint-Pierre. Nawet baby z Hal, zza rzeki. I wszystko to ciągnie tam.

— Tam?

— Tam, tam.

— Na Rue de Sanditz?

— A gdzieżby?

— Niemożliwe...

— Pewnie, że niemożliwe. Ale idą.

Joachim spojrział w głąb ulicy. Nad głowami tłumu chwiały się chorągwie, które kiedyś gdzieś widział już — chyba w kościele św. Jakuba... Tak, tę prostokątną z wymalowanym ciężką ręką obrazem Józefa Cieśli widział w bocznej nawie, za kolumnami, przy konfesjonale z czarnego drzewa hebre, a tamtą, niesioną przez potężnego Mulata z wysoko podgoloną głową, pamiętał z ubiegłorocznej procesji, kiedy to nieostrożni chłopcy w komeżkach zaproszyli ogień wśród drewnianych figur Madonny, Jakuba, Pawła

i Świętych Młodzianków, co wyglądało na działanie celowe ciemnych sił, jak mówiono później w Pałacu.

— Co chcesz dalej zrobić?

Nie dosłyszał pytania Wegnera. Wspiął się teraz wyżej, na stopnie ogrodzenia. Patrzył w głąb ulicy, tam gdzie w żółtym pyłe wypełniającym jaskrawo oświetlone powietrze ginęły zarysy kołyszących się chorągwi, motyk, kilofów, długich gałązek grewe powiewających nad głowami kobiet. Chciał zobaczyć, co dzieje się na samym początku tej rzeki rąk, nóg, głów, spoconych koszul, włosów nasmarowanych tłuszczem z orzecha taure, czarnych, nadłamanych paznokci, ust, oczu... Wszystko to sunęło nieprzerwanie — monotonnie, uparcie, powoli, bez pośpiechu, ociężale.

— Co chcesz dalej zrobić?

Dopiero teraz usłyszał pytanie. Zsunął się niżej, otrzepał ręce oblepione okruchami rdzy. Prawa dłoń była skaleczona, nie czuł bólu. Zdziwił się, że czerwona kropla zdążyła zabrudzić już mankiet koszuli. Przycisnął ją chustką.

— Co ci się stało? — zapytał Wegner.

Ale Joachim nie odpowiedział. Spojrzał teraz w przeciwnym kierunku, w stronę św. Jakuba, tam gdzie tłum wysypywał się zza kamiennego muru przyklasztornego, łącząc się z głównym nurtem pochodu.

— Kogo tam wypatrujesz?

W głosie Wegnera pojawiło się coś ironicznego, ale Joachim tego nie zauważył. Patrzył teraz uważnie na zwężenie ulicy, tuż przy gmachu poczty. Nie było tam tak wielu ludzi jak przy św. Jakubie, ale i tu pojawiały się coraz to nowe grupki lauterów z manufaktury na Zarzeczcu, z warsztatów rusznikarskich de Volneya, z rządowych młynów i Banku Kompanii Północno-Zachodniej. Szli w skórzanych fartuchach, w satynowych ochraniaczach, w płóciennych kitlach, rozpiętych teraz, powiewających przy każdym kroku.

Kogo tam wypatrujesz? — Wegner powtórzył pytanie, ale patrzył już w inną niż Joachim stronę; na młode kobiety, może kwiaciarki z Dzielnicy Ouz, które szły trzymając się pod ręce, roześmiane, bezczelne, w brunatnych spódnicach, z odsłoniętymi ramionami, w sabotach z lipowego drewna. Joachim patrzył jednak gdzie indziej: na żelazne ogrodzenia Domu Miar i Wag, na kamienne obeliski przed pocztą.

— Patrz, ale dziewczyny... — Wegner szarpnął go za ramię.

Joachim nie odpowiadał, pochylił się i zębami zaciągnął węzeł chustki owijającej mu skaleczoną dłoń. Potem spojrział na wieżę św.

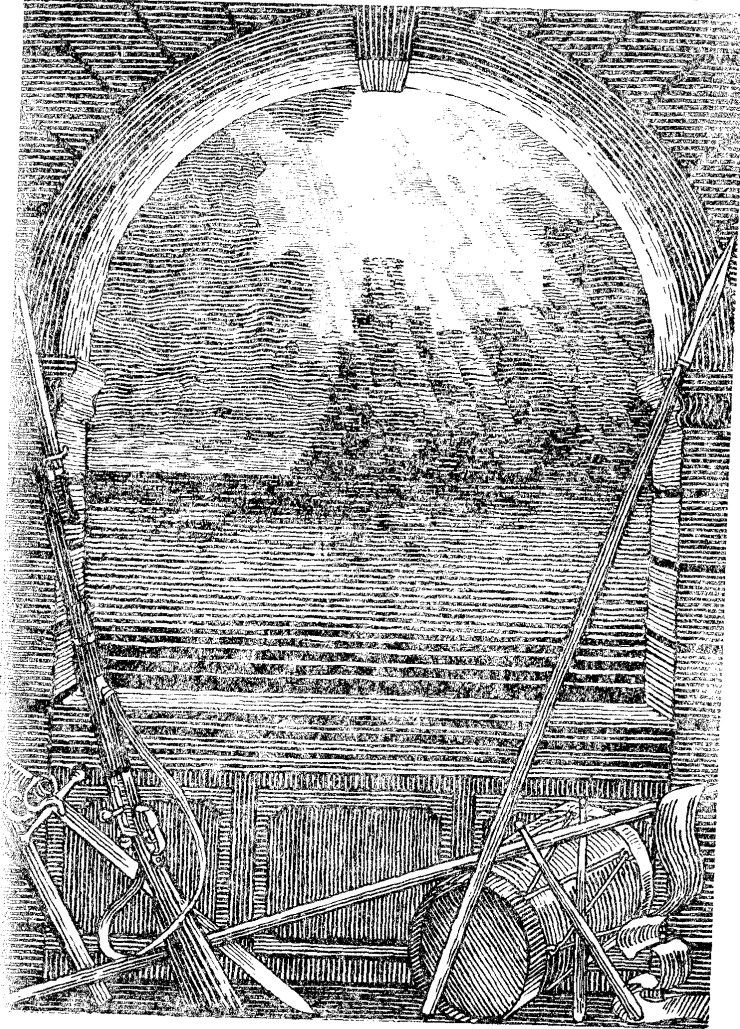
Jakuba, jakby chciał sprawdzić, czy rzeczywiście jest już południe.

— Słuchaj, Wegner, a gdzie jest Gwardia?

— Gwardia?

— Tak, co teraz robi Gwardia?

Wegner nie odrywał wzroku od dziewcząt, które oddalały się znikając za plecami wieśniaków niosących kosze z miękkiej trzci-



ny. Wyciągnął rękę w stronę narożnego domu z figurą anioła na szczycie.

— Co robi? Jest tam...

— Gdzie?

— No tam.

I dopiero teraz Joachim zobaczył: po drugiej stronie, w bocznej ulicy, ocienionej rozłożystymi gałęziami kasztanowca...

Przez moment pomyślał, że to Diego Asturio, porucznik z siódmego pułku artylerii, w którym kiedyś odbywał służbę ojciec. Ale nie, to chyba nie był on. Asturio miał twarz bardziej pociągłą i głębiej osadzone oczy. Ten miał twarz bez wyrazu. Jeździec był nieruchomy, koń tylko chwilami stąpał niespokojnie, powstrzymany natychmiast mocnym szarpnięciem wodzy. W głębi — ale tego Joachim bardziej się domyślał, niż widział — za oficerem stały również inne postacie. Ktoś podawał komuś ogień. Joachim zmrucił oczy i przysłonił je dłonią. Jeździec stojący tuż przy ścianie trzymał w ręku płonąca zapałkę i przysuwał ją do twarzy oficera w czarnym kepi. Ale więcej Joachim nie zdążył zobaczyć. Teraz środkiem jezdni przechodziła grupa ludzi z drewnianymi grabiami i widłami z ciemnego żelaza, pył wznosił się wyżej i zasłonił sylwetki stojące w cieniu kasztanowca.

— Co cię obchodzi Gwardia? — Wegner chyba zauważył jego niepokój. — Świetnie wiesz, że się tego nie da zatrzymać. Zresztą większość ich, to tacy sami, jak ci, co tutaj.

Machnął ręką i zeskoczył z postumentu.

— Chodź, pójdziemy tam — wskazał w stronę Rue do Sanditz, — Chyba widziałem Dreisera. Może to cię ruszy.

Joachim wszedł na jezdnię. Zobaczył przed sobą plecy w żółtawej koszuli — wzdłuż kręgosłupa ciemniała podłużna plama potu. Musiał zwolnić, bo inaczej wpadłby na zwałistego marynarza niosącego skórzaną torbę pełną żelastwa. Tłum nadał jego krokom rytm. Szli teraz z Wegnerem obok ciągle tych samych ludzi, nie było mowy o wyminięciu kogokolwiek. Ludzka rzeka sunęła monotonnie, zabierając ze sobą wszystko. Przeszli koło bramy Banku. Powoli przesunęły się obok nich żelazne sztachety ogrodzenia, które wiele pamiętały z 1789 roku — zaostrzone na końcach jak rzymskie włócznie złożone żerdzie lśniły w słońcu, równiutkie, wypolerowane, widać było, że pieczołowitość Rady Miejskiej zostawiła tu trwałe ślad. Potem zaczynał się mur Ogrodu Vertaux. Joachim chciał przyspieszyć, nie lubił tego miejsca, ale nie było to możliwe. Kobieta, którą potracił, spojrzała pogardliwie.

— Gdzie się pchasz?

Nie odpowiedział, tylko odwrócił głowę. Spojrzał teraz wyżej, na wykusz budynku Rady. Znowu zmrucił oczy: wydawało się mu, że za szybą okna widzi czerwoną postać, ale może to wieża z czerwonej cegły stojąca naprzeciwko odbiła się powykrzywianym refleksem w falistym szkle. Zresztą za chwilą okno było zupełnie martwe: szyby stały się ciemnoniebieskie — jak niebo. Teraz tłum

zwolnił, to już nie był marsz, to było przestępowanie z nogi na nogę, dosuwanie się, zagęszczanie. Gdzieś przed nimi czoło pochodu oparło się na czymś, ruch został powstrzymany. Joachim zobaczył krople potu na karku kobiety. Marynarz otarł czoło granatową chustką. A więc doszli już, byli u celu. Joachim wspiął się na palcach, chciał oprzeć się na Wegnerze, ale tamten, oczekiwał tego samego. Ponad głowa mi, ponad lasem żerdzi, motyk, chorągwi, kwiatów zobaczyli biały zarys Pałacu. Joachim rozpoznał bez trudu jaskrawy mur tympanonu z wyrytym napisem znanym każdemu od dzie cka. Tłum poruszył się, zakolysał, jakby chciał przysunąć się bliżej. Ożył śpiew, a może to tylko okrzyk... Tak, przeciągły okrzyk, który przesunął się stopniowo i zagarniał wszystkich. Potężnym głosem śpiewano starą pieśń. Wegner kręcił się niespokojnie.

— Nic nie widzę. A ty? Widzisz coś?

Joachim wzruszył ramionami.

--- Jak tu będziesz stał, nic nie zobaczysz!

— Znaleźli teatr! — w głosie stojącej obok kobiety była pogarda, a może zawiść i lęk.

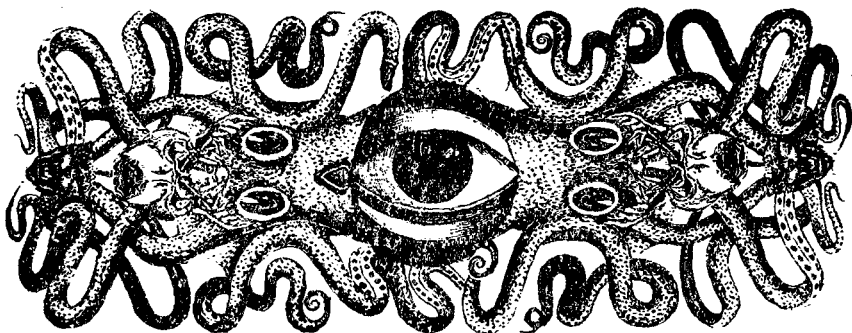
— Chodźmy stąd! --- Wegner pociągnął go za sobą.

Cofali się teraz, wymijając ludzi, którzy na nich nie zwracali najmniejszej uwagi. Wszyscy wyciągali szyje, chcieli być wyżej niż ci, którzy stali przed nimi. Joachim uwolnił łokieć z uścisku Wegnera. Wydostali się z głównego nurtu, ludzi było tu już coraz mniej. Przeszli pod ścianę kamienicy z okrętem nad bramą. Spojrzeli w górę. Wszystkie okna były wypełnione po brzegi — kobiety w jasnych sukniach przysłaniały twarze wachlarzami, ich mężowie stali w głębi pokojów, dzieci wyglądały zza okrągłych ramion ozdabiających parapety.

— Został jeszcze dach. To coś w sam raz dla nas.

— Masz rację, chociaż jesteś draniem, Wegner.

Szybko weszli do środka. Po stromych schodkach dostali się na Strych, wszystko było otwarte. Para obdartusów, dozorca i jego syn wyglądali przez półokrągłe okienko. Przy drugim nie było nikogo. Joachim podszedł tam, odsunął rygiel, uniósł ramę i zaczął ją na żelaznym haczyku. Śpiew dotarł do nich ze zdwojoną siłą. Widzieli teraz wszystko.



TRIUMF I CIERPIENIE HUGO ALTENDORFA

To, co zobaczyli, było zdumiewające. Kolorowy tłum wypełniał całą szerokość ulicy, wlewał się *przez* szeroko otwarte wrota św. Jana na teren rezydencji gubernatora Jose Huerty, pokrywał ścieżki, trawniki i kłomby. Jedyne marmurowe wodotryski uszły z tego potopu — ale i w nich chlapały się dzieci peonów, nagie, brązowe, błyszczące w słońcu jak ulepione z lśniącej gliny. Pałac gubernatora, olśniewająco biały gmach z marmuru, w upalnym słońcu wyglądał jak lodowy tort na oliwkowo zielonym obrusie. Zółto-czerwona chorągiew z lwem, pumą i ptakiem, o którym jedni mówią, że jest orłem, a drudzy, że kukułką, zatknięta na dachu, leniwie rozwijała się w słonym tchnieniu oceanu, by za moment zgasnąć w stojącym upale. Marmurowe schody biegnące w górę i taras nad tympanonem, gdzie umieszczono znany wszystkim skromny napis *Popelniamy błędy, ale nie mylimy się nigdy* były — puste. W otwartych oknach pałacu śnieżnobiałe muślinowe zasłony, przeginając się jak dziewczęta przed wielką sumą w Katedrze św. Jakuba, to wypływały ze środka salonów, to cofały się do wnętrza w przeciągach lustrujących powolnie labirynt korytarzy i amfilad, o których na mieście

mówiono cuda. Kobiety w skórzanych fartuchach, mężczyźni z manufaktur „Miecz i Siła” oraz „Lokomotywa zdobywca”, czarni jak krew byka Murzyni, Metysi, Mulaci siadali na trawie, otwierali koszyki plecione z trzciny, gliniane sagany przykryte płatem świeżej kory z brzozy rosnącej na Zachodnim Wybrzeżu, torby szyte ze skrawków skóry, lniane worki wyszywane w geometryczny wzór boga deszczu i „starego-dziecka” z kaplicy na Zarzeczu, wyjmowali białe glony owczego sera, wędzone mortos z koziego mleka, okrągłe plecione bułki z owsianej masy zmieszanej ze słodkimi nasionami drzewa mlekowego i rozpoczęli jedzenie. Rozmawiano powoli, jakby z leniwym ociąganiem się, byli i tacy, którzy po wejściu na gazon z różowego marmuru, na którym widniała uśmiechnięta twarz Pracy — świetnie zbudowanej, przystojnej bogini, w zbożowym wieńcu i z ozdobnym kilofem w dłoni, zasypiali tam pod wielkim wachlarzowatym liściem coroles z pięścią wciśniętą pod głowę. Kozy szczypały hodowane latami bluszcze spadające kaskadami z doryckich kolumn przełamanych na polecenie gubernatora i rozłożonych gustownie wśród małych sadzawek, w których krążyły niespokojnie czerwone ryby o błękitnych skrzelałach żywiące się mięsem była schodzącego do wodopoju (mówiono też, że nie gardzą mięsem peonów, ale nie była to chyba prawda...) Jakiś potwornie zarobiony Metys w rytualnej chiro tłumaczył coś grupie kobiet, ale one nie chciały go słuchać. Gdzieś, po drugiej stronie ogrodu, stara kobieta rozpoczęła monotonną pieśń. Tłum podchwycił melodię i śpiewali wszyscy. Joachim wychylił się z okna. Zdumiewające! Przed Pałacem było zupełnie pusto, wygracowane ścieżki wysypane żółtym żwirem iskrzyły się w słońcu. Purpurowy dywan przytwierdzony mosiężnymi prętami do białych schodów nie miał na sobie śladu żadnej stopy. Tu, przy bramie rosły niewyobrażalne tłumy, wydawało się, że runą wezbraną rzeką pod sam Pałac, ale nic takiego się nie stało. Kiedy Joachim szedł tutaj, był przekonany, że rozwinięto kolczaste zasieki z drutu sprowadzonego przez koncern „Pokój i pomyślność”, że furgony szczipione łańcuchami tworzą mur nie do przebycia — ale wszystko było inaczej. Tu, po tej stronie, ludzie siedzieli na trawie, odpędzali uprzykrzone dzieci, nurzające się w perlistych pióropuszcach wodotrysków — po tamtej stronie stało sześcian — tak, sześcianu grenadierów w białych rękawiczkach, w futrzanych czapach — na takim upale! — (wprowadzonych do umundurowania jeszcze przez Ludwika XIX), przy złożonych szpadach, ze szkarłatnymi wstęgami biegnącymi przez ciemnogrnatowe wyłogi na piersiach. Stali na

szeroko rozstawionych nogach, w lustrzanych butach z cholewami, przy ostrogach. Ale dzieci podbiegały do nich co chwila z pomarańczowymi i niebieskimi kwiatami; mieli więc ukwiecone epolety, ukwiecone czapy, guziki i ordery. Za ich plecami roztaczała się panorama francuskiego ogrodu ze strzyżonymi korytarzami bukszpanu i geometrycznymi ornamentami z żywych kwiatów. Dalej świecił nieskazitelną bielą Pałac — idealnie cichy i jakby wymarły. Za nim wznosiły się niebotyczne pnie purpurowego wiązu, tui, która po pielęgnacyjnych zabiegach ogrodnika Moustaviego dorównywała cyprysom i krzewom afrykańskiego jałowca. Jeszcze dalej była już tylko mgła, przez którą przeświecał lekko łagodny, pulsujący niewidzialnym oddechem, wielki obszar oceanu

Joachim chłonał to wszystko rozszerzonymi żrenicami; tak jakby widział przed sobą jakiś szalony, łagodny koniec świata: — oto ziemia zamieniła się miejscami z niebem, a domy wcale nie spadają nam na głowę, rzeki suną uległe swoimi korytami jak tłuste muchy po suficie, tylko ogień nie może sobie poradzić — ma lęk przestrzeni i wchodzi z powrotem w bierwiona...

Gwar tłumu niósł się nad ogrodem. Irlandczycy z Przedmieścia Królów ustawiali wysokie żerdzie z pękami kolorowych piór na szczycie i drewniane kukły ukwiecone fioletowymi rosarios — podobne trochę do arcybiskupa La Clezias, a także — o zgrozo! — do samego gubernatora. Podobieństwo było szczątkowe, jak przystało na ludowych mistrzów. Z przeciwległego krańca ogrodu jakiś mężczyzna — nic było widać z tej odległości jego twarzy — donośnym głosem wypowiedział kilka słów. Odpowiedział mu śmiech — szeroki, ironiczny, rozlewający się po całym tłumie. Wtedy mężczyzna głośno wykrzyknął: Chle-ba! Chle-ba!... Tłum natychmiast podchwycił to wołanie i Joachim zobaczył, że ludzie wstają, odkładają nadgryzione kawałki sera, ciemno wiśniowych jablek i owoców z drzewa crito. Dopiero teraz nad głowami pojawiły się inne znaki: to prostokątne czarne chorągwie z Kościoła św. Jakuba powoli wzniosły się, a obok nich zapłonęły grube woskowe świece owinięte czerwonymi wstążkami. Dzieci zatrzęsły drewnianymi kołatkami i klekot podobny do tokowania wielkich ptaków z doliny Ben Gurioz wypełnił gorące powietrze. Ale grenadierzy stali nadal nieruchomo — przed tłumem. Oddzielał ich od pierwszych szeregów pusty pas ziemi niczyjej, którego nikt nie naruszał. Śpiewy, klekotania, wołania dzieci zbiły się w migotliwy hałas — który wciąż narastał, narastał, jak wzbierająca fala przyływu. Kilkunastoletni chłopcy

rzucali w górę garście porwanych papierów, kilka zadrukowanych gęsto płacht zapłonęło miękkim, białym płomieniem, wzniosło się i kolistym lotem spłynęło pod wypucowane buciory z cholewami. Małe dziewczynki w czerwonych sukienkach tańczyły tuż przed tłumem — boso, z naszyjnikami szeleszczącymi w rękach, podskakiwały jak dzikie ptaki z Dorzecza, przeginały głowy i śmiały się do żołnierzy, którzy ani na moment nie zmienili swojej pozycji.

Gdzieś od czoła hałas zaczął nagle przycichać. Ludzie stojący przy bramie i w głębi ulicy powoli przestawali śpiewać, wyciągali szyje, wspinali się nagle na palce. Na żelaznych prętach ogrodzenia tkwiły chmury kilkunastoletnich chłopaków, którzy chcieli widzieć wszystko. Teraz Joachim spojrzał na Pałac bielejący w niebieskawej mgłę południa.

W środkowych drzwiach wychodzących na taras otoczony marmurową balustradą pojawił się najpierw mały człowieczek w czarnym ubraniu. Odsunął ręką powiewające muśliny zasłon i wyrzwał na zewnątrz. Potem cofnął się do środka, ale muślinów nie wypuszczał z dłoni. Odchylił je wyżej i z ciemnej głębi pałacowego wnętrza wynurzyły się za nim dwie postacie, które przeszły przez całą szerokość tarasu i stanęły tuż przy balustradzie. Powitał je wybuch krzyków, nawoływań i gwizdów. Chorągwie zakołysały się, gałązki z różowym kwieciami uniosły się wysoko; śpiew przeszedł jednak szybko w gniewny, niechętny pomruk. Na balkonie stał sam Jose de Huerta. Obok, podtrzymując go za rękę, stał jego „najbliższy druh i przyjaciel”, jak to określano w niedzielnym wydaniu „El Nomitiero” — Hugo Altendorf. Stali obok siebie i patrzyli na tłumy u ich stóp wypełniające pałacowy ogród. Kiedy pomruk zaczął narastać, i tu i ówdzie podnosiły się okrzyki nie licujące z powagą miejsca, Altendorf podniósł rękę ucziszającym gestem. Ale nie na wiele się to zdało: krzyki i nawoływania wspierał teraz śmiech kobiet i gwizdy wyrostków. Ręka „najbliższego druha” zastygła jednak i przeczekiwała nierozważne wzburzenie.

Powoli uciszyło się, ludzie chcieli usłyszeć, co do nich powie Altendorf. Przez chwilę nie mówił nic — czekał nieruchomy, wyprostowany, władczy. Potem gwałtownym ruchem przysunął Hnertę do balustrady i w ciszy powiedział swoim donośnym głosem:

— Podzielam wasz ból i waszą gorycz. Podzielam, bo znani, wasz los, tak, znam go aż nadto dobrze. Kiedym w izdebce ciemnej obok matki tkął włóczkę na pantofle, poznałem co to

cierpienie ludzi prostych. To cierpienie przeszywa moje serce i wzywa mnie, wzywa was do nowych wytężonych prac. Oto jest ten, który sprowadził na nas zło!

I pokazał im wielkiego Huertę, który stał wyprostowany patrząc przed siebie — w rozległe perspektywy miasta. Nie było chyba wspanialszego mężczyzny — Joachim widywał go tak jak i wszyscy: na przemarszach, defiladach, ale zawsze z daleka. Wizerunki na miedzianych monetach nie oddawały całego uroku. Miedziany nos wycierał się szybko w łapach kasjerów, czoło świeciło tłustym blaskiem w rękach kobiet handlujących rybami. Bokobrody rozmywały się w maślanych palcach mleczarzy. Urzędowe staloryty obdarzały go czupryną nieco większą niż ta, którą muskały teraz łagodne powiewy. Joachim mógł się mu przyjrzeć uważniej. Był to potężny mężczyzna z czerwonym karkiem, tryskający zdrowiem jak śliwka. Miał na sobie tradycyjny mundur Gwardii z prowincji Uviedo, którą tak lubił i cenił za jej wytrwałość, rzetelność i punktualność, ale można się było tego domyślać tylko po lustrzanych butach do konnej jazdy, które świeciły czarnym blaskiem zza cukrowobiałych kolumniek balustrady. Wszystko inne tonęło w złocie orderów, wstążek, sznurów, łańcuszków, spinek, kokard... — poruszył się ostrożnie jak wielka contessa z kabaretu w Las Nunas — w pawich piórach, brylantach, diademach, koliach, podwiązkach, wzorzystych pończochach, z dzwoneczkami na końcach cudownie wykrojonych uszu. Przy pasie z czarnej kabury wystawała oksydowana lufa rewolweru systemu La Muerte 7,62 mm. Nieprzyzwoitej wielkości szpada z rękojeścią wysadzaną odłamkami kartaczy spod Las Gainbas oprawnymi, w złoto biegła wzdłuż purpurowego lampasu na granatowej nogawce w dół, w stronę ostrogi ozdobionej symbolicznym wizerunkiem motyki i świecącej łagodnym światłem przedwieczornej gwiazdy.

Tę oto właśnie wspaniałą postać pokazywał Hugo Altendorf tłumom, które zastygły w oczekiwaniu.

— Tak. To on, to jego nieugaszona pycha — rozległ się znowu szlachetny głos, kryjący w sobie miękką wibrację wzruszenia i żalu — to on, którego wszyscyśmy tak kochali, nadużył naszego zaufania i stoczył nas na krawędź przepaści!

Ludzie z podniesionymi wysoko podbródkami, wyciągając szyje chłonęli każde słowo rozlegające się z pałacowych wysokości. Głos Altendorfa załamał się w spazmie bólu. Huerta stał nieruchomo wyprężony jak ceratowa kukła wypchana trocinami, ozdabiająca magazyny mody baronowej Iclesias: tylko potworne focze wąsiska

z czarnej szczeciny opadły mu wzdłuż policzków nabiegłych gorącą krwią, a oczy, te wspaniałe błękitne oczyska, których barwa przypominała wszystkim cudowne wieczory nad laguną w pobliżu hacjendy Corolovallo, znieruchomiały zupełnie, stwardniały, zmieniły się w gałki z bladoniebieskiej emalii. Chyba nie słyszał słów które padały z ust „druha” — przebywał duszą w odległych krainach zamierzchłej młodości tak pięknej, jak mogą być tylko piękne bagnety z oksydowanej stali, głowy w niedźwiedzich czapach z grenaderską cyfrą na miedzianych mortoflonach, czy muskularne ramiona peonów wznoszące do szlchetnego ciosu skromny w swej wzniosłości kilof...

Joachim zauważył, że w drzwiach wychodzących na taras poruszyło się coś i po chwili zaczęły stamtąd wychodzić postacie w czarnych uniformach, które stanęły równym szeregiem za plecami Altendorfa: był tam Jose Vuerta, bankier Altamiro y Cumielos, jacyś wyżsi oficerowie w granatowych kepi z pióropuszcami kogucich piór, cywile w białych żabotach pod szyją oraz gruby, spokojny pan w szarej marynarce, który uważnie rozglądał się wokoło. Wszyscy oni stali się poważnym tłem dla dwóch sylwetek stojących przy balustradzie. Altendorf po chwili wzruszenia, którego nie potrafił ukryć, zawołał donośnym głosem:

— Nie słuchał naszych rad!

Odpowiedziało mu echo odbite od barokowych frontonów Banku św. Ducha zwielokrotnione ciszą ulic.

— I dlatego, przychylając się do próśb, które wyczytuję w waszych mądrych oczach, to ja od dziś będę waszym ojcem i opiekunem serdecznym, to ja podejmę dzieło wieków przerwane przez pychę, odrzucając to, co złe i ocalając to, co dobre, w czynach mego poprzednika!

Dopiero teraz tłumy ujrzały go w całej krasie: ludzie oderwali zmrużone oczy od migoczącej w słońcu złotej postaci Huerty i utkwili spojrzenia w człowieku, który stał obok. Altendorf wysunął pierś do przodu i serdecznym gestem pozdrowił zebranych: wyglądał jak biały gołąbek, który przynosi gałązkę oliwną strapionym pasażerom arki.

Tłum zakołysał się — chorągwie pokłoniły się głęboko pałacowej kolumnadzie, gałązki mirtu wzniosły się nad rozpogodzone twarze... Powoli, powoli, to z jednego krańca, to z drugiego — poczał narastać rytmiczny okrzyk tysięcy: Al-ten-dorf! Al-ten-dorf! Al-ten-dorf!... — Krzyczeli wszyscy: matki i dzieci, ojcowie i bracia — gorąco od serca, pozdrawiali, pozdrawiali swoją nadzieję, swojego „Alti”... Joachim nie mógł otrząsnąć się ze

zdziwienia; wychylony z małego kwadratowego okna widział powolne poruszenia tłumu. W dole, szeroko rozlane morze głów — a tam, za śnieżnobiałą koronką marmurowej balustrady, obok złotej kukły, która straciła w ciągu kilku chwil wszelką wartość, widniała skromna postać.

Altendorf nie opuszczał rąk: tylko miękkim, serdecznym gestem splatał je nad głową w braterski węzeł, odpowiadając na pozdrowienia tych, którzy witali go u progu wielkiej drogi. Był w szarej marynarce, w szarych spodniach, w szarej koszuli i w wiśniowych trzewikach. Łysawy, z drucianymi okularami na prostym, odważnym nosie wzbudzał zaufanie i szacunek. Uśmiechał się łagodnie, z wyrozumiałością spoglądając na radość tłumów, które kołysały się teraz, jak wody zatoki El Tauros w powiewach pasatu. Przyjął hołd, który go radował, ale i smucił. Potem położył dłoń na puchnącym od złotych wisiorów epolecie Huerty. Były gubernator spojrzął i spuścił oczy: zrozumiał wszystko. Powoli, z pochyloną głową, ruszył ku drzwiom. Notable rozstąpili się, a kiedy zniknął w głębi, zsunęli się na powrót w czarny mur byli żywą kurtyną wzniesłego dramatu, który rozgrywał się na oczach tysięcy. Teraz za balustradą był tylko jeden człowiek: „Alti”... On i rozkołysane morze, które upajało się własnym rozkołysaniem, własną mnogością, własną siłą i pięknem. To budziło radość i niepokój.

Słońce chyliło się już ku zachodowi, cienie wydłużały się. Twarze sześciu grenadierów rozświetlał szeroki uśmiech. Dzieci gwizdały na palcach, Irlandczycy z Doków wybijali rytmy entuzjazmu na bębnie z oślej skóry, który wziął się nie wiedzieć skąd. Na drugim krańcu zagrały trąbki i piszczałki. Brzękadła z mosiężnych kluczy nanizanych na stalowe obręcze rżęsiście sypały dźwięki ostre i gwałtowne. Wino krążyło w glinianych butlach, rozlewało się na brodach dokerów z Nabrzeża Siedmiu Krzyży, chlupotało w kubkach z cyny, które wyciągano z przepastnych kieszeni i wycierano lnianymi chustkami bez monogramów. „Alti” patrzył na to wszystko z góry i uśmiech nie schodził mu z warg. Ale radość mieszała się w jego sercu z zatroskaniem: usłyszał też oprócz wesołej wrzawy okrzyki, których nie lubił — w paru miejscach skupiano się wokół krzykacza i podchwytywano jego wołania. Jeśli chodzi o pieczywo — zgoda: gotów był rzucić między ludzi sto albo i więcej koszy chrupiących bułeczek, nie mówiąc o tradycyjnych, okrągłych bochenkach z jasnymi kryształkami grubej soli na dobrze wypieczonym wierzchu — ale trzeba znać granice!

A tu nieprzyjemne głosy pojawiały się coraz częściej. Chciano coraz więcej i więcej! Żadnego umiaru! Wreszcie rozległ się — najpierw pojedynczy, potem zbiorowy okrzyk, którego Alti nie lubił najbardziej: — Niech żyje Sanduras! Precz z Juan Carlosem! Alti z nami! Alti z nami! Rozpęd i rozhukanie tłumu narastały: Alti, San-du-ras! wołano rytmicznie przy łomocie bębna. Co robić? Notable spojrzeli po sobie. Trzeba coś zrobić! Dlaczego Hugo milczy?! Tłumy krzyczały: Al-ti! Al-ti! Al-ti! Trzeba było powstrzymać ten rozhuśtany żywioł, nieobliczalny i szalony.

Altendorf stał nieruchomo i patrzył spokojnie na wzburzone morze głów. Notable utkwili w nim wyczekujące spojrzenie. A on siał! Stał nieruchomo! Tłum kołysał się, wzbierał jak fala przyboju, huczał jak wiatr idący po szczytach dżungli... a on stał!

I wtedy Alti skinął niedostrzegalnie prawą dłonią.

Oficer w kepi stojący za nim na tarasie dostrzegł to natychmiast, szybko cofnął się ku wyjściu i zniknął w otwartych drzwiach. Tłumy krzyczały: Al-ti! San-du-ras! Al-ti! Entuzjazm osiągnął zenit.

Nagle rozległa się potężna detonacja — i ludzie oniemieli. W niespodziewanej ciszy zasyczało coś w powietrzu i setki sztucznych ogni wzniosły się łukowato nad Pałacem. Świetliste smugi rozerwały się w tysiące wielobarwnych iskier i oto radość wybuchła na nowo jaskrawym płomieniem. W błyskach i huku tłum odzyskiwał pogodę ducha zakłóconą nierozważnymi myślami! Grenadierzy zaklaskali w dłonie. Ludzie podchwycili ten gest i klekot trzaskających o siebie tysiący rąk wypełnił powietrze. Dzieci piszczały jak oszalałe, kobiety zadzierały głowy, kolorowe błyski odbijały się w szeroko rozwartych oczach mężczyzn. Zza marmurowego tympanonu (rakietnicy stacjonowali za Pałacem) tryskały w górę kolorowe, iskrzące się tysiącem odcieni, wciąż nowe świetliste węże. Niebo rozkwitało, zapach saletry mieszał się z odurzającą wonią magnoliowca, nosy były równie odurzone jak oczy i uszy. Kiedy kanonada ucichła, w nagle otwartej ciszy, rozległ się głos Altendorfa.

— A teraz, dzieci moje, pożegnajmy się. Jutro spotykamy się wszyscy przy warsztatach. Niech żyje Słońce Nieśmiertelnej Hiszpanii — Juan Carlos XVI i nasze doń przywiązanie, które spajw świętą całość narody rozkwitające w cieniu jego berła!

— Niech żyje! — rozległo się kilka okrzyków. Ale tłum milczał.

Joachim zauważył, że krzyknięto w tych samych miejscach, w których po raz pierwszy padło nazwisko Altendorfa. Zapano-

wało milczenie — nie wiadomo, czy dlatego, że ogni było za mało, czy z jakiegoś innego powodu. (Po cichu szeptano od lat, że Alti kocha Hiszpanię, ale bardziej kocha w ukryciu swej duszy Sanduras).

Nad ostrym rysunkiem Sierra Morenza rozbłysła wieczorna zorza, Mgły opłotły wierzchołki odległego lasu. Czarne ptactwo pojawiło się na tle przyćmionej tarczy słońca, która osuwała się za nadbrzeżne skały. Cień ogarnął pałacowe ogrody - i Altendorf sięgnął po zegarek na skromnej platynowej dewizce. Zrobił to powoli i rozważnie. Jego gest ujrzały tysiące.

— Już późno. Od jutra przystępujemy do wielkiej naprawy, przy której nie powinno zabraknąć nikogo. Liczy się każde gorące serce!

I Altendorf odwrócił się od balustrady — audiencja była skończona. Tłum jednak milczał nadal i nie odpowiedział na pozdrowienie. Czasem dziecko zapytało o coś matkę, na co ona odpowiadała uciszającym burknięciem. Ale Altendorf nie zawahał się ani przez moment: zdecydowanym krokiem ruszył w stronę drzwi. Już miał zniknąć w mrocznej czeluści pałacowego wnętrza, w której pojawiło się migotanie pierwszych świateł wieczornych, gdy...

Nagle — w dole, za jego plecami, rozległ się okrzyk. To młody mężczyzna przedarł się przez magiczną zaporę grenadierów i biegł po zwirowanej ścieżce w stronę monumentalnych schodów przed frontowymi drzwiami Pałacu.

— Gubernatorze Altendorf!

Alti zatrzymał się w pół kroku i zniecierpliwiony nagłą odmianą nastroju rzucił za siebie:

— Jutro! Jeśli są jakieś sprawy — to jutro. Zaczekajmy do jutra. Każdą prośbę rozpatrzemy wnikliwie, aby sprawiedliwości, nad którą pieczę ma i mieć będzie wiecznie Jego Wspaniałość Słońce Hiszpanii Juan Carlos, stało się zadość.

I ruszył dalej. Ale okrzyk rozległ się znowu: głos był młody, dźwięczny i stanowczy.

— Gubernatorze Altendorf! My o nic nie chcemy prosić. O tu — młodzieniec wyciągnął do góry rękę z białym arkuszem złożonym we czworo — tu jest wszystko spisane. Po to przyszliśmy! — I wskazał głową na tłum.

— Co?!!! — Altendorf był już przy balustradzie i wczepił w nią swoje potężne palce — bez sygnetów i pierścieni: skromne i piękne jak on sam.

W tej samej chwili tłum zakołysał się i znowu powróciła stara

pieśń. Ale dołączyła też do niej inna, szczególnie niemiła: Altendorf skrzywił się, jakby rozgryzł różową skorupkę homara, któremu nie dodano w porę przyprawy iri: — Zie-mia-dla-chło-pów!... zie-mia-dla-chło-pów!... — Patrzył w mrowie głów, rozczarowany i zasmucony, wyrozumiale kręcąc swoją wspaniale wysklepioną czaszką. Mrowie patrzyło na niego i nabierało rozpędu. Patrzyli tak na siebie — on i tysiące...

Czarne chorągwie zakołysały się znów, powracał do życia uśpiony bęben Irlandczyków, dzieciaki trzasnęły kołatkami. Rozległ się też odgłos, którego Alti nie lubił bardziej niż czegokolwiek. Z niechęcią zmrużył oczy: usłyszał ciężki, rozchełstany, zaczepny śmiech handlarek ryb, szewców, tkaczy z Manufaktury „Carmen”, piaskarzy, śmiech subiektów i pielęgniarzy ze szpitala w San Jose, śmiech, śmiech, śmiech... I to jemu, właśnie jemu... oni... jemu, który oddał im całe swe znojne, górne i chmurne życie... za co... za... co? Ale śmiech narastał — bezczelny, nachalny — tak! — prostacki, prostacki! Patrzył na swe „dzieci” zniechęcony — myślał o zagadce losu i przeznaczeniach, które kierują ludzkimi umysłami, wiodąc je ku niesprawiedliwej niewdzięczności... A śmiech wzbierał, rozbudzał nadzieje tłumu, rozjarzał poczucie — urojonej — mocy w tysiącach, które naraz poczuły w sobie duszę milionów.

Nie było już w powietrzu błogosławionego zapachu saletry — chłodne tchnienie oceanu rozwiało niebieskawe smugi przezroczystej mgiełki, która rozpościerała się nad głowami. Nie, teraz czuć było woń juchtowych skór, przepocanego płótna, czosnku i cebuli, gorzko-słodkich owoców mandarygo, zmiążdżonej bosymi nogami peonów trawy, która puszyła się wspaniale na strzyżonych trawnikach. Altendorf wdrygnął się: przed oczami przeleciały mu obrazy dzieciństwa — piwniczna izba, pochylona głowa matki, włóczka i pantofle... wszędzie... pantofle... opuchnięte palce... tępe igły, które kupowali za niebotyczne dla nich sumy u Icchaka Mortofello, na rogu, w małej trafice, gdzie rumiana córeczka Żyda chrupała trójkątne obwarzanki posypane tartym cukrem gitar w kolorze cynamonu... Przełknął ślinę — wzruszenie ogarnęło go nagle i podstępnie. Poczul się znów małym Alti — bezbronnym, chudym chłopcem z przedmieścia Doki, do którego wyciąga ręce matka... Stał tak wobec nich pełen bólu i goryczy powtarzając w duchu — za co... za co... za co... Z zamyślenia wyrwał go głos młodzieńca stojącego u stóp Pałacu:

— Gubernatorze Altendorf!

Tłum podchwycił ten okrzyk. Donośne „Alti!... Alti!... Alti!...”

rozbrzmiało tysiącem głosów — ale nie było to już to samo „Alti”, które towarzyszyło wcześniejszej radości. Wyczuł, że jego imię pobrzmiwa napastliwą ironią, kpiną prostacką, jadowitą bezczelnością... O nie! Tak nie mogło być! Stał oniemiały — ale nie dał po sobie poznać, jak bolesna i gwałtowna burza targa jego sercem. Stał — i patrzył. Prosto w tysiącooką bestię, która rozpościerała się przed nim, niczym iskrzące się w czerwonym słońcu cielsko legwana pełzającego w stronę ofiary...

--- Gubernatorze Altendorf!

Dopiero teraz Joachim drgnął. Tak, to był głos znany, głos słyszany już gdzieś... Tak, to przecież — Moreno! Ten mały Moreno z „Cideration”, który pisał ostatnio „płomienne artykuły o prawdzie”! To on stał teraz u podnóża pałacowych schodów i wołał — do samego Alti! Gwar zaczął przycichać --- wszyscy czekali na odpowiedź. Szara postać wsparta obiema rękami o białą balustradę trwała nieruchomo czekając aż wzburzone fale wyładzą się...

Z daleka dobiegło pierwsze kląskanie wieczornego ptaka. Zmierzch otulał ziemię chłodną zasłoną mgieł... Wszyscy zastygli w oczekiwaniu.

Teraz przyszła kolej na niego; teraz on miał otworzyć usta, unieść prawicą w cesarskim geście i swoim dojrzałym głosem obwieścić... Ale cisza przeciągała się — nic jej nie mąciło oprócz gardłowego nawoływania sów i papug, które sposobiły się do nocnych łowów. Czterech oficerów wyszło z głębi Pałacu i zatknęło pochodnie w żelaznych kagańcach. Migotliwe blaski wydobyły z szarzejącego mroku postać Altendorfa. Płomienie falowały, gięły się w splotach niczym rozżarzone węże — a on trwał, trwał nieruchomo i patrzył. Cisza rosła, rozszerzała się... Teraz Alti wiedział już, że nadszedł jego najlepszy moment, dłoń za chwilę powoli uniesie się, głowa rozbłyśnie w świetle migoczącego ognia... Oto za chwilę tłum usłyszy... Zrozumie... Przejrzy...

Już miało paść pierwsze słowo, już miał rozkwitnąć pierwszy gest, gdy nagle — rozległ się suchy trzask i Altendorf... zniknął!

Joachim rozpoznał natychmiast... Tak, to była „dziewiątka” systemu coliber DC 16, z magazynkiem obrotowym collinsa!

Ale z której strony strzelano? I kto strzelał?!

Joachim wychylił się jeszcze bardziej z okna i chciał wywnioskować z zachowania tłumu, gdzie pojawiła się ręka z ciężkim, połyskującym przedmiotem wyciągnięta w stronę pałacowego tarasu.

Było już jednak za późno.

Tłum zawirował jak woda po zerwaniu zapory. Ludzie rzucili się do ucieczki. Pędzono w stronę bramy — w panice, na oślep! Mężczyźni przeskakiwali przez pałacowe ogrodzenie gubiąc po drodze torby, płaskie gliniane butelki z winem serpe, motyki, laski, kije... Kobiety przyciskały dzieci do piersi. Brama nie mogła pomieścić wzbierającego potopu, który chciał się wydostać na ulicę. Bose nogi peonów deptały po upadających ciałach wijących się jak w ukropie. Porzucane w ucieczce sztandary spadały na głowy, drewniane grabie łamały się z trzaskiem, a białe drzazgi wbijały się w stopy. Tłum runął w stronę wrót, ale przejście było za wąskie, oparł się na żywej przeszkodzie i odepchnięty powrócił na dawne miejsce — ci, którzy stali najbliżej Pałacu, zostali zepchnięci do tyłu: Joachim zobaczył, jak runęli w czarną toń sadzawek i stawów obramowanych białym marmurem. Woda zabułgotała, zaroїła się od węzowych splotów — mięsożerne ryby o bladoniebieskich skrzelach rozpoczęły swoją pracę...

Ale co się stało z Altendorfem? Gdzie był Alti?

Dopiero po chwili Joachim zauważył czarną sylwetkę skurczoną za ażurową kolumnadą balustrady — obok niej pojawili się oficerowie w kepi. Przykucnięci za kamienną osłoną wysunęli przez prześwit między kolumnkami długie lufy rewolwerów smith--wesson 9 mm.

Moreno z białym arkuszem w dłoni stał bezradnie na zwirowanej ścieżce pod Pałacem. W jego stronę biegło już sześciu magicznych grenadierów wyciągając w pośpiechu broń z czarnych kabur, na których połyskiwała złotem królewska cyfra Juana Carlosa. Za moment zakotłowało się — i mały dziennikarz z „Cideration” został zawleczony cło bocznych drzewiczek, które zatrzęsnęły się z chrzęstem.

Tłum wylewał się na ulicę rozwartymi szeroko wierzejami. Jeszcze ostatnie niedobitki przebiegały w popłochu przez stratomowane klomby kremowobiałych santares, jeszcze ktoś wyciągnął ze stawu rozpaczliwie wrzeszczącego chłopca, wokół którego nagich nóg wiły się stalowociemne sploty mięsożernych ryb, jeszcze ktoś uciekając skokami zbierał rozrzucone wśród krzewów tuj zielone banknoty z wizerunkiem Pracy i Płacy, bogiń nadchodzących jutra...

W kilka chwil na pałacowych trawnikach, klombach, rabatach i kwietnikach nie było już nikogo. Tylko na ciemnej zieleni traw, która w zmierzchu stawała się głęboką czernią, pstrzyły porzuczone jaskrawe chusty, kawałki białego sera, czerwone strzępy chiro, bibułkowe festony, nadpalone papiery... Żółtawy bęben

Irlandczyków kiwał się smętnie na wodzie stawu, drapieżne ryby rzucały się w jego stronę, biorąc nabrzmiałą wypukłość za ludzki brzuch...

Ale tłumy zatrzymały się za bramą i stopniowo dochodziły do ciebie. Me powracano już na dawne miejsce za bramą, ciekawość pchała jednak ludzi z powrotem — w stronę Pałacu. Stanęli więc za żelaznymi sztachetami ogrodzenia i z palcami zaciśniętymi *na* prętach patrzyli w głąb ogrodu.

Cztery pochodnie płonęły w oddali nad pałacowym tarasem. Na zwirowanych ścieżkach pełgały rozchwiane cienie stożkowato strzyżonych bukszpanów. Cichy szelest wodotrysków niósł się od strony marmurowych basenów. Nocne ptaki z miękkim trzepotem rozłożystych skrzydeł przelatywały z korony na koronę purpurowych wiązów. Tłum uspokajał się. W świetle pochodni, które zapalono nad głowami, oglądano skaleczenia, guzy, siniaki. Ktoś głośno jęczał, ktoś przeklinał w dialekcie pesiro, ktoś półgłosem zastanawiał się nad powodem ucieczki — nie wszyscy słyszeli trzask „dziewiątki”... Kobiety uspokajały rozplakane dzieci. Poprawiano poszarpane ubranie. Jakiś starzec śmiał się nieprzytomnie - jego śmiech załamywał się w głębokim, świszczącym kaszlu.

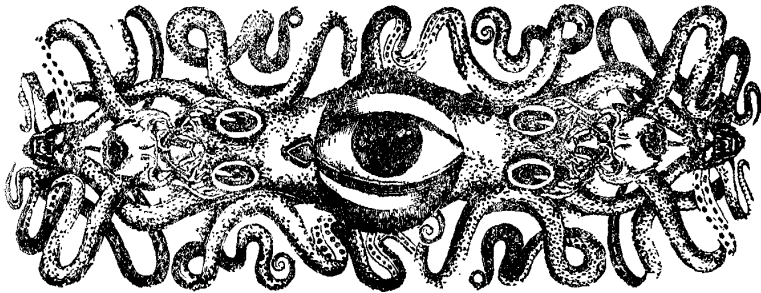
Dlatego nikt nie zauważył tego, co zobaczył Joachim i ludzie z kamienicy przy Rue de Sanditz 38.

Oto z bocznej ulicy wyłonili się nagle jeźdźcy. Przed nimi, na srokatym gnidoszu, ostro ściągając wodze, jechał człowiek w paradnym mundurze, bogato szamerowanym złotem. Był wspaniale wyprostowany w siodle. Z jego postaci biła dostojna godność wodza, który wznosi się nad żołnierską masę mądrością wybaczącej łagodności. Białe bokobrody okalały twarz ciemną i ro-zumną. Zza budynku Poczty Wszech-Hiszpańskich wyjeżdżały coraz to nowe szeregi. Najpierw kirasjerzy w srebrzystych półpancerzach z purpurowymi grzebieniami na hełmach. Potem gwardziści przepasani różowymi szarfami. W blasku pochodni wspaniale mieniły się złote sznury, naramienniki i słynne guziki z napisem *Wykonamy każdy rozkaz*.

Błysnęły obnażone szable.

Joachim poczuł mróz w sercu.

Po kilku chwilach plac przed Bankiem był pusty.



PRZESTĘPCA

Obudziło go gwałtowne pukanie do drzwi. Było szaro. Zegar na wieży św. Jakuba wydzwaniał piątą. Joachim przecierał oczy — w pierwszej chwili wydało mu się, że to w głębi jego snu rozległo się łomotanie, ale wkrótce został wyprowadzony z błędu; za drzwiami ktoś rzeczywiście stał i stukał wśrodek kwadratu z cienkich deszczulek łączących masywną tamę... Trzeba było zwlec się z posłania. Joachim po omacku, nierozbudzony jeszcze, szukał stopami włóczkowych pantofli. zniecierpliwiony, nie podnosząc głowy, zawołał w stronę drzwi:

— Zaraz!

Pukanie ustało. Ale Joachim odsuwał już mosiężną zasuwkę. Nacisnął klamkę i uchylił drzwi. Przed jego izdebką stał żołnierz w purpurowym uniformie z kogucim pióropuszem na czarnym kepi. W głębi oparci o balustradę schodów stali dwaj grenadierzy z potężnymi kaburami przy pasie.

— Joachim El Toro?

To mówił ten w kepi. Joachim nigdy go przedtem nie widział.

— Niech się pan ubiera.

Ubiera? Joachim machinalnie wzruszył ramionami, już miał

otworzyć usta, by zapytać o powód wizyty, ale machnął ręką i cofnął się do pokoju. Powoli sięgnął po pludry z granatowego sukna... Oficer wszedł za nim do pokoju i rozglądał się z niesmakiem. Miał ręce splecione z tyłu, w dłoni obciążonej łośiową rękawiczką tkwił papierek złożony we czworo. Wzrok spod czarnego daszka okolonego srebrną lamówką przesuwiał się powoli po grzbietach książek nierówno tkwiących na dębowych półkach. Nie znalazł widać niczego ważnego — sunął po mosiężnym czajniku, patelni, butelce wina, naciętym glonie owczego sera, aż wreszcie spoczął na czarnym blacie stołu. Tu, wśród kawałków pokruszonego sera, połamanych stalówek z krzyżowym prześwitem, strzępów podartych kartek, natrafił na strony rękopisu. Ręce splecione z tyłu rozplotły się — jedna pozostała przy swoim świstku na wysokości łądźwi ozdobionych szafirowym wyłogiem, druga sięgnęła po papiery... Joachim zapinał koszulę i ścigał biały krawat w delikatny wzór. Siedział na łóżku z bosymi nogami — widział jak obok jego lekko zaczerwienionych stóp rozbłysły pyszne botforty z czarnej skóry, suto lakierowanej. Ostroga miała kształt słońca otoczonego stokrotką falistych płomieni i grała cichutko Joachima: stał bokiem i wyciągnął w jego stronę rękę z kwadratowym papierkiem. Czytał teraz rękopis *Pieśni o wolności jesiennych ptaków* — dobrnął do czwartego wersu i z obrzydzeniem rozwarł palce; pocętkowana czarnymi znaczkami kartka spłynęła na stół i ułożyła się łagodnie wśród swych przyjaciółek ozdobionych tej nocy przez Joachima podobnie wzruszającymi pasemkami atramentu. Zostały jeszcze trzewiki: Joachim zapinał już drugą klamerkę, przytupując z lekka obcasem, sprawdzał czy wyklejka z safianu przylega dobrze do podeszwy (zawsze była luźna) i z mundurowanej ręki, która ponagliła go niecierpliwym gestem odebrał biały kwadracik. Siedząc na rozgrzebanej pościeli, czytał co następuje: dnia takiego to a takiego... pieczęć okrągła... orzeł, puma i kukułka... kaligraficzny podpis... stawić się... o godzinie takiej a takiej... tu i tu, w razie gdyby... znak wodny (panna z plecioną bułką? — albo wieńcem?... podaje komuś... rozeń?; Joachim zmrużył oczy i spojrzął pod światło...) ...niech żyje... Słońce... Wszech-Hiszpania... pouczenie... przejazd za darmo... skreślone... podkreślone... rozmazane... zaczernione... Złożył karteczkę we czworo i już miał ją wsunąć do wewnętrznej kieszeni surduta, gdy powstrzymał go uprzejmy gest: ręka w łośiowej rękawicze czekała. Położył na jej wewnętrznej, nieco ciemniejszej stronie, doniosły, choć skromny dokument — zamknęła się jak brązowy kwiat o zmierzchu — i powstał. Oficer wetknął papier do wąskiej

kieszeni biegnącej wzdłuż złocistego lampasa i poprawił rapier ozdobiony frędzlami z włókien akanto.

— Idziemy.

Mówił to bardziej do tych, którzy stali na schodach niż do Joachima.

— Chwileczkę — powiedział El Toro i przekręcił klucz w drzwiach, po czym zawahał się, co z nim zrobić.

— Niech pan odda gospodyni — doradził oficer, kiedy znajdowali się już na pierwszym piętrze.

Joachim nie odpowiedział — była to rada nie wiedzieć czemu przykra. Zastukał do konsjerżki i kiedy mu otworzyła, bez słowa wetknął jej do rąk skromny mosiężny przedmiot, z którym tyle wiązało go wspomnień.

— Jezu Chryste, taki młody... — usłyszał za sobą, ale przemowa urwała się gwałtownie; bo wyszli na ulicę. Nie byli tu sami: podobne czwórki czy piątki cywilno-mundurowe szły trotuarami po drugiej stronie jezdni: dopinano surduty, przyglądano włosy, ktoś donośnie czyścił nos w ciemno granatowy fular... Brodacz w prostokątnych binoklach spojrzął z ukosa, kiedy mijali jego grupkę.

Kiedy przechodzili wzdłuż muru Poczty, Joachim zauważył na ciemnoczerwonej pruskiej cegle białe płachty papieru zaczerwione wielkimi literami. Tylko mleczarz to czytał, odstawił na moment stągwie obciążone białym płótnem i nieruchomo tkwił przed kursywą, rotundą i antykwą... Nie trwało to długo — sięgnął po mleko i poszedł w stronę najbliższej bramy świszcząc coś pod nosem ... Joachim nie mógł przeczytać niczego: przed oczami mignęło mu tylko jedno słowo ułożone z potężnych liter: ... DZIECI... Szli byt szybko, oficer brzękał ostrogami, czarne kabury z chrzęstem Pijały się o bryczesy... Już jednak za moment Joachim wiedział wszystko: przechodzili obok Spedycji „Journal Cotidien”; młodzi Aulaci odbierali tu z otwartego okienka paczki najnowszego numeru przewiązane konopnym sznurkiem. Joachim wetknął pierwszemu z brzegu 5 halcero i już miał przed sobą, w zmniejszeniu, napisy z pruskiego muru. Przywitała go litografowana winieta umieszczona pod tytułem gazety... grupa postaci... chyba alegoryczna... przesunął wzrok szybko niżej i zaczął czytać: Były to słowa „Altiego”:

Na górze, tłustym drukiem puszczone skromną dewizę... Niżej... tak... *Wszyscy ludzie są dziećmi* — kiedyś podobno Alti mówił — braćmi, ale potem to się zmieniło. Dzieci i myśli głosu nie mają... Aha... *i nie można zostawiać samym sobie... nie wiedzą, czego*

chcą... My wiemy, czego chcą... ulegają podszeptom... zasmucające wypadki wczorajszego, tak pięknie przecież zapowiadającego się wieczornego zmierzchu... wybaczają się wszystko... Kochać dzieci... Pomagać... roztoczyć opiekę... Pieczywo... Spokój... bułeczki... spokojnie... Miłość... opieka... opiekować się... Dopiero teraz spojrzenie Joachima powędrowało w górę: rdzawą barwą świtu puszyła się tu alegoryczna winieta wśród wstąg, wieńców i chorągwi. Oto grupka w świetlistym obłoku: niemowlę z kielnią, z wiecznym piórem, osesek z górniczym oskardem, wyciągają ręce do niego, a on, dobry Alti w skromnym uniformie z rządowego sukna gładzi je po główkach... maleństwa... i palcem wyciągniętym wytycza drogę... Wyglądało to bardzo wzruszająco. Alti zza okrągłych druczanych okularów rzucał opiekuńcze spojrzenia... Joachim przysunął do oczu zadrukowaną płachtę: dopiero teraz zobaczył na twarzach niemowląt mądre, ledwie dostrzegalne bruzdy, bielutkie bokobrody i dyskretno wąsy o barwie szuwaksu...

Ale nie było już czasu na dalszą lekturę — oto bowiem zatrzymali się przed potężnym gmachem z żółtej cegły. Joachim zadarł głowę: w górze, na frontonie, między okrągłymi wieżyczkami zakończonymi koronką strzelnic, widniał napis: *Wchodzisz przestępcą, wychodzisz obywatelem.* Niżej, w powiewach oceanicznej bryzy, na stalowych łańcuszkach kołysał się gigantyczny, złożony bagnet. Pod nim, na białej tarczy z alabastrowych płytek pysznił się barwny wizerunek otoczony purpurowo-żłucistymi kokardami: niemowlę w pasiastym kostiumie więźnia odbierało z rąk wąsatego grenadiera cudne botforty rozsiewające wokół gwiaździste błyski...

Wartownik wyprężył się na widok koguciego pióropusza. Oficer od niechcenia wrzucił do okienka, z którego wysunęła się włochata ręka, papierek Joachima złożony we czworo... i przeszedł obojętnie przed sterczącymi mauzerami starego typu... Znaleźli się w szerokiej sieni o gotyckim sklepieniu. Za szybą z okrągłymi otworami młodzi mężczyźni w czarnych uniformach, pooddzielani od siebie przepierzeniami z dykty... Oficer podchodził do każdego z nich i wiecznym piórem systemu Stetson podpisywał podsuwane usłudnie kartki, po czym spojrzał na Joachima i podszedł do drzwi z napisem: *Pchaj delikatnie.* Nacisnął na mosiężną gałkę, rozległ się kurantowy dźwięk i drzwi otwarły się szeroko zapraszając do wnętrza... Joachim z najświeższym numerem „Journal Cotidien” w dłoni przekroczył próg i znalazł się w przestronnej sali. Była pusta. — kiedy szli w stronę schodów, kroki podkutych botfortów niosły się szerokim echem po zakamarkach i kolumnadach. Girlandy

świerkowych gałęzi biegły tu od ściany do ściany — musieli parokrotnie schylać głowy, koguci pióropusz zaszeleścił dotknięty pachnącym igliwem, purpurowe wstęgi zatrzepotały w silnym przeciągu niosącym zapachy z nieodległej kuchni. Jeszcze parę kroków, mocne szarpnięcie drzwi z dębowego drzewa, łomot i brzęk zasuw — i gorące światło oślepiło na moment Joachima.

Byli na dziedzińcu. Pustynne wrony, które nie wiedzieć czemu upodobały sobie koszarowy strych, z sennym krakaniem przeleciały w stronę zbrojowni.

Naprzeciwko wejścia stała archaiczna armata systemu Colombo kaliber **220** mm, jedna z tych, które wyprodukowano przed laty w manufakturze na Zachodnim Wybrzeżu. Zwrócona w stronę wejścia, uniesiona w górę na potężnej lawecie, świeciła czarnym, idealnie okrągłym otworem prosto w oczy wchodzących... Joachim poczuł się nieswojo: trzech młodych ludzi (kadetów) z wysoko podgolonymi głowami zawieszało na niej obfity bukiet azalii. Czwarty miękką filcową szmatką delikatnymi ruchami pieścizotliwie polerował obłą śliską powierzchnię... dwóch innych troskliwie poprawiało purpurowo-złote wstęgi, wstążki, plecione sznury, wisiorki, frędzle, dzwonki, dzwoneczki, podwiązki, paseczki, pukielki, którymi cała była



okryta. W głębi na słupkach z brzozy hunelo rozpięto napis: *Zdrowe zęby — zdrowy duch*, pod nim roześmiany grenadier wymalowany ręką artysty z ludu szczyrzył nienaganne uzębienie w pianie buchającej z gigantycznej szczotki higienicznej.

Na placu panował ruch. Kadeci przy paradnych kordzikach skupiali się wokół oficerów. Na nienagannie wygracowanym żwirze

sterczały w kozłach mauzery z bagnetami ustawionymi na sztorc. Kiedy Joachim mijał jedną z grup, usłyszał tęskno-bolesne westchnienie, które wyszło z kilku ust:

— O Jezu, jaka cudna!...

Podgolone głowy pochyliły się, wstrzymano oddech: to oficer powolnym, majestatycznym gestem ściągnął brezentowy futerał pachnący tawotem, z nowego nabytku, armatki, którą przywieziono tej nocy w furgonie z napisem *Pieczyno Chrupkie*. Było to prawdziwe cacko: błękitna stal odbijała w sobie pochylone twarze, lufa gwintowana kończyła się hamulcem wylotowym w kształcie kwiecistej rozety. Na zamku śrubowym z oksydowa nego żelaza dyskretnym rysunkiem ciemnego złota połyskiwał herb Słońca Wszech-Hispanii Najjaśniejszego Juana Carlosa. Zielony bąbelek poziomicy kołysał w sobie bursztynową iskierkę słońca... Za moment padły słowa nieprzystojne, nabrzmiałe mocą i odwagą — takimi wita się kurtyzany z Dolnej Dzielnicy na Zarzeczu... Klepano szerokim gestem oporopowrotnik systemu Il Gesso 89 i trącano poufale ogony zakończone lemieszami podobnymi do płetw błękitnego rekina... Nogi w botfortach stapały elastycznie, krew grała w zaczerwienionych od słońca karkach...

Oficer w czarnym kepi mijał to wszystko obojętnie. Trzaskał raz po raz po cholewie łosiową rękawiczką. Wkrótce zbliżyli się do drugiego budynku. W prostokątnych, żelaznych drzwiach po kazał się młody grenadier w niedźwiedziej czapie i zasalutował rapierem. Oficer łosiową rękawiczką wskazał na Joachima, czy odwrócił się i odszedł wyciągając z kieszeni paczkę mocnych papierosów lobo. Za chwilę zwołnił, szcękając zapalniczką, wydmuchnął niebieskawą chmurę i szybkim krokiem ruszył dalej w stronę kantyny.

Joachim rozglądając się wszedł po schodach na pierwsze piętro budowli. Było tu cicho: wysokie okna wychodziły na stajnie, oficer w białej rozpiętej koszuli rozgrzewał białego ogiera na maneżu. Korytarz biegł prosto: po prawej stronie, co kilka kroków, mijali otwarte drzwi, w których piętrzyły się pod sufit żelazne łóżka z materacami w kolorze liścia herbe. Weszli do przedostatnich. Stał tu za drewnianą balustradą starszawy podoficer trzymając w ręku papierowy bloczek. Kiedy Joachim pojawił się w drzwiach, usłyszał:

— Przebrać się...!

I stary podał mu zwinięty kłęb. Joachim oniemiał. Spojrzał pytająco na grenadiera, ale tylko oddalające się kroki mówiły o jego istnieniu: biało-granatowa flanelowa piżama w paski i pantofle bez

pięt splecione z czarnego sitowia!...

--- Nazwisko! - - stary nie podnosił oczu zajęty rozklejaniem kartek. El Toro, Joachim El Toro.

W odpowiedzi rozległ się urywany szelest kopioowego ołówka.

— Podpisać tu!

Znowu zaskrzyphiał ołówek.

--- Możecie odejść.

Joachim usiadł na drewnianej ławce pod ścianą. Chwilę patrzył na flanelowe łachy obok, po czym zabrał się do rozzuwania trzewików. Stary rzucił w jego stronę workiem z czarnym nadrukiem i brązową tekturką z cyfrą, odwrócił się i zabrał do liczenia pantofli. Przerzucał je gwałtownie i klął pod nosem.

--- Dużo tam was jeszcze?! — warknął pochyłony nad wiklinowym koszem, w którym piętrzyła się góra szarych łapci. W rozdrażnieniu szarpał zwojami piżam związanych białą tasiemką, odpychał od siebie worki z ubraniami, które zagradzały dojście do magazynu oddzielonego od tej części pomieszczenia ścianką z sosnowych listew.

— Nie wiem — odpowiedział Joachim. --- Chyba dużo.

Stary rzucił zwojem szarych szlafroków w ką, pod balustradę, tam gdzie w wielkiej skrzyni z dykty, leżały kłęby bawełnianych onuc. Nie wiadomo po co, burknął:

— Szybciej!

I w milczeniu walczył dalej z bezwolnością przedmiotów zawałających posadzkę.

Joachim ściągnął już swoje ulubione pludry. Białe pończochy zwinął w kłębek, żeby się nie pogubiły, surdut złożył w kostkę i stał tak boso, w spodenkach, na zimnej podłodze. Wszystko te wpakował do worka; zaciągnął wybrudzonym sznurkiem. Jeszcze jeden rzut oka: tak, numer... zapamiętać... dwadzieścia dwa tysiące osiemset dziewięćdziesiąt cztery... — powtórzył to parę razy w myślach i podszedł do balustrady. Stary przez chwilę miotał się jeszcze schylony nad płataniną koszul wreszcie odwrócił się i wyrwał worek z jego rąk. Po czym wyciągnął dłoń do góry i pociągnął za zwieszający się łańcuszek. Dopiero teraz Joachim zobaczył, że pomieszczenie jest tak wysokie, że trudno właściwie dojrzeć sufit. Nad głową starego kołysały się na żelaznych hakach setki worków. Worek Joachima też powędrował na hak i ruszył w górę przy zgrzycie przesuwanego kółka umieszczonego gdzieś wysoko. Stary, jak dzwonnik ze św. Jakuba, prostował się i zginał naciągając żelazną uprząż. Worki kołysały się w dziwnej czerwonawej poświacie. Joachim zmrużył oczy: pomiędzy

czarnymi krechami łańcuchów prześwitywał okrągły witraż prószący mglistym światłem. Kolorowe szybki układały się w wizerunek „dziecka-starca” wyraźnie wzorowany na słynnym sztychu. Tylko dwa pióra orle skrzyżowane nad głową chłopca odbiegały od wzoru. Stary sapał, mozolił się nad ciężarem, wreszcie skończył.

Joachim wrócił pod ścianę: naciągnął piżamę i czarne pantofle. Wszystko było luźne, lepkie, za duże i pachniało mlekiem. Tasiemka w spodniach była zakończona dwoma twardymi węzełkami. Guziki były obciążone białym płótnem. Pantofle były wilgotne. Joachim stał w drzwiach niezdecydowany.

Stary rzucił na niego okiem i sięgnął po plik zadrukowanych papierów.

— Sto siedemnaście. Na lewo — rzucił na odczepnego.

Szurając pantoflami, zaciągając rozchylającą się na piersiach kurtkę, Joachim poszedł korytarzem. Otworzył drzwi pod emaliowaną tabliczką z cyfrą 117 i wszedł do środka. W pierwszej chwili, odniósł wrażenie, że pomylił pokoje - cofnął się i spojrzał aż jeszcze na numerek. Ale nie — wszystko się zgadzało, to była ala sto siedemnaście. Na białych łóżkach siedzieli tu ludzie w granatowych szlafrokach, flanelowych bluzach, pasiastych piżamach... Kilku młodszych tkwiło na parapetach w oknach wychodzących na dziedziniec. Wszystkie głowy zwróciły się w jego stronę. Minął brodatego mężczyznę z siwizną na skroniach, potem chłopaka, który obgryzał paznokcie, wreszcie przysiadł się na łóżku obok czarnowłosego Metysa. Ludzie wrócili do swoich rozmów, które, widać, zostały przerwane jego wejściem. Metys spojrzał na Joachima:

— Wzięli mnie o czwartej, od Lifszycy... — powiedział wyjmując z ust drzazgę, którą dłużył w zębach.

— Mnie trochę później — chyba była piąta.

Joachim poprawił flanelową kurtkę, poczuł zimno na piersiach, od okien ciągnął nieprzyjemny chłód.

Łóżko skrzyknęło. Metys położył się na wznak, pantofel kołysał się na długiej nodze, która zwisała między białymi prętami. Patrzył w sufit i dłużył w czarnym zębie. Miał spierzchnięte usta.

— Widziałem, że brali też do garnizonu w El Coro... Tam jest Porucznik Garezza... gwintuje odtylcówki... można żyć...

Joachim spojrzał na swoje stopy: były zaczerwienione, niebieska żyła pulsowała miarowo pod przybrudzoną skórą. Podłoga z desek zaciągnięta czarnym pyłochłonem wydawała nieprzyjemny zapach.

— Zrobią pewnie kwarantannę — powiedział brodacz przecierając okulary flanelową połą kurtki. Miał spuchnięte przymrużone oczy.

— Chyba nie ma w tym wszy... — szarpnął rękawem i zaczął uważnie oglądać zaszewki na mankietach.

--- Kwarantannę?

Młody kędzierzawiec siedzący na oknie spojrzał na niego niechętnie. Odwrócił głowę w stronę szyby, jakby wcale nie czekał na odpowiedź. Patrzył w dół, na dziedziniec i prawą dłońią przesuwał po zarastającym policzku.

— Jaką tam kwarantannę...

Przysunął twarz do szyby i uważnie patrzył.

— Lepiej zobaczcie, co się szykuje...

Ludzie wstawali z łóżek, poprawiali na sobie łachy i cisnęli się do okien. Jeden tylko Metys pozostał na łóżku i z ręką pod głową śledził ruchy much na suficie. Joachim przysunął się do framugi. Nie mógł zobaczyć — głowa brodacza zasłaniała mu widok.

— Popatrzcie tam...

Kędzierzawiec kiwnął głową. Joachim wspiał się na krawędź łóżka i spojrzał nad głowami na bramę znajdującą się pośrodku przeciwległego gmachu. Na zwirowanej alejce między niskimi platanami, których pnie otaczała koronkowa barierka o barwach Wszech-Hispanii, stały wozy o dziwnym kształcie. Miały wydłużoną, pochyłą budę z wyginanych desek — klepek dębowych — żelazne okucia czerniły się na drewnie, na górze kwadratowa skrzynia była przykryta zieloną plandeką. Obok stała grupka biało ubranych bosych ludzi...

— Co to? — zapytał człowiek z łysiną okoloną rudawymi strąkami przetłuszczonych włosów.

— A diabli ich wiedzą. — Kędzierzawiec wycedził powoli. Wytarł usta rękawem i nie odrywał oczu od ciemnych kształtów na wysokich biało pomalowanych kołach. — Pewnie nic dobrego.

Joachim odwrócił się i wymijając gęsto poustawiane łóżka wrócił do Metysa. Ten spojrzał na niego spod ociężałych powiek.

— Co tam zobaczyli?...

Joachim sięgnął po „Journal” leżący na kocu, w nogach mieszańca, i rozkładając gazetę odpowiedział:

— Nic.

Machinalnie wodził oczami po kolumnach... Tytuły były takie jak zwykle: *Juan Carlos przyjął ambasadora Górnej Conrovii...* *Kolejne wodowanie korwety...* *Peoni dziękują za coraz lepsze zbiory...* *Odpowiedzialność i rozważa...* *Dać odpór...* Natrafił na

niewielką wzmiankę o wczorajszym: *wszyscy potępiają... przebaczenie... nasza cierpliwość... wybaczyć... kochać... zaufać...* Odwrócił stronę, przebiegł oczami po *krótkim przypomnieniu szlachetnych czynów tych, którym tak wiele zawdzięczamy*, przejrzał informacje o wynikach Grand Prix — spojrzął w dół i drgnął: nie wierzył własnym oczom! W dole, w samym rogu strony widniał ułożony dyskretną kursywą typu Artellios skromny parowersowy zapis: *A. P. A. Jak donosi nasz korespondent, wczoraj z powodu ulew i upalów do Corado nie nadeszła kasza z prowincji Huaz. Wszech-Hiszańskie władze czynią wszystko, by nadeszła.*

— To nie-mo-żli-we! — wyszeptał Joachim. Poczł przyspieszone bicie serca.

— Co tam znalazłeś? — Metys poprawił się na łożku, które zajęczało porwanymi sprężynami. Skulił się pod kocem i zamknął oczy. Leżał na boku — pantofel z wysuniętej poza pręty nogi spadł na zaczernione deski. Joachim jeszcze raz przebiegł oczami notatkę.

— Wezmą nas do El Huaz.

Metys pociągnął nosem — czuło się, że ma wszystkiego dosyć.

— Do El Huaz?

— Tak.

Joachim nie miał wątpliwości. A więc zaczęło się! Wolał jednak milczeć, nie znał tych ludzi, nie wiedział kim są i czego chcą. Nawet Metys wydał mu się w tej chwili podejrzany...

Tamci tkwili nadal przy oknie. Nagle odwrócili się i szybko, popłochu, poczł wracać na swoje miejsca. Brodaty przytrzymał okulary na nosie i szurgotał łapciami, które gubił po brodze.

— Idą tu.

Kędzierzawiec, który pozostał na parapecie i kiwał owłosioną łydką, spojrzł w dół, pod samą ścianę budynku.

Zapanowała cisza.

Joachim złożył gazetę. Metys nawet nie drgnął, tylko głośniejsze sapnął ze zniecierpliwieniem. Wszyscy patrzyli teraz na drzwi pokryte łuszczącą się farbą olejną. Nie dobiegał stamtąd żaden odgłos. Dopiero po chwili Joachim usłyszał oddalone kroki. Dumniące echo załomotało w sklepionej beczce korytarza.

Z prawej strony zbliżała się grupa ludzi stukających ciężkimi buciorami. Szli szybko, stanowczo, ostro... Łomot narastał, narastał... narastał... Wszyscy jak zahipnotyzowani wpatrzyli się w mosiężną klamkę wyslizganą do słonecznego połysku milionem żołnierskich uścisków. Klamka drgnęła i powoli zaczęła przechylać

się w dół rozległ się tubalny śmiech, ktoś zawołał donośnie, odpowiedziało kilka męskich głosów.

Klamka zastygła.

Serca czekających przyspieszyły.

Klamka znowu ruszyła —na końcu korytarza szeptano — i znowu zastygła. Rozległ się dziwny perlisty śmiech i drzwi rozwarły się z hukiem.

Do sali potężnymi krokami wszedł doktor Rumbiedo Iclesias — zwalisty, rumiany mężczyzna o obwisłej wardze dolnej; głowa siwawa, ostrzyżona krótko, krzaczaste brwi, złoty ząb i wspañiale rozwinięte wole, które pod brodą przelewało się jak żółtko w jajku.

Staął teraz między łózkami i odsłonił w uśmiechu górne śnieżnobiałe zęby. Miał wzrok świdrujący; oczy powoli wędrowały po twarzach. Natychmiast zaczęto wstawać z łózek, ale szło to niemrawo — Metys odwrócił się tylko, patrzył przez ramię rozespanymi oczami i marszczył brwi. Nagle rozległ się wrzask — ktoś, kto krzyczał, miał chrypę, ale starał się wypaść jak najlepiej.

— Po-wstać!!!

Zerwali się wszyscy — nawet Metys przyjął postawę pionową, choć nie mógł sobie poradzić z flanelowym kubrakiem bez guzików. Jego pierś pokryta czarną gęstą szczeciną wystawała wciąż zza biało-niebieskich fałd. Zza Rumbiedo wysunął się trzydziestoparoletni porucznik z ukośnym szczecinowatym wąsem — to on wydał rozkaz nadający ład chaosowi. Za nim stali oficerowie w białych kitlach. W głębi, tuż za drzwiami coś dziwnie zaszeleściło i uciszyło się. Rumbiedo trzymał ręce w kieszeniach szeroko rozpiętego białego fartucha, był w oliwkowym mundurze Królewskich Służb Medycznych, przepasany liliową Szarfą Krwiodawcy, ze srebrnym gwizdkiem i małą srebrną łyżeczką.

— Asystent Covicdo! - głos doktora był pełen spokojnej stanowczości. - Ustawcie ich jakoś.

Człowiek w pochyłym berecie na wydłużonej głowie i z lekko odstającymi uszami stanął pośrodku sali.

— Macie podchodzić do sire doktora, jak zawoła.

Nie było wątpliwości: był ze wsi, chyba z okolic Altulco, jeśli sądzić po akcencie. Rumbiedo jeszcze raz powiódł spojrzeniem po zebranych.

— Choroby są?

Odpowiedziało mu milczenie. Ale już za chwilę spod okna rozległ się zadyszany głos mężczyzny ze skrofulicznymi stopami:

— Tak, dwunastnica. Wrzody. Ssie mnie w dołku po jedzeniu i

przed jedzeniem. Kolki, jak zjem coś gorącego, kolki — i to jakie — jak zjem coś zimnego, w nocy nie daj Boże, skurcze, krwawienia...

Natychmiast dołączyli następni: pokazywali powykręcane reumatyzmem palce, kaszlali głucho dźwiękiem jak ze studni, ktoś splunął na śnieżnobiałą chustkę i zawartość węzełka wyciągał przed siebie... Ktoś inny wywracał oczami i wprawiał w ruch dłonie, które zaczęły trzepotać jak skrzydła kwiczoła pod lufami dwururki... Twarz Rumbiedo znieruchomiła: wiśniowa warga znów powędrowała do góry odsłaniając olśniewające siekacze — w oczach pojawił się ciemny błysk. Trudno było o bardziej przekonywające oznaki najwyższego niesmaku. Chwilę milczał czekając aż wzbierająca fala skarg — jakże niskich i odpychających wzdrygnął się do wewnątrz) — opadnie. Po czym zapytał, z lekkim przyciskiem:

— Choroby wstydlive, ja się pytam.

Tym razem odpowiedzią było zdecydowane, jednogłośnie za-grzeczenie. Za oficerami w kepi znowu coś zaszeleściło. Rumbiedo do nabrał powietrza w płuca i splótł ręce za sobą.

— No to zrzucić z siebie wszystko.

Joachim rozpoczął rozpinanie flanelowej koszuli. Metys zsunął ją szybko: wyglądał wspaniale; chudy, ale z szerokimi ramionami, gładki, choć owłosiony na piersiach, oliwkowa cera połyskiwała w łagodnym świetle poranka. Kiedy zsunął spodnie jego piękno osiągnęło zenit. Szelest w drzwiach wzmógł się i zastygł, kurtki i spodnie opadały szybko na łóżka. Ciała chude, tłuste, żyłaste i różowawo-galaretowate odsłoniły całą swą krasę. Rumbiedo warknął:

— Podchodzić.

Wszyscy ruszyli ku drzwiom. Asystent Coviedo szarpnął się wśród łóżek, jego kordzik zadźwięczał uderzając o miedziane skóWKi na mankietach.

--- Nie tak! Po kolei.

I podszedł do oficera z bokobrodami blond. Tamten podał mu czarną skórzaną walizeczkę medyczną, na której wyciśnięto gorącym żelazem cyfrę królewską i dwa monogramy splecione jak ciała kochanków. Szczęknął niklowany zamek i ręka Rumbiedo zanurzyła się w mrocznej czeluści. Za chwilę ukazała się na powierzchni: w dłoni lśniło metalowe pudełeczko. Asystent Coviedo odebrał je i otworzył, zastygając jak ministrant podczas sumy.

Do Rumbiedo podszedł brodacZ w okularach. Zatrzymał się

pół kroku, oczekując na tklive dotknięcie rąk tego, który obdarza zdrowiem. Skulił się i rozcapierzoną dłonią zasłonił przyrodzenie. Nagle stało się coś, co oszołomiło wszystkich. Rumbiedo przebiegł oczami z góry na dół po wypukłej sylwetce, która stała przed i warknąwszy — Przechodzić! — sięgnął do pudełeczka, po czym raptownie trzepnął brodacza w czoło. Rozległo się gumowate plaśnięcie i brodacza zachwiało się. Ale już słyhać było następnie — oficer w kepi powtórzył gest doktora. — Następny! — głos Rumbiedo wyrażał najwyższą niecierpliwość. Kolejka przesuwała się błyskawicznie — plaśnięcia powtarzały się rytmicznie, tak jakby ktoś strzelał tłustymi dłońmi. Następny... Następny... Następny...

Joachim widział przed sobą czyjeś różowe plecy. Na karku czuł gorący zapach liści czerwonego tytoniu bijący z ust Metysa. Jeszcze chwila — i stanął przed obliczem samego Rumbiedo. Umundurowana ręka zatoczyła krótki łuk, rozległo się plaśnięcie i Joachim poczuł na czole elastyczne wilgotne dotknięcie. Za moment mignęła przed nim twarz oficera w kepi — i poczuł to samo na lewej łopatce. Kątem oka zobaczył jak Rumbiedo robi zamach - już ma zadać cios... gdy nagle zastyga i opuszcza rękę: to Metys, wyższy od niego o głowę, stanął przed dostojnym gro-nem.

— Tobie nie trzeba. Będziesz ogrodnikiem komendanta... Ubieraj się!

Trwało to chwilę i znowu rozbrzmiało rytmicznie: Następny!... Następny!... Następny!... Dopiero teraz Joachim przyjrzał się ciałom, które wracały od doktora. Na czole łysawego blondyna widniał trójkątny fioletowy stempel z napisem *Zdolny do służby na ziemi, pod ziemią i w wodzie*, na plecach zaś okrągły — z napisem *Kto ginie za króla, królem się staje* — fioletowe listki bobkowe snuły się po różowej skórze wokół liter wykaligrafowanym pismem angielskim: W.T.H. 968 29/98/6. Dotknął głowy i spojrzał na palce: ale nie było na nich śladów tuszu. Stary mężczyzna, wracając na łóżko wycierał czoło flanelą. Spluwał dyskretnie na połę piżamy i szorował skórę. Asystent Coviedo spojrzał na niego z politowaniem:

Nie ścierać. I tak nie zejdzie.

Stary przerwał na chwilę, podniósł na niego przymrużone oczy i znowu wziął się do ścierania. Ale rzeczywiście nie schodziło. Rumbiedo kończył stemplowanie --- jeszcze jedno uderzenie, jeszcze jedno... i już! — Trójkątna pieczętka powędrowała do pudełka, pudełko do walizki, walizka... pozostała w rękach asystenta Coviedo.

Rumbiedo poprawił szarfę i odwrócił się w stronę drzwi. Białe kitle rozsunęły się i ludzie w piżamach zastygli z wrażenia.

W drzwiach stała hrabina Izydoria Schwarzenberg, komenda litowa twierdzy Sanditz, kobieta lat może trzydziestu, z roziskrzonymi wielkimi oczami gazeli i poziomkowymi wargami, które niczym drogocenna oprawa klejnotu wydobywały całą krasę jej uzębienia białego jak śnieg na szczycie Cumiello. Miała na sobie szeleszczącą suknię długą i obcisłą, w kolorze sinawej purpury, której marszczenia grały jak skręty różowej muszli z zatoki El Horo, i wytworny wielki kapelusz tak purpurowy, że trzeba było mrużyć oczy, na którym stygły wilgotne, żywe róże chalcedońskie z ogrodów pałacowych — dar samego Altiego, ścinany jego dostojną ręką. Spod woalki przejrzystej jak różana mgiełka nad laguną w dzień św. Łucji rozległ się głos miękki i przejrzysty jak trącone kryształły:

— Doktorze Rumbiedo, dziękuję...

Rumbiedo skłonił głowę — gwizdek i łyżeczka brzęknęły cicho. Hrabina ujęła suknię ręką w czarnej rękawiczce do pachy i w szeleście jedwabiu, zostawiając za sobą obłok chalcedońskiego zapachu znikła za białą framugą. Jeszcze przez ułamek chwili błysnęła jej biała pończoszka i perłoworóżowy bucik na niebotycznym wążutkim obcasie... Rozległo się szklane stukotanie po płytach... Doktor Rumbiedo ze swym orszakiem wypadł na korytarz: łomot podkutyh buciorów zagłuszył dźwięki lekkie jak gra wiatru w kryształowej zastawie na tarasie nadmorskiej daczy generała Schwarzenberga.

Zrobiło się cicho. Ludzie nie mogli otrząsnąć się z wrażenia: jeszcze teraz, kiedy już jej nie było, patrzyli w otwarte drzwi, gdzie w promieniu jasnego porannego słońca wirowała kolumna kurzu poruszona pachnącym jedwabiem. Metys podgarnął spodnio i wybiegł na korytarz. Wkrótce jego kroki ucichły — gdzieś w głębi gmachu po prawej stronie. Ludzie siedzieli nieruchomo na swoich łóżkach i milczeli.

Ale nie dano im czasu na rozmyślania. Znowu rozległ się łomot buciorów — tym razem szło tylko dwóch. Jeszcze chwila i pojawili się w drzwiach. Pierwszy wszedł białorzęsy kapitan artylerii w uniformie ze srebrną gwiazdą, za nim wsunął się grenadier z notatnikiem w rękę. Artylerzysta uniósł w górę podbródek i rzucił ślimacze spojrzenie na Joachima. Potem rzucił w stronę grenadiera:

— Wyprowadzić i ustawić.

Notatnik opadł w dół — grenadier wydał rozkaz:

— W dwuszeregu!... na korytarzu!... zbiórrr-ka!!!

Ludzie ruszyli ku drzwiom. Joachim wyczuł na sobie uważne spojrzenie białorzęsego. Zajął miejsce w drugim szeregu i patrzył przed siebie, na ścianę z wielką planszą obrazującą Przyszłe Szczęście Wszystkich.

— Kolejno odlicz!

Ludzie zaczęli wykrzykiwać kolejno liczby, to grubym, to cieniutkim głosem. Rachunki szły niemrawo, wreszcie ostatni w pierwszym szeregu — młody, lekko zezujący mężczyzna o nienaganym użębieniu — wykrzyknął: czterdzieści trzy!

Teraz zaczęło się wyczytywanie z listy. Grenadier mruknął:

— Zgadza się — i otworzył notatnik.

— Alfonso Zartos.

— Jestem!

— Gundof Caraviedo.

— Jestem!

— Joachim El Toro.

— Jestem!

Grenadier podniósł oczy znad papierów pokrytych śladami kłopotliwego ołówka, ślinionego przy pisaniu.

— Wystąp!

Joachim wyciągnął lewą rękę, dotknął ramienia stojącego przed nim starszego mężczyzny z różową wysypką na karku i wyszedł przed dwuszereg. Łapcie z sitowia zaszurgotały po kamiennej posadzce. Stał parą kroków od białorzęsego. Kiedy odwrócił głowę, zauważył stojącego w głębi cywila o milej powierzchowności. Białorzęsy pochylił się w stronę tej postaci, potem wskazał na Joachima i zapytał:

— To ten?

Cywil potaknął ruchem powiek. Białorzęsy ze zniecierpliwieniem strzepnął ręką kurz z czerwonego lampasa.

--- Wstąp!

Joachim wykonał zwrot i stanął w drugim szeregu. Grenadier znowu wyczytywał nazwiska. Każda komenda i odpowiedź odbijały się dudniącym echem w sklepionym tunelu korytarza. Jeszcze kilka okrzyków — i było po wszystkim. Teraz, rozległa się komenda — w pra-wo — zwróć! I dwuszereg postaci przyobleczonych w flanelowe stroje ruszył w stronę wyjścia.

Na dziedzińcu minęli kilkunastu kadetów stojących wokół armaty. Grupa słuchała w skupieniu oficera, który opierał się swobodnie o tarczę ze stalowej blachy i bawił się długą, mosiężną gilzą kaliber 9 mm. Joachim usłyszał głos spokojny i jakby ocię-

żały: niebezpieczni... kula w łeb... sznur porucznika... dostarczyć do El Hanz... nie gadać z nikim, odmaszerować!... Grupka rozsyłała się i kadeci podbiegli i do mauzerów ustawionych w kozły. Zarzucali broń na ramię, poprawiali oporządzenie, zaciągali świeże rzemienie na ładownicach. Oficer rzucił na ziemię gilzę i poszedł w stronę kantyny. Teraz przejmował komendę artylerzysta zamrugał białymi rzęsami, zmrużył oczy (słońce stało już wysoko, wrony pochowały się w zakamarkach strzelnic, zapowiadał się upalny dzień) i kiwnął na grenadiera. Ten wysunął się przed ludzi w piżamach i zawołał:

— Eskorta!...

Kadeci rozstawili się po obu stronach dwuszeregu z mauzerami na ramieniu. Joachim zobaczył obok siebie różowego blondyna z zadartym nosem: na wysokości zaczerwienionego ucha chłopaka sterczał pruski bagnet z ukośnym ząbkowaniem, mauzer lśnił od świeżej oliwy, zamek wypolerowany jak szkło odstrzeliwał słoneczne rozbłyski. Podwójne ładownice przy pasie miały kolor safianu. Na złożonych guzikach połyskiwała, znana wszystkim dewiza wytłoczona budzącą szacunek szwabachą.

Rozległa się komenda — Naprzód — marsz! — i dwuszereg ruszył w stronę wozowni po świeżo wygracowanej ścieżce. Wszędzie panował ład i porządek. Wielkie plansze pokryte gigantycznymi literami podnosiły morale i rozwijały wszechstronnie. Kadet z pierwszego rocznika, w zielonej koszuli, kosił trawę wokół kwietnika, na którym z bratków i bławatków ułożono królewską cyfrę. Inny, wielkimi ogrodniczymi nożycami, strzygł żywopłot przed wartownią. Na biało-żółtym maszcie z kulą ziemską na szczycie, otoczoną wieńcem z kłosów, powoli falowała chorągiew z lwem i kukułką. Kadeci milczeli, łapcie szurgotały, białowąsy dzwonił ostrogami.

Skręcili za budynek z ciemnoczerwonej cegły. Na wąskim podwórzu między niskimi barakami wozowni stało tu pięć wielkich furgonów z budami obciążniętymi płótnem. Na śnieżnej bieli materiału puszyły się wielkie czerwone krzyże, pod nimi biegł niebieski napis: Ochronki i Szpitale Królewskie. Grenadier podszedł do pierwszego wozu i zajrzał pod plandekę, machnął ręką w stronę wozaków, którzy stali pod ścianą wymalowaną w biało-żółte asy i krzyknął:

— Na wóz!

Wozacy ruszyli. Ludzie zaczęli gramolić się do środka; gubili łapcie, poprawiali flanelowe łachy. Po kilku chwilach wozy były pełne. Joachim siedział w ostatnim z przodu, na ławce przytwier-

dzonej łańcuchami do drewnianej burty, z tyłu siedziało czterech kadetów. Lufy mauzerów przesunęli w stronę wnętrza, Oczy spod lśniących daszków uważnie obserwowały ludzi zanurzonych w półmroku. Ze szczelin w plandecie wypadały ruchliwe, rozedrgane promienie słońca i mrowiły się na podłodze. Wozy ruszyły. Joachim poczuł najpierw szarpnięcie, polem kopyta załomotały po bruku z bukowych kostek, furgon zakołysał się i wozownia powoli zaczęła się oddalać. Wyjechali na dziedziniec. Okrążyli kilka armat stojących na żelaznych podstawach, przejechali obok żywoplotu (młody żołnierz błyskał szczękającymi nożycami — ścięta zieleń sypała się na żółty żwir), wreszcie minęli szlaban (wartownik ścigał teraz w dół żółto-czerwone drzewce obwiązując koniec belki łańcuchem)... Byli na ulicy. Dzień zaczynał się, ale na trotuarach kręciło się sporo ludzi. Szli szybko, wchodzili i wychodzili ze sklepów, kupowali „Journal” (Huerta uważał, że jeden dziennik z powodzeniem wystarczy...), nieśli skórzane torby, dwu robotników ładowało na żółte deski ze świeżego drzewa herbe... Przed kawiarnią Lifszycy rozsuwano biało-granatowe markizy. W wielkich szybach wystawy Joachim zobaczył faliste odbicie kawalkady szpitalnej. Nie jechali jednak w stronę Twierdzy. Minęli most św. Anioła, potem Hale i park; zza drzew wysunął się czerwona wieża św. Jakuba i zniknęła za murem zieleni. Potem zjechali w dół wąską uliczką, na zakręcie, w szczelinie między białymi ścianami pojawiło się ciemne morze, w górze, na sznurach przeciągniętych między balkonami łopotały białe prześcieradła. Stary Mulat pochylony pod ciężarem kosza wspinał się ku miastu: z wiklinowej plecionki, wypełnionej po brzegi, wypadła pomarańcza i potoczyła się po jezdni, w dół za wozami. Murzyńskie dzieciaki rzuciły się w pogoń za ciemnożółtą kulą, która podskakiwała po nierównych kamieniach wyślizganego bruku, rzucając wydłużony, ruchliwy, owalny cień.

Domy stawały się coraz niższe — miały płaskie dachy... Joachim rozpoznawał z łatwością: jechali teraz w stronę Zarzecza. za chwilę zobaczą bambusowy most przerzucony nad węższym rozgałęzieniom delty... Skręcili w wielką bramę, która kiedyś była bramą warowni.

Przez chwilę jechali w wilgotnej ciemności pełnej echa, potem wydostali się na słońce.

Za nimi, na łagodnym wzgórzu, piętrzyło się miasto.

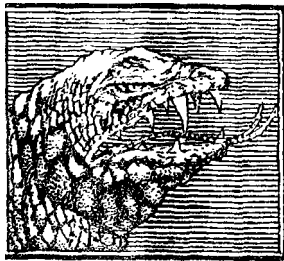
Przed nimi droga z tłuczonego kamienia skręcała w stronę niskich ceglanych zabudowań.

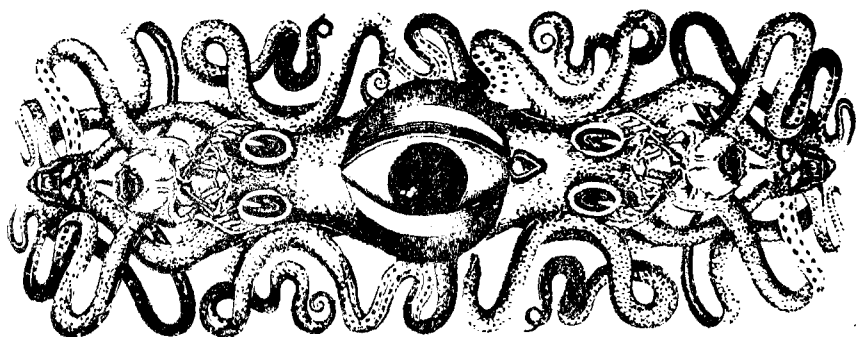
Wielka wieża ciśnień górowała nad parowozownią, z której

wydobywały się kłęby dymu — Joachim wiedział już, że jadą na dworzec Arcole.

Kawalkada zwolniła. Przez szparę w plandecce zobaczył kilka wozów, które mijały ich teraz w drodze ku miastu. Jechały wolno, wozacy cmokali z rzadka, sennie potrząsając batami. Na nierównościach furgony podskakiwały, spod białych plandek dołatywał szurgot ciężkich przesuwających się przedmiotów. Kiedy przejeżdżał wóz ostatni, wiatr szarpnął białym płótnem z napisem *Miclesis i spółka Meble używane*.

Joachim spojrzął do odsłoniętego wnętrza: wóz był wyładowany po brzegi sosnowymi trumnami.





STRZAŁY NA LINII ARCOLE — EL HUAZ

Pociąg wspinał się po zboczu. Szczyty były zamglone, słońce stało wysoko, upał narastał. Joachim siedział na słomie i patrzył bezmyślnie w uchylone drzwi wagonu. Kadeci drzemali pod ścianami. Jeden z nich stanął w drzwiach i celował z mauzera do indiańskich dziewcząt, które wracały z targu wzdłuż nasypu, niosąc na ramionach szerokie chusty z owocami sorte. Indianki zasłaniały głowy rękami, kuliły się — i gubiły wszystko: owoce rozsypywały się na czerwonej drodze. Babski pisk przebijał się nawet przez narastające świsty lokomotywy. Kadet długo trzymał broń przy oku, potem wyszczerzał białe zęby w uśmiechu. Dziewczyny podnosiły się z ziemi otrzepując sukienki i groziły mu pięścią: wybuchały złośliwym i zaczepnym śmiechem — rozpoznawały swojego; był przecież chłopakiem z podobnej wioski jak ta, którą Joachim teraz zobaczył. Zza zakrętu, w dole pod drewnianym rusztowaniem mostu przerzuconego nad przełęczą, wysunęło się kilka białych domów krytych czerwoną dachówką. W chwilę później zasłoniła je wielka korona azaliowca, z której zerwały się stada kolorowych ptaków kri. Chmura roztrzepanych barw przeleciała nad różową skałą spadła w głąb wąwozu, na którego dnie połyskiwała nitka wodospadu. Joachim sennie przypatrywał się wzgórzom porośniętym tak gęsto, że wyglądały jak wielkie parujące kępy ciemnozielonego mchu. Mgła snuła się w dolinach. Co jakiś czas w rozsuniętych drzwiach widział lokomotywę wyrzucającą w górę kłęby białego dymu: pociąg skręcał na wiaduktach wzniesionych z potężnych pni herbe, wtedy widać było też zielony wagon pocztowy z napisem: *List łączy nas, wróg ludu dzieli*. Na dachu siedziało

dwóch kadetów w potowych mundurach . Trzeci ładował długie mosiężne pociski do łożyskowego magazynka armatki osłoniętej workami z piaskiem. Czerwono-żółta chorągiew zatknięta przy dzwone lokomotywy łopotała, zielone ptaki wpadały w chmurę pary i wylatywały w górę z rozdzierającym krzykiem.

Joachim poczuł uderzenie w plecy. Odwrócił się. To kadet z zadartym nosem odłamał nierówny kawał od okrągłego bochenka posypanego grubymi ziarnami soli i rzucił w jego stronę. Żołnierz siedział przy żelaznym piecyku, na środku wagonu i gotował kawę w czarnym saganie. Jego towarzysze w rozpiętych mundurach drzemali pod ścianą, tylko skośnooki Metys, który nawet nie zdjął kaszkietu, wysunął broń w stronę ludzi siedzących na drewnianej podłodze. Joachim mógł się teraz dobrze przyjrzeć ząbkowaniu na bagnecie: ostrze połykiwało kołysząc się w rytm uderzeń kół. Oczy Metysa były przenikliwe i nieruchome. Obok jego nogi w błyszczącym botforcie stała klatka z bambusowych prętów. W klatce drzemał mięsożerny legwan - brunatnozielony, z grzebieniem pokrytym nabrzmiałymi brodawkami, w skórzanej obroży z cyfrą 896. Spod ciężkiej zrogowaciałej powieki świeciło zielonawe, wodniste oko.

Joachim wbił zęby w kwaśnawy miąższ — chleb był świeży, ale pachniał saletrą i mertosem. Ludzie żarłocznie szarpali zębami brązową skórkę. Siedzący obok Joachima brodacz żuł powoli, w zamyśleniu, wyczesując palcami z głowy wióry i słomę. Po chwili podniósł do ust blaszane naczynie pełne wody. Krople spłynęły mu po brodzie i zostawiły ciemny ślad na piersiach pokrytych kurzem. Pociąg jechał powoli, zbliżał się do wielkiej przełęczy między El Soro i Alvorado. Za drzwiami Joachim ujrzał kępy pionowych kaktusów ulavos, ziemia miała tu kolor żółty, pojedyncze skały sterczały ponad kolczastymi kępami czarnego głogu. Suche gorąco buchnęło do wagonu. Ludzie — półnaczy, błyszczący od potu — kiwali się w rytm uderzeń kół, zapadając w półsen. Brodacz pił łapczywie. Joachim wyciągnął rękę w jego stronę.

Już miał ująć żelazną rączkę naczynia — pochylił się lekko, zbliżał powoli palce, uważając by nie uronić ani kropli — gdy nagle rozległ się głośny trzask, wagon szarpnął i Joachim runął wylewając całą zawartość. Woda chlusnęła na przewracający się piecyk. Para buchnęła z sykiem. Metys utracił równowagę i runął na plecy. Kadeci drzemający pod ścianą zerwali się patrząc nieprzytomnie na przewrócony piec. Rozżarzone węgle sypnęły na podłogę i słoma natychmiast zajęła się żółtym, pelgającym



plamieniem. Brodac chwycił wilgotną flanelę i uderzył nią w rosnący ogień. W wagonie pociemniało od dymu, kadeci rzucili się w stronę drzwi, chwytając oparte o ścianę mauzery i zastygli w oczekiwaniu.

Ten, który stał przy drzwiach, wychylił się i spojrzał w stronę lokomotywy. Rozcierał ramię po uderzeniu o żelazną framugę. Patrząc w dół powiedział:

—Nic się nie stało. Przebiliśmy się.

Joachim zobaczył, jak za drzwiami, na poboczu porośniętym purpurowymi naparstnicami, mignęły rozrzucone belki i białe kamienie.

Uderzenie lokomotywy rozniosło barykadę, którą ustawiono na torach.

Pociąg przyspieszył. Rozległy się trzy przeciągłe gwizdy i uderzenie dzwonu. Metys odwrócił się w stronę ludzi w pasiastych łachach i spokojnie wydał komendę:

— Na podłogę!

Kadeci zarepetowali broń. Metys sięgnął do skórzanej torby i wyciągnął tekturowe pudełko oklejone białą banderolą z czerwoną cyfrą Juana Carlosa. Rozerwał papier zębami. Na podłogę wysypały się świecące naboje. Kadet stojący przy framudze przyklęknął, zmrużył oczy i uważnie patrzył w gąszcz, który przesuwiał się wzdłuż pociągu.

— Myśleli, że to pasażerski do El Huaz... Teraz dali sobie spokój...

I kiwnął głową w stronę lokomotywy. Pociąg zakręcał. Joachim zobaczył, jak celowniczy skulony na dachu wagonu pocztowego za osłoną z worków ściga brezentowy pokrowiec z działka... Bagnety kadetów pochyliły się w stronę przelatujących za drzwiami kęp czerwonego jałowca. Metys cofnął się do wagonu i kucnął. Otworzył zamek mauzera, potem parę razy szarpnął: sprawdził czy rygiel chodzi miękko w prowadnicy i czy zaskakuje w prostokątne nacięcie. Ułożył kilka naboji na podłodze tak, aby można było po nie łatwo sięgnąć w każdej chwili. Wagony kołysały i nacierały szybkości, kolorowa smuga zarośli za drzwiami migotała w pędzie.

Nagle Metys pochylił się do przodu, wypuścił karabin z rąk i powoli, jakby w sennym zmęczeniu, zwałił się na podłogę. Kadeci nie zauważyli tego — skupieni przy drzwiach nadal wpatrywali się w czarny gąszcz upstrzony czerwonymi kwiatami. Metys upadł. Skulił się — jego palce rozwierzały się, kurczyły — i *zastygł*. Legwan rzucił się w klatce i wysunął rozwidlony język. Joachim nie rozumiał, co się stało. Leżące na podłodze ciało Metysa kołysało się bezwładnie, głowa przesunęła się w bok. Teraz Joachim zobaczył napiętą skręconą szyję zabitego: tkwiła w niej krótka bambusowa drzazga zakończona pierzastymi lotkami... Pulsująca struga krwi rozlewała się na deskach podłogi pod wykrzywioną głową w czarnym kaszkiecie. Legwan rozdał skrzydlate wole pod jaszczurczą szyją i zasyczał. Uderzył potężnym ogonem w przęty klatki związane włóknem seto i znieruchomiał.

W tej samej chwili gruchnęły wystrzały. Kadeci odsunęli się od drzwi i skryli za ścianami wagonu. Jeden z nich podczołgał się do skrzyni z bochenkami chleba i zastawił nią wejście.

Teraz mieli osłonę. Podpełzli znów do drzwi i wytknęli zakończone bagnetami lufy w stronę wzgórza obsypanego kępami czarnej pustynnej trawy. Blondyn mocno przycisnął wyslizganą kolbę do policzka. Mierzył długo, uważnie, z namysłem, opierając karabin. na pokrywie skrzyni.

Joachim zauważył, że lufa mauzera nie przesunęła się, lecz tkwiła nieruchomo: był to znak, że zaatakowani zostali przez jeźdźców pędzących równolegle do pociągu. Broń szarpnęła, huk zginął w łoskocie kół, mosiężna łuska wyskoczyła z zamka i potoczyła się po podłodze w stronę bambusowej klatki. Blondyn uśmiechnął się do siebie i zarepetował.

Teraz strzelali już wszyscy. Chmura gorzkiego dymu wyleciała z luf w pędzące powietrze i wróciła do wnętrza wagonu wessana przez rozsunięte wrota.

Legwan trzaskał ogonem o pręty klatki.

Joachim nie mógł oderwać od niego oczu. Zwierzę przestała się szarpać gwałtownie — waliło teraz powoli, jakby z rozmysłem, to w jedną, to w drugą ścianą swojego więzienia. W krótkich momentach ciszy między wystrzałami, Joachim słyszał złowróźbne trzeszczenie wiązań. Kałuża krwi spod głowy Metysa strumykami zbliżała się do bambusowych prętów.

Joachim spojrział na brodacza i kiwnął głową w stronę drzwi. Pociąg zwalniał, wspinał się na szczyt przełęczy, koła ślizgały się z piskiem. Strzały rzedły. Joachim uniósł się na łokciach i zobaczył, jak kilku jeźdźców w wielkich białych kapeluszach zawróciło nagle i pognało w głąb wąwozu, znikając za piętzącą się tu gęstwiną sardesowca. Brodacz boleśnie pokręcił głową.

Nie było chwili do stracenia.

Joachim zerwał się, chwycił mauzer, leżący obok zabitego Metysa i wycelował w plecy kadetów, strzelających zza skrzyni.

— Ręce na kark!

Stał teraz bosy, na szeroko rozstawionych nogach.

— Ręce na kark! — Kadeci odwrócili się gwałtownie starając się skierować w jego stronę karabiny, ale on wystrzelił w bok najbliższego i błyskawicznie zarepetował. Wypuścili broń z rąk i patrzyli na niego ze zdziwieniem i nienawiścią.

— Pod ścianę!

Joachim cofnął się i wskazał im kierunek lufą. Powoli, uważnie patrząc na niego, przepelzli w stronę klatki legwana. Dopiero

teraz zauważyli kałużę krwi obok głowy Metysa. Joachim podszedł do drzwi, wciąż kierując lufę w ich stronę, nogą odsunął mauzery oparte o skrzynię i wyjrzał na zewnątrz.

Jechali teraz środkiem rozległej doliny w stronę gęsto porośniętych wzgórz. Nie było to dobre miejsce. Rzucił okiem na postacie w piżamach: nikt nie poruszył się nawet. Wszyscy patrzyli nie na niego, tylko na rozbrojonych kadetów stłoczonych w przeciwległym kącie wagonu. Dopiero po chwili kilku młodszych mężczyzn, zaczęło wstawać ze słomy. Joachim ruchem głowy wskazał im mauzery. Półnagi kędzierzawiec schylił się i zgarnął je rękami ze skrzyni, po czym rozdał broń.

Były tylko dwie możliwości: kędzierzawiec pomyślał o pierwszej. Sprawdził, czy bagnet jest osadzony dostatecznie mocno, zamachnął się i wbił żelazo w deskę podłogi. Joachim pomyślał już o tym wcześniej. Wielka biała drzazga odskoczyła w górę odsłaniając siny miąższ drewna. Jeszcze jedno uderzenie i przez otwór w podłodze wdarło się łomotanie kół. Dziura była za mała. Kędzierzawiec uderzył jeszcze raz i spojrział na Joachima. Ten rzucił okiem na zewnątrz i pokręcił przecząco głową.

Wjeżdżali teraz między wzgórz. Słońce świeciło ostro. Co chwila na poboczu otwierały się skaliste wąwozy, gęsto porośnięte lavedą i krzewami gute. Ale tor wił się giętką serpentyną wśród wielkich skalnych gmachów, które zagradzały drogę. Tylko szaleniec próbowałby skakać pod wagony. Pozostawała więc tylko druga możliwość.

— Wyrzuc mauzery! — krzyknął Joachim. Kędzierzawiec pochylony nad huczącym otworem spojrział na przelatujące w dole podkłady. Potem wsunął ukośnie karabin pod podłogę — rozległ się suchy trzask — za chwilę wsunął pozostałe. Zachowali dla siebie cztery, chociaż Joachim wahał się przez chwilę. Podeszli do drzwi. Joachim chwycił mauzer za środek lufy uważając, by ramię nie oplątał ramienia. Zaczekał, aż zbliżą się do wąwozu — pociąg zakręcał na wysokim nasypie — i skoczył w dół.

Stoczył się po piaszczystym stoku. Poczuł ostry ból w łokciu, wypuścił karabin z rąk. Przez mgnienie oka zobaczył za sobą półnagie postacie, które spadały z otwartych drzwi wagonu na zbocze.

Dostrzeżono go natychmiast. Najszybciej zauważyli ucieczkę ci, którzy siedzieli na dachu wagonu pocztowego. Rozległ się strzał. Joachim usłyszał nad głową cienki wizg kuli. Biegł przeskakując kępy ostrej trawy. Kluczył jak tropione zwierzę. Podbiegł do pochylonej skały, która wznosiła się i znikwała w gąszczu. Wsko-

czył na kamienny występ.

Wspiął się teraz po ukośnym złomie. Mierzono do niego jak do tarczy. Druga kula uderzyła w skałę, tuż przy prawej dłoni. Przeszył go przenikliwy dźwięk rykoszetu, drobne odpryski pokaleczyły skórę. Skurczył się, chciał zmniejszyć powierzchnię nagości pleców, rzucił się w prawo, w górę. — Dotrzeć do szczytu i zapaść w gąszcz!... Dotrzeć tam!... Widział tylko własne ręce, które rozpaczliwie szukały zagłębień, wyrw, szczelin... Przed oczami migotały bruzdy, występy, luźne osuwające się kamienie... Poślizgnął się... Noga utraciła oparcie... Obsunął się kilka cali... Sięgnął w prawo. Jeszcze jeden ruch — jeszcze jeden... nareszcie!... Wpuścił rozbiegane palce w ostrą szczelinę i podciągnął się wyżej... Teraz strzały sypnęły, jakby ktoś rzucił garścią kamieni w stalową blachę. Strzelano ze wszystkich wagonów. Liście wystające zza skalnego grzebienia, do którego już sięgał dłonią, zaszeleściły... Posiekane gałązki spadły w dół...

Podciągnął się kocim ruchem i zsunął za skałę.

Waliło mu w skroniach, chwycił łapczywie powietrze, dygotał z zimna, chociaż skała parzyła mu stopy. Usłyszał przelatujące nad sobą gwizdy i trzaśnięcia ołowiu w korę pni herbe. przywarł do ściany i przesunął się w stronę wąskiej rozpadliny pełnej złotego żwiru. Chwilę odczekał. Zdziwiła go nagła cisza. Dlaczego nie strzelają?

Strzały nagle ucichły, rozległ się przeciągły zgrzyt hamulców i pociąg stanął. Ktoś wydawał komendy podniesionym głosem. Joachim usłyszał nad sobą miękki szelest liści. Gałęzie zakołysały się pod gorącym tchnieniem suchego wiatru. Chmura ptaków iri spłoszona kanonadą wracała teraz na swój purpurowy wiąz. Powoli rozchylił liście bananowca i spojrzął w stronę pociągu.

Ze wszystkich okien i drzwi sterczały w jego stronę lufy — ale nie strzelano. Od strony lokomotywy dolatywały rytmiczne świsty. Po dachach, od wagonu pocztowego w stronę końca pociągu, biegł skulony łącznik z rewolwerem w dłoni. Kiedy dobiegi do ostatniego wagonu zsunął się w dół, na galeryjkę i zniknął w środku. Cisza przedłużała się. Joachim miał nadzieję, że dadzą sobie spokój i transport za chwilę ruszy w dalszą drogę. Oddychał głęboko, powoli. Chciał uspokoić rozdygotane serce. Rozluźnił mięśnie i spod przymrużonych powiek patrzył na ciemnozielone wagony z żółtymi napisami. Oparł się o skałę: czuł, jak kamienny chłód przenika do piersi. Pociąg milczał. Ptaki znowu zaczęły przelatywać między koronami drzew. Las ożywał.

Nagle Joachim cofnął głowę i zdrętwiał z przerażenia: z roz-

suniętych drzwi w ostatnim wagonie zeskoczył grenadier w czarnym kepi, za nim na pobocze zsunęli się dwaj kadeci. Nie mieli mauzerów, tylko, wielkie czarne kabury u pasa. Stanęli przy drzwiach. W wagonie przesuвано coś, pojawiło się kilka zgarbionych postaci, które pchały jakiś ciężar przed sobą. Oficer w kepi rozpiął kaburę. Wielki smith-wesson 9 mm błysnął oksydowaną stalą. To samo zrobili kadeci. Przez moment zasłonili sobą drzwi, potem rozsunęli się i z wnętrza wagonu ześlizgnął się na ziemię jakiś wydłużony giętki kształt.

Joachim jak oszalały rzucił się rozpadliną w dół: po nasypie, w jego stronę pełził legwan w skórzanej obroży. Za nim, z odbezpieczoną bronią, posuwali się jego opiekunowie. Oficer trzymał w zębach cygaro i ruchem rewolweru wskazywał drogę żołnierzom.

Joachim pędził na oślep: myślał tylko o jednym — nie zaplątać się, nie zaplątać się w gąszczu... Zbiegł w dół, skręcił w lewo — przed nim otwierała się mała polana, w głębi ciemniało przedłużenie wąwozu. Przeskoczył przez kępę czarnej wikliny, gnał teraz po ubitym łożysku wyschniętej rzeki. W zakolu mignęło coś biało-niebieskiego. Kiedy przebiegał obok, rozpoznał kędzierzawca: leżał z podkurczonymi nogami, na wysokości nerek rozlewała się ciemnoczerwona plama — więc dowlókl się aż tutaj... Obok leżał mauzer z błyszczącym ostrzem. Joachim pochylił się, chwycił broń i pognął dalej. Poczul w sobie upajającą moc — wiedział, że teraz nie mogą mu nic zrobić. Biegł długimi susami — nie czuł bólu w pokaleczonych stopach. Piasek pod nogami był gorący. Słońce grzało w plecy. Przyspieszył — minął wielką poszarpaną iglicę z bazaltu, prześlizgnął się pod ciemnoczerwonym nawisem, zbiegł w dół. Czuł, że biegnie łożyskiem, które zaprowadzi go nad rzekę — a tam legwan zgubi na pewno trop! Jeszcze tylko jeden zakręt, jeszcze tylko jeden zakręt i między skałami pojawi się woda.

Wbiegł za wielki wyschły pień, skręcił za skalny blok i stanął jak wryty.

Wokół wznosiły się pionowe ściany bazaltu — wyschnięte łożysko urywało się — pośrodku, otoczona wielkimi łopianami, ziała otwarta czeluść wielkiej kamiennej studni. Joachim podszedł do samej krawędzi — kilka kamieni obsunęło się w dół — i dopiero po dłuższym oczekiwaniu usłyszał plusk wzmocniony przez echo. Pochylił się i ujrzał ciemność — tylko fosforyzujące owady migotały w niej i gasły.

Odwrócił się w stronę wejścia do wąwozu: czuł, że krew odpłynęła mu do stóp. Machinalnie poniósł broń i zarepetował. Kie

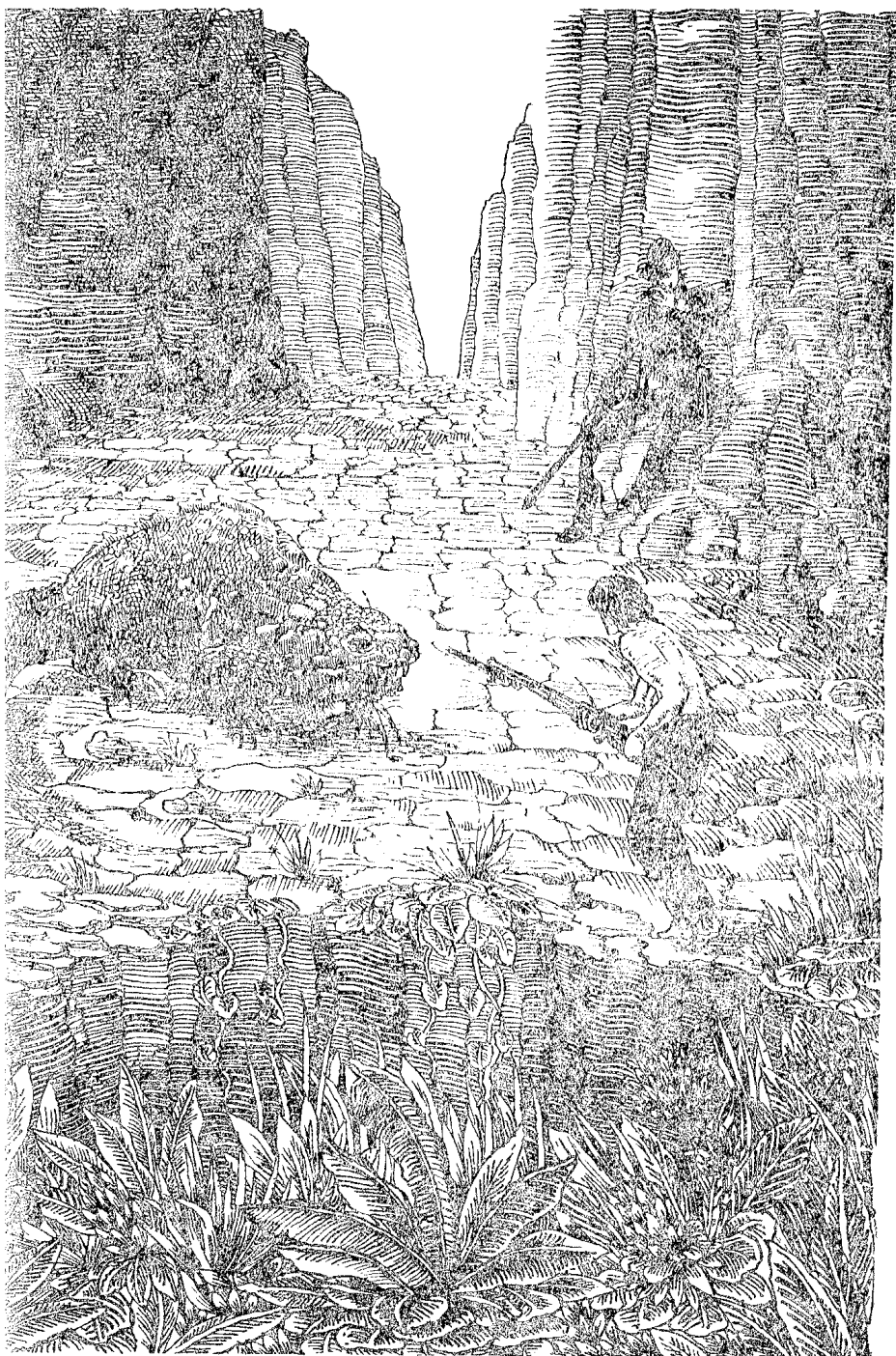
wiedział nawet, ile ma naboí. Nie myślał o niczym, ogarnęła go ciężka senność i zmęczenie. Patrzył przed siebie — między dwie, zwężające się ściany: światło słoneczne przedostawało się tamtędy do jego pułapki. Stamtąd mieli nadejść: najpierw legwan, potem tamci.

Ale stała się rzecz dziwna; u wejścia do kotliny pojawił się najpierw jeden z kadetów. Przeskoczył przez oświetlony piach łożyska i przywarł do ściany pokrytej czerwonym mchem. Joachim zacisnął do bólu dłoń na kolbie mauzera, pod palcem poczuł chłodne żelazo spustu. Ale kadet nie strzelał. Kucnął za odłamanym blokiem bazaltu i czekał. Po chwili Joachim zobaczył cień drugiego — żołnierz przemknął szybko pod kamiennym nawisem i zniknął za przewróconym pniem białego, wypłukanego przez deszcze drzewa. Joachim nie widział ich teraz, ale czuł, że trzymają go na muszce. Ale dlaczego nie strzelają?... Było cicho, gdzieś wysoko nad spiętrzeniami bazaltu krzyknęły drapieżne ptaki coró. Nagle wydało mu się, że może gwardziści go nie widzą, że patrzą w to miejsce, gdzie stoi, a jego tam nie ma. Miał wrażenie, że ciało staje się przezroczyste jak szkło. To wrażenie było tak silne, że zaczęła go ogarniać coraz większa senność.

Jednak za chwilę między ścianami, na żwirze, pojawił się cień, który sunął w dół wyginając się na nierównościach. Ktoś szedł, mocno stawiając nogi i wcale się nie kryjąc. Szedł środkiem łożyska, w opuszczonej ręce trzymał rewolwer, lufa była skierowana w dół. Szedł prosto na Joachima. Botforty chrzęściły w piachu, kabura obijała się o udo z czerwonym lampasem. Joachim poderwał broń: na przedłużeniu lufy w szczyrbince, ujrzał wypukłe czoło, czarne krzaczaste brwi, szerokie bokobrody i duży wąs nad wiśniowymi wargami. Oficer patrzył gdzieś w bok, ruszał się powoli, jak we mgle. Był ociężały i senny.

Joachim nacisnął na spust. Huknął wystrzał. Ze szczelin w bazaltowym masywie zerwały się czarne rybitwy i wielką roztrzepotaną chmurą przesłoniły słońce. Szarpnął zamkiem mosiężna. łuska błysnęła w powietrzu zatoczyła łuk — i potoczyła się po żwirze w stronę czarnej czeluści. Oficer wsunął smith-wessona do kabury, podszedł do białego głazu, usiadł i z cholewy wyjął fosforową zapałkę, potarł nią o podeszwę i zapalił cygaro. Zaciągnął się głęboko i dwoma palcami, w których tkwił żarzący się zwitek tytoniu, pokazał Joachimowi zarośla... Wiedziony hipnotyczną mocą tego gestu Joachim odwrócił głowę.

W odległości paru kroków, spośród białych liści i sinych łądyg hasero, wysunął się w jogo stronę ciemnozielony kształt. Skrzy-



dlate wole pulsowało powoli. Wodniste źrenice były nieruchome. Legwan zasyczał — rozwidlony język wybiegi z paszczy i zwinął się śliskim węzowym ruchem.

Joachim poczuł zimny dreszcz na plecach — skóra skurczyła się i zimno rozeszło się po ramionach... Ostrożnie przesunął lufę w stronę gada. Nawet nie podnosił broni, od razu nacisnął na spust. Celował w szczyt burozielonej głowy, tuż za okiem.

Rozległ się metaliczny stuk iglicy — i cisza; komora nabojoya była już pusta.

Legwan nie poruszył się — gdyby nie pulsowanie bladorożowego wola, można by go wziąć za jaszczurczego trupa. Miał sztywno uniesioną głowę i nie wiadomo było, w którą stronę patrzy, ale Joachim wiedział, że wodniste oczy śledzą każdy jego ruch. Cofnął wysuniętą lufę i ustawił ją ukośnie — bagnetem w lewo — tuż nad biodrem. Musiał zaryzykować: wiedział, że gad najpierw ogłusza ukośnym uderzeniem ogona... Pozostawało tylko liczyć, że zaatakuje z lewej... Stali tak naprzeciwko siebie. Joachim cofnął lewą stopą i mocno oparł o podłoże... Zacisnął ręce na wyślizganym drewnie mauzera... i czekał...

Śliski język gada znów wysunął się z paszczy — ale legwan trwał nieruchomo. Joachim zobaczył teraz między splotami liści jaszczurcze łapy zakończone czerwonymi pazurami. Na karku gada wznosił się ciemny grzebień podobny do śliskich skrzydeł nietoperza... Chmura owadów migotała nad brunatną głową.

Bagnet był ostry — kątem oka Joachim dostrzegł pruskie ząbkowanie na krawędzi, które zabłysło w słońcu. Żle!... takie ostrze nie daje się szybko wyrwać z rany... gwałtowny ruch ugodzonego cielska może... Trzeba kilku pchnięć... jedno nie wystarczy... najlepiej w nasadę głowy... w skrzela.. w to ciemne zgrubienie...

Joachim zastygł w oczekiwaniu...

Gad podniósł prawą łapę i powoli wysunął się z zarośli. Okrążył Joachima i znieruchomiał. Długi, spłaszczony ogon leżał za zwierzęciem bezwładnie, tak jakby był martwym dodatkiem do jaszczurczego korpusu — osobnym, ciężkim... Joachim patrzył prosto w bladzielone źrenice, jakby chciał z ich ledwo dostrzegalnego drgnienia odczytać zapowiedź ataku... Ale oczy gada nie wyrażały niczego, przypominały dwa owalne szkła, w których drzemie mgliste światło. Były trupie..

Ogarnęło go zniechęcenie: czy może być coś bardziej odrażającego niż ta walka z księżycowym potworem, dla którego jest tylko ruchomym mięsem — jak antylopa, szakał czy berovio... Do tej paszczy, która powoli się rozchyła, napływa teraz jaszczur-

cza ślina, nozdrza drażni zapach żywej, gorącej krwi, którą trupie źrenice widzą przed sobą — w worku ludzkiej skóry...

Joachim poczuł, że ogarnia go senność połączona z obrzydzeniem: ale nie było to obrzydzenie tylko wobec tej brodawkowatej masy, która tkwiła przed nim nieruchomo, pośrodku łożyska wyschniętej rzeki, jak oślizły kamień. To uczucie rozszerzało się, ogarniało całą kotlinę, wzgórze i blade niebo nad skałami. Przez mgnienie wyobraził sobie wnętrze bestii: zakrzywione zęby,, żółkniejące w miejscu, gdzie korzeń wyrasta z dziąseł... różowe fiszbiny przetyku... śliskie włókna oplatające zimne serce... gałązki nerwów... śluz. Ale ten porażający obraz zniknął natychmiast. Teraz Joachim ujrzał w wyobraźni wypolerowany tunel lufy... połysk twardego metalu, którego przelamany miąższ jest zawsze czarny... nabój z zaokrągloną, złocistą główką mosiężną... rdzeń z niebieskiego, ciężkiego ołowiu... gilza tkwiąca ciasno w naoliwionym otworze... wyżłobiona głęboko kryza...

Spojrzał na swoje ręce zaciśnięte na kolbie mauzera: paznokcie zbieleły, niebieskawa żyła pulsowała pod skórą, wierzch dłoni był pokryty zadrapaniami i czarnymi ukąszeniami cierni.

Opuścił lufę... Wiedział, że gad najpierw ogłuszy go, potem obejdzie naokoło ciepłe jeszcze ciało, powącha i krótkim, gwałtownym rzutem oderwie strzęp, odsłonią się czarne tętnice... ciało będzie rozwłócone powoli, drobnymi szarpnięciami... Widział kiedyś, jak to robiły szakale... nogi żołnierza podskakiwały... głowa wykręcona w bok... dłonie rozwarte... Mógł więc bić się z bestią, mógł zadać jej ból... ale i tak nie miał żadnych szans. Spojrzał na oficera: gwardzista siedział na kamieniu, wypuszczał z ust kłęby tytoniowego dymu i patrzył uważnie, zmrużonymi oczami. Czekał na jedno słowo. Wystarczyłoby jedno słowo.

Joachim jednak milczał wpatrzony w żółtawoczerwoną wargę gada. Mdląca gorycz podpłynęła do gardła. Mięśnie skurczyły się jakby dźgnięte rozżarzonym drutem — rzucił się do przodu i niemal mechanicznie, pchnięty siłą udęczonego bezwładu, wbił bagnet w półkoliste skrzele. Żelazo zgrzytnęło o zrogowaciałą powierzchnię; skóry i weszło w kleisty miąższ. Rozszedł się piekący zapach zgnilizny. Legwan szarpnął gwałtownie: bezwładny ogon zawinął się wstrętym giętkim ruchem w prawą stronę i błyskawicznym ruchem uderzył z lewej. Joachim poczuł palące smagnięcie — na nodze pojawiła się krew - ale nie wypuszczał z zaciśniętych rąk mauzera ukośnie wbitego w ciemnozieloną głowę...

Zielonawo oczy nie zmieniły wyrazu.

Joachim odczuł teraz potworną siłę, która zastygła w znie-
ruchomiałym cielsku gada. Pchnął jeszcze głębiej - ostrze we-
szło do końca, lufa oparła się o ciemne brodawkowe zgrubie-
nie. Pochylił się i docisnął broń całym ciężarom. Zamarł tak na
szeroko rozstawionych nogach — i nagle runął na plecy, odrzu-
cony ledwie dostrzegalnym poruszeniem jaszczurczej szyi.

Potoczył się po żwirze.

Zerwał się jednak natychmiast i skierował lufę w głowę bestii.
Było to śmieszne — na końcu mauzera sterczał ułamany błysz-
czący kikut, reszta bagnetu tkwiła pod bladoróżowym skrzelem,
jak stalowa drzazga... nie wypłynęła nawet jedna kropla krwi...
Machinalnie, w mrocznym oszołomieniu Joachim ruszył w stronę
jaszczura... Nie wiedział, co robi, ale ruszył naprzód zaciskając
do bólu palce na żelazie...

Legwan przyczaił się i zasyczał...

Kiedy Joachim podszedł już tak blisko, że w wielkim szklistym
oku zobaczył zielonkawę żyłki, usłyszał obok siebie spokojny głos.

— Po co odwlekasz. Indianie mówią, że to wcale nie jest zła
śmierć. To święte zwierzę...

Joachim drgnął i zatrzymał się w pół kroku: to nie był głos
oficera! Kątem oka spojrzął w głąb wąwozu. Cygaro tliło się w
piasku obok głazu, parę kroków dalej oksydowany rewolwer
czerniał na białym żwirze... Teraz zabrzmiało metaliczne szczęk-
nięcie bezpiecznika.

— Ale to chyba niedobra śmierć... — powiedział ktoś powoli
i rozległ się strzał.

Jaszczur uniósł głowę, przekrzywił ją, jakby nasłuchiwał cze-
goś, potem ociężale przechylił się na bok i odsłonił czerwone
plamy na białym podbrzuszu. Szpony uniesionej łapy rozwarły
się i znieruchomiały.

Joachim odwrócił się. Opuścił lufę, ale nadal ścisnął broń. Po-
patrzył uważnie w głąb wąwozu.

Obok kamienia stał wysoki mężczyzna.

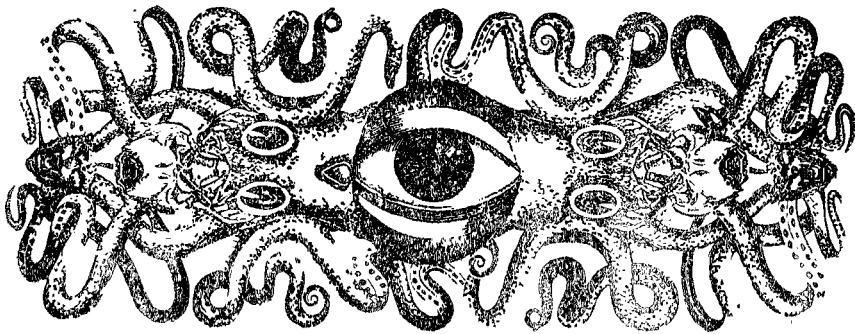
Miał krótko ostrzyżone włosy i głębokie bruzdy wokół warg.
Białe brwi odcinały się od brązowej cery. W ręku trzymał
Collinsa 9 mm. Uniósł broń ukośnie, przekręcił magazynek
obrotowy i wysypał błyszczącą łuskę. Z mosiężnej tulejki
toczącej się po piasku wypłynęła cienka smuzka niebieskawego
dymu. Potem podszedł do nieruchomego legwana, pchnął czub-
kiem buta przekrzywiony łeb i lufą narysował na tułowiu jakiś
kolisty znak.

Joachim nie ruszał się z miejsca. Trzymał wciąż bezużyteczną

broń i czuł w sobie narastającą ciemność. Mężczyzna okrążył leżące zwierzę, wsunął za szeroki pas rewolwer z białą kościaną kolbą i wolno podszedł do krawędzi kamiennej studni. Schylił się i rozsunał wielkie liście czerwonego łopianu otaczające otwór, potem rozgarnął białe wilgotno łodygi kwiatu aleute, wijące się tuż przy ziemi, i z płataniny wydobyl kawałek fioletowego agatu. Podniósł go pod słońce—ciemny kamień rozjaśnił się w świetle... Przez chwilę patrzył zmrużonymi oczami na ożywiony fiolet minerału — potem lekko rzucił go do czarnej czeluści. Kamień błysnął niczym jeden z fosforyzujących owadów, które krążyły w mroku i zniknął. Joachim zdziwił się odczekali w milczeniu dłuższą chwilę, ale echo pluśnięcia nie odezwało się

Mężczyzna spojrzal na swoje palce i ruszył w stronę szczeliny między bazaltowymi głazami.

Joachim podpierając się karabinem poszedł za nim.



PIĘKNY SAMOBÓJCA

Szli pod górę. Wąska, biała rozpadlina rozcinała przed nimi gąszcz czarnych paproci wznosząc się po stromym zboczu ku zbitej płataninie gałęzi, lian i pnączy. Joachim przystanął dla złapania tchu. Było parno, drzewa ociekały wilgocią. Ale mężczyzna nie zwolnił; stawiał wielkie kroki ponad skręconymi korzeniami magnoliowca, które w nocy odsłoniła woda deszczowa. Pod wysokimi juchtowymi butami chrzęścił mokry żwir.

Joachim oparł twarz o splekaną korę drzewa i ciężko oddychał. Mężczyzna odwrócił się — kołysał w palcach ostry odłamek szkła tak, jakby za chwilę miał nim rzucić.

— Masz pokrwawione nogi...

Joachim skinął głową — ale wyczuł coś dziwnego w tym niskim, bezbarwnym głosie. Utkwił wzrok w ciemnej, nieruchomej twarzy.

Mężczyzna patrzył z ledwie wyczuwalną pogardą.

— ... więc idź szybciej.

Joachim oderwał się od drzewa i ruszył dalej. Stukając okutą kolbą mauzera szedł coraz wyżej po kamieniach wyschniętego strumienia.

Przed sobą widział plecy tamtego — w skórzanym kaftanie, przepasane rzemieniami i pasami z ładunkami. Zauważył, że zza nacięć w poczerniałej skórze ubrania wystają rękojeści kilku noży czy sztyletów. Mężczyzna chwycił za wiszące pnącza czarnego bluszczu, nogi stawiał mocno i pewnie. Kamienie obsuwały się spod jego nóg, leciały w dół i Joachim musiał uchylać się przed nimi. Kiedy doszli do wielkiej korony aravos, mężczyzna

znowu stanął. Chwilę przypatrywał się Joachimowi w milczeniu. Potem powiedział powoli, tak jakby konstatował rzecz trudną do wyobrażenia a jednak prawdziwą:

Trup...

I uśmiechnął się do siebie. Joachim nie rozumiał. Chciał odpowiedzieć, ale tamten odwrócił się i szybko zaczął wspinać się po złomach białej skały, jego rapier uderzał o kamienne występy. Joachim pozostawał coraz bardziej w tyle. Nie nadążał, tracił siły, w skroniach łomotała krew. Wreszcie zatrzymał się. Podniósł mauzera i patrzył tępo w otwarty zamek. Potom wypuścił broń z rąk. Karabin uderzył o skałę i pokoziołkował w dół odskakując od głazów... Wreszcie zsunął się po białym piasku środkiem wąskiego żlebu i utkwił w płataninie gałęzi drzewa zwalonego w poprzek wyschniętego potoku. Fioletowy motyl pojawił się w kolumnie światła.

Splątany gąszcz zamykał się w górze jak sklepienie tunelu i tylko w kilku miejscach światło przedostawało się do mrocznego, wilgotnego wnętrza. Joachim podniósł głowę. Usłyszał zbliżające się uderzenia butów. Mężczyzna nadbiegał w jego stronę zeskakując z kamiennych stopni. Kilka kamieni obsunęło się spod jego stóp i grzechocząc po skalnych występach posypało się w dół. Wyminął Joachima — pchnął go ostro na kępę dzikiego magnoliowca i zbiegł niżej. Jeszcze kilka skoków i już był przy wyschniętym drzewie. Pochylił się i wydobył karabin z płataniny gałęzi. Obejrzał mauzera uważnie; zarepetował, spuścił iglicę i ruszył w górę. Kiedy doszedł do Joachima, wetknął mu broń do ręki:

— Zapamiętaj to sobie, tego się nigdy nie wyrzuca... Jest jak nasza dłoń... a ty to wyrzucasz...

Po czym chwycił go za ramię żelaznym uściskiem i pociągnął za sobą. Wspinali się szybko — Joachim zagryzał z bólu usta. Pokaleczone stopy paliły tak, jakby stąpał po rozpalonej blasze.

Kiedy doszli do skalnej pochyłości pod wielkim nawisem czarnego bluszczu, zatrzymali się. Po obu stronach piętrzył się zbity gąszcz. Białe korzenie wystawały spośród łodyg niczym niezliczone odnóża pajaków. Mężczyzna rozchylił gałęzie kolczastego krzewu — w różowej skale odsłoniła się ciemna szczelina.

— Wchodź!

Joachim zawahał się — ale pchnięto go w plecy. Wyciągnął przed siebie rękę, namacał kamienne sklepienie i wślizgnął się do środka. Pod stopami poczuł chłodną wilgoć. Pachniało pleśnią i mchami. Szedł po omacku, ostrożnie stawiając stopy. Wyciągnię-

tą rękę prowadził po śliskiej powierzchni. Lufa mauzera co chwila o coś uderzała. Po kilku minutach powolnego przesuwania się w ciemności zobaczył przed sobą niebieskawą poświatę. Przyspieszył. Słyszał za sobą kroki mężczyzny, który szedł pewnie, nieomylnie stawiając stopy: skórzany kaftan chrzęścił, zaczepiając o skalne występy. Poświata stawała się coraz, jaśniejsza i Joachim zobaczył przed sobą obszerną grootę. Podniósł głowę. Wysoko, w sklepieniu jaśniał okrągły otwór, nad nim pochylały się wielkie drzewa herbe, bluszcze i liany. Niebieskawe światło wpadało ukośnymi promieniami roz jaśniając w dole, na środku pieczary, kolistą przestrzeń; reszta ginęła w ciemności.

—Zaczekaj.

Mężczyzna minął Joachima, zszedł w dół, przez chwilę był widoczny w kręgu światła, potem zniknął. Jego kroki oddaliły się i ucichły. Z głębi pieczary doleciał odległy zgrzyt przesuwanego kamienia. Znowu rozległy się kroki i mężczyzna powiedział:

—Możesz iść.

Joachim zaczął zstępować w dół, po skalnych stopniach, wśród sterczących stalagmitów. Kiedy znalazł się w strumieniu światła idącego z góry, zatrzymał się — nie wiedział, w którą stronę ma teraz iść.

— Tutaj!

El Toro ruszył podpierając się mauzerem.

Skręcił i zanurzył się w mrok. Znowu nie widział nic. Poczul dotknięcie — mężczyzna chwycił go za łokieć i prowadził ostrożnie w ciemność po zwirowanym, pochyłym podłożu. Gdzieś, z głębokości, dobiegł głuchy huk podziemnej rzeki.

Zeszli po ukośnym spadzie zwirowiska.

—Uważaj.

Joachim stawiał teraz uważnie obolałe stopy — poczul pod sobą lodowatą skałę masywu. Teraz wspinali się po obłych wypukłościach kamienia wyslizganego przez wodę. Stracił poczucie przestrzeni i czasu — nie wiedział, czy idą na zachód, czy na wschód, i czy idą długo.

Mężczyzna podciągnął go wyżej — precyzyjnie się między zbiegającymi się ścianami ociekającymi wilgocią, szli wąskim tunelem o półkolistych ścianach. Droga wiła się jak sploty węża zastygającego w magmie. Przyspieszone oddechy powtarzało echo.

Nagle na jednym z zakrętów buchnęło w ich twarze gorąco — jaskrawe światło oślepiło źrenice zwężone w ciemności. Dopiero po chwili Joachim zaczął rozróżniać kształty i barwy. Mężczyzna przyspieszył. Światło stawało się coraz jaśniejsze. Zaczęli biec —na

ścianach rozbłyły kryształowe nacieki; tunel urwał się — mrużąc oczy wyszli na skalny nawis — oddychali szybko dusznym, wilgotnym powietrzem. Pod nimi otwierała się przepaść.

Joachim spojrział w dół. Pod sobą zobaczył głęboką kotlinę, którą ze wszystkich stron otaczały pionowe ściany czerwonego bazaltu. Wychylił się — ale nie dostrzegł dna. W dole, niczym jasna tafla jeziora, rozpościerała się bladolina mgła. Przez nieruchomą powierzchnię przebiegały podskórne, ciemniejące drżenia.

Mężczyzna poprawił rozluźnione rzemienie i zeskoczył na ledwie widoczną ścieżkę. Zaczęli schodzić niżej, po ukośnym, długim pęknięciu w masywie. Schylili głowy pod obnażonymi korzeniami martwych roślin, które zwisały ze skał, zsunęli się po bazaltowej pochyłości i weszli w las.

Zbliżali się coraz bardziej do tafli mgły. Szli teraz mokrą ścieżką, po której wielkie czarne ślimaki rozwłoczyły zgniłe igliwie krzewu ancuta. Wkrótce Joachim poczuł chłód na twarzy. Ogarnęło go zimne, młeczne tchnienie wilgotnego powietrza. Zanurzyli się w białą ciemność. Posuwali się po omacku. Po kilku chwilach znów pojaśniało. Joachim zdumiony podniósł głowę: byli pod powierzchnią; tafla mgły, przez którą przeszli, zamykała się za nimi. Przez drżącą, przydymioną przezroczystość prześwitywały zarysy bazaltowego masywu zwieńczonego dżunglą, ale tu, na dole, było dziwnie jasno... Białe światło nie miało źródła i nie rzucało cienia. Przeszli obok suchych czarnych malw, wyminęli spalony las cyprysowy...

El Toro zobaczył przed sobą ogromny cień.

Przed nimi, z mglistego oparu, powoli wynurzyła się wielka ciemna budowla podobna do zatopionego okrętu. Szli ostrożnie wąską ścieżką wśród czarnych głogów. Mężczyzna wydobyl zza pasa rewolwer i lufą rozsuwał przed sobą kolczaste gałęzie. Joachim zaczął rozpoznawać poszczególne bloki z pocerniałego bazaltu oplątane czarnymi kaskadami bluszczu. Kiedy weszli w wąskie przejście między murami prowadzące do kwadratowego otworu w ścianie, dojrzał kamienne figury nagich bogów ukryte w półkolistych niszach. Konary starych magnoliowców zwieszały się z góry: Joachim skurczył się na widok miedzianych żmij, które pełzły po bladoróżowej, śliskiej korze i wysuwały w stronę jego twarzy rozwidlone, ruchliwe języki. Nad otworem dostrzegł pokrytą czarnym mchem płaskorzeźbę dziecka, które trzymało w rękę zakrzywiony sztylet podobny do płomienia.

Weszli do środka. Echo powtórzyło odgłos ich kroków. Kamienny tunel prowadził w głąb budowli, na jego końcu pełgało

czerwone światło. Mężczyzna schował broń i wszedł do pierwszej sali.

Odwrócił się w stronę Joachima i dał mu znak, żeby milczał. Przeszli przez salę szybko — Joachim ujrzał nagą Indiankę, która myła włosy pod strumieniem wody płynącej ze szczeliny w ścianie. Kobieta sennie wodziła brunatną dłonią po lśniącej czerni... miała przymknięte oczy i białawe, wypalone na ramieniu mamie w kształcie jaszczurczego pazura...

Minęli podziemny ogród, w którym rosły czarne astelie i weszli do sali, której pułapu Joachim nie mógł dostrzec.

Dym czy mgła wypełniały tu powietrze. Ogień rozpalony w kamiennej urnie rzucał migotliwe blaski. Na rzeźbionym stole hiszpańskim błyszcząły złote i srebrne naczynia z resztkami jedzenia.

Mężczyzna odpiął rapier i rzucił go na posłanie z indiańskich derek, ułożone pod kolumną. Na żelaznych hakach wbitych w ścianę, tkwiły skałkowe pistolety inkrustowane kością słoniową i srebrem, muszkiety z emblematami dziecka i gołębia, rewolwery systemu collins 9 mm z długą lufą i kościaną rękojeścią, łamane strzelby w haftowanych futerałach do konnej jazdy, sztylety z falistymi klingami, szpady francuskie, damascenki ze złotym ornamentem wpuszczonym w błękitną stal, nie znane Joachimowi krótkie karabinki z łukowatym magazynkiem, taśmy napchane mosiężnymi pociskami, tasaki artyleryjskie z herbem Hohenzollernów... proste bagnety... zakrzywione szable w srebrnych pochwach...

Rozpinał losiowy kaftan nie zwracając uwagi na Joachima. W mroku dwie stare kobiety ucierały mąkę z nasion core. Indiańskie dziecko żuło zwitek brunatnych liści i patrzyło zamgłonymi oczami w ogień, spluwając czasem w płomień. Pod ścianą na skrzyniach z czarnego drzewa, leżał starzec w sukiennym kaftanie rozpiętym na piersiach. Miał na sobie długie skórzane buty. Na prześcieradle obole jego ręki czernił się łamany rewolwer systemu jerome 7 mm z bębnowym magazynkiem. Kilka naboji błyszcząło na derce z czarnej kozłej skóry.

Starzec oddychał ciężko, miał czoło zroszone potem.

Sięgnął po wycior i garść pakuł.

— Cornelius — powiedział powoli — przyprowadziłoś mi nowego?...

Cornelius w milczeniu rozwiązywał rzemienie. Starzec okręcił pasmo włókien wokół czarnego drutu i wsunął do lufy. W jego oczach pojawił się złośliwy błysk.

— ...Czy będzie taki sam, jak tamten?...

Cornelius rzucił pęk sztyletów pod ścianę, na zwój czarnych sznurów.

— Nie. On należy do mnie. Jest dobry.

— Nie wygląda na to...

Joachim słał się na nogach. Spod ciężkich powiek patrzył na ciemną twarz okoloną białym zarostem. Walczył ze zmęczeniem: chciał odczytać tę twarz, wiedział, że musi zrozumieć czym jest ten dziwny mrok w oczach, zimno żrenic, ból ukryty w zwężeniu ust i w bruzdach wokół oczu... Chciał przeniknąć do wnętrza tej nieruchomej czaszki, która tkwiła przed nim w mroku i miała w sobie dziwną martwość głazu... Nagle poczuł w sobie pełzającą ciemność i nieznany lęk... Ciemna twarz wygięła się jak topniejące lustro, oczy zmieniły się w czarne szczeliny...

Zachwiał się i runął na posadzkę...

Kiedy otworzył oczy, zobaczył nad sobą pomarszczoną twarz jednej z Indianek. Kobieta trzymała w ręku miąższ białej agawy i mówiła coś w nieznanym dialekcie. Potem obłożyła białym, zimnym płatem jego rozpalone stopy i włożyła mu do ust zwitek brunatnych liści. Poczul mdłą gorycz i ślina zgęstniała.

Comelius zawiął rękawy koszuli pochylając się nad miedzianą miską. Chłopiec wlał do naczynia wodę. Nikt nie zwracał uwagi na Joachima, który dygotał z zimna pod sukienną płachtą w kącie sali i spod przymrużonych powiek patrzył na iskrzący się strumień wpadający w poczerniałą miedź. Dym unosił się w powietrzu, ale nie gryzł w oczy: palono czarny jałowiec, zielone kulki owoców skwierczały w ogniu.

— A gdzie Amers i Anchetti?

Cornelius umył twarz i wycierał teraz ręce czerwonym ręcznikiem. Starzec powoli przesuwiał wyciorem w kanale lufy.

--- Poszli na El Hesta. Może coś znajdą...

Joachim chłonał każde słowo. Myśli wirowały mu w głowie: dlaczego Cornelius zaciągnął go właśnie tutaj? Przecież nie wiedzą, kim jest. Przecież nie ryzykowałiby, aż tak bardzo... Co prawda miałby wielką trudność w odnalezieniu podziemnego przejścia — Cornelius kluczył w ciemności — ale nie byłoby to całkiem niemożliwe... Więc czego od niego chcą?... Może brakuje im ludzi?

Kiedy zastanawiał się nad tym, w tunelu wejściowym rozległy się kroki i do sali weszli Amers i Anchetti. Mieli na sobie dawne stroje hiszpańskie — z miękkiej skóry kozłowej, przepasane taśmą, na której zwisał rapier z czarnego żelaza, zniszczone i popalone, tak jakby wyszli z ognia. Odpięli broń i rzucili ją na posia-

dę, po czym zawołali na chłopca, by przyniósł im miednicę z wodą. Kiedy chłopiec podszedł, Anchetti pochylił głowę — woła miała złotawy kolor. Dopiero teraz zauważyli Joachima. Rzucili nań okiem i zabrali się do mycia rąk pokrytych czerwonym pyłem.

Wkrótce Joachima przeniesiono do sąsiedniej małej komory z wąskim oknem. Tam zasnął pogrążając się w dusznym, ciężkim nie bez marzeń.

Obudziło go czyjeś wejście. Kiedy podniósł głowę znad posłania, nie było już jednak nikogo. Rozejrzał się po ciemnym wnętrzu. Na kamiennej płycie pod oknem, z którego sączyło się zimne światło, leżał węzełek z ubraniem. Wstał i rozwiązał cienkie rzemienie: wszystko pachniało skrzynią z cyprysowego drzewa.

Wysokie buty z miękkiego safianu nie miały ostróg — tylko jaśniejszy ślad na skórze świadczył, że przeznaczone były do konnej jazdy. Biała koszula z ziarnistego płótna miała długie mankiety z kilkunastoma drobnymi guziczkami — obejmowały ciasno przedramię... Spodnie z łosiowej skóry obciste, sznurowane rzemieniami na biodrach... Kaftan bez rękawów... Joachim zauważył, że na rękawie koszuli czernił się gruby haft: kolisty znak i falista linia, która biegła przez szeroko otwarte oko... Najbardziej zdziwiła Joachima jednak oprawna w skórę księga leżąca na kamiennej podstawie posągu stojącego w niszy.

W budowli było cicho, żaden szelest nie dobiegał od strony wielkiej sali, w której leżał starzec. Joachim palony dziwną niecierpliwością rozwarł okładki. W pierwszej chwili odruchowa cofnął ręce: spomiędzy kartek wysypały się małe ruchliwe owady z zakrzywionym żądłem na odwłoku. Przemógł wstręt i odsłonił kartę tytułową. Tytułu jednak nie było — kopista (bo księga była rękopisem) czerwoną linią narysował w jego miejscu kolisty znak... Nie było też rozdziałów — tekst wypełniał stronę w dwóch kolumnach: jedna — Joachim z trudem rozpoznał krój liter — była pisana alfabetem celo, druga ideogramami, których nie mógł odczytać. W wielu miejscach rdzawe plamy przesłaniały roziskrzone mgławice liter. Numeracja była chaotyczna, albo ktoś, kto zszywał strony, zeszył je bez uwzględnienia liczbowego porządku. Kilka charakterów pisma walczyło na każdej stronie: różne kolory atramentu wdzierały się w cudze przestrzenie, czerwona minia wplatała się w czarną fakturę, wchodziła pod powierzchnię zielonej, grynszpanowej barwy o wężowym połysku, znikła w plątaninie znaków brunatnych, by wypłynąć na białym marginesie, gdzie w ledwie wyczuwalnym cieple palców przewra-

cających kartki rozjaśniły się utajone sinoczerwone znaki wodne...

Ręce mu drżały, gorączkowo przerzucał pokaleczone strony. Już pierwsze słowa, jakie zdołał Odczytać, poraziły go: *...jeśli będzie mieć łeb legwana... która nie chce rodzić... Krew czy będzie krwią nad jej okiem... czy tylko błotem... jej paznokcie jak szpony w ciebie wysunięte nie są szponami, lecz ostrzem oddechu... niebo jest szczęką powietrza... którym ona jest... Ten, kto w nią wejdzie, ten więc ją zabije... Ten, kto zabije, znowu się nią stanie... ale nie sobą... Jej cios rozpuszcza, lecz nie przebija... Ona ma zęby z morza i śpiących owadów... Załóż jej swoją twarz, wtedy ją zabijesz...*

Joachim nie rozumiał niczego — gorączkowo przerzucał kartki, czuł, że jakiś mroczny, trujący opar snuje się z tych zawijasów, skreśleń, wielokrotnych powtórzeń... Strona wyglądała tak, jakby wielu ludzi spierało się tu ze sobą o jakąś definicję i popadało w rozpaczliwy obłęd słowa, które wymykało się... uciekało spod rąk... Ktoś pisał, a ktoś inny przekreślał to za moment i ponad linią skazaną na nicość budował piętra nowej konstrukcji — nie bacząc na to, co zostanie po nim, nie licząc się z czytelnością śladów swojej ręki, uderzając piórem w miejsce zranione przez poprzednika. Ten cios był ważniejszy niż ślad, ślad nie miał znaczenia, był niczym, pióro przebijało papier, rozdzierało, kropla rozlewała się w rdzawą plamę... w tej księdze nie pisano, lecz zadawano rany... szarpano jakieś niewidzialne ciało, które pełzło po kartkach... wbijano weń atramentowe ostrza... udęczano... a ono na nowo odradzało się i pełzło w nieskończoność, nie ruszając się z miejsca, zastygłe, martwe... nieczułe na ból, który mu chciano zadać...

Joachim nie rozumiał tych strzępów, palimpsestów, które pleiły się przed nim jak jadowita roślina, ale instynktownie wyczuł, że są wymierzone w niego, że czekały na jego zjawienie się... Podniósł głowę znad kartek — ktoś stał w drzwiach. To Cornelius pojawił się bezgłośnie i skinął głową:

— Chodź.

Wyszli razem. Nie poszli jednak w stronę sali, którą Joachim już znał. Po paru chwilach ochłonął. Cornelius zmienił się nie do poznania. Miał na sobie czarny surdut, biały żabot śnieżył się pod szyją, pantofle ze stalową klamerką zamykały stopę w białej pończosze. Na ramieniu widniał ten sam, co u Joachima znak — tyle że wyszyty srebrną nicią. Zeszli niżej — w głąb gmachu. Joachim schylił głowę pod niską futryną i znaleźli się w niewielkiej ośmiokątnej komnacie.

Za długim stołem, na którym leżały potłuczone opale i chryzoprasy, papiery, muszle, zwitki ziela saverna, wielka maszyna do pisania, pocerniałe monety i zaostrome pióra, siedziało kilku mężczyzn w czarnych ubraniach. Jedno spojrzenie i Joachim odkrył, że czerń jest wątpliwa, a twarze noszące na sobie znamię dostojeństwa kryją w sobie maskowany, dwuznaczny grymas. W paru kieliszkach jarzyło się ciemnoczerwone wino. Na hebanowym blacie leżał rewolwer. Jedno krzesło było puste.

Tam właśnie poprowadzono Joachima. Cornelius usiadł obok Anchetiego i Amersa i zapadł w odrętwienie. Anchetti pocięlił się w stronę Joachima, tak jakby chciał mu się przyjrzeć z bliska. Wyciągnął rękę w stronę starca, który siedział w głębi, na końcu stołu i z tą wyciągniętą, znieruchomiałą ręką wyszeptał:

—To jest Johann Friese.

Joachim już otwierał usta, by mu odpowiedzieć: „El Toro”, ale powstrzymał go nerwowy gest tamtego, wyrażający zniecierpliwienie i rozdrażnienie.

—Ty jesteś nikim...

Cornelius drgnął i otworzył oczy:

— Ty jesteś nikim... Ty jesteś trup... Ty zrobiłeś się trupem wtedy... tam... Ja uratowałem trupa... Ciebie nie ma... Ty już jesteś tam... po tamtej stronie...

Joachim poczuł gorąco na policzkach. Nie rozumiał niczego — a jednak wyczuwał jakiś nieokreślony groźny sens w tych majaczeniach. Podniósł się. Chciał wstać i wyjść, wiedział, że rozmowa nie ma sensu... więc chciał wyjść, odepchnąć krzesło i wyjść. Ale żelazna ręka Anchetiego wpiła się w jego ramię.

- Siadaj. Johann chce z tobą porozmawiać — i Anchetti opadł na krzesło oddychając jak po wielkim wysiłku: chwycił powietrze otwierając szeroko rybie usta.

Friese nie poruszył się. Tylko cichym, zmęczonym głosem zaczął mówić tak, jakby zaczynał od nowa przerwana opowieść.

Chciałem, żeby to się stało nagle... Dlatego wynająłem tego Irlandczyka... Żeby nagle... I że ja wiem, jaką ona ma twarz... Miał zniknąć i pojawić się znowu — w moim domu... Ale miał pokazać się... Taka była umowa... Musiałem go zobaczyć, on musiał mi się pokazać... Poza tym mógł to zrobić w każdej chwili... Miał dobry rewolwer z gwintowaną lufą... Jadłem, spałem, gadałem i wiedziałem, że on gdzieś tu, w pobliżu jest... że krąży, że się czai... że pojawi się...

— Że krąży i rzuci się... Amers kołysał głową i oddychał nerwowo, jakby oglądał coś, co wzbudza jego szaleństwo krąży...

krąży... i rzucił się nagle...

Friese trwał w bezruchu. Pod powiekami pokazały się zaczerwienione wywrócone białka:

— Tak rzuci się... Podaję rękę... ściskam rękę... trzymam ją, a tu nagle — on... i uderzenie — jak wiatr... i że ona ma twarz... jego twarz jest jej twarzą... że nie jest pustką, która zjada moją skórę...

Joachim poczuł, że drętwieją mu stopy... krew odpływa w dół... Wiedział tylko jedno: Musi się stąd wydostać! Musi się stąd wydostać za wszelką cenę! Miał wrażenie, że zanurza się w mętym, dusznym oparzeniu... że zapada się w mgłę, która go zatapia... Friese podniósł głowę — zaczerwienione białka drgnęły i zastygły pod uchylonymi powiekami...

— Miał dobrą broń... ale nie zrobił tego...

W jego głosie pojawiła się ledwie dostrzegalna ostrość i pogarda.

— Nie zrobił tego, bo nie był po tamtej stronie... Bo nie czuł tej świętej siły... Myślał, że to pragnienie... maniaka... więc zniknął... nie czuł tej siły... myślał: oszukam maniaka... oszukam starego szaleńca... Niczego nie zrozumiał... był tępy... chociaż wiele z nim rozmawiałem... miał piękną twarz... tak, miał piękną twarz... jej twarz...

Urwał i głęboko oddychał: Joachim zauważył, że w kącikach wąskich ust pojawiły się brunatne krople.

— Nie warto rozmawiać... Nie warto z nimi mówić... to do niczego nie prowadzi... Trzeba tak, jak poprzednim razem... ale tamten też nie był dobry... Trzeba inaczej... trzeba przeprowadzić na tamtą stronę... twarz, wtedy ją zabijesz... Trzeba zrobić tak, jak mówi Cornelius... na tamtą stronę... Cornelius, czy on zna tamtą stronę?...

Cornelius sięgnął po rewolwer leżący na stole, otworzył zamek, potem wsunął jeden nabój i mocnym przesunięciem dłoni przekręcił magazynek. Bębenek zawirował i zatrzymał się.

- Tak. Już tam był... — powiedział do Friesego i skierował długą oksydowaną lufę w twarz Joachima. To była dziewiątka — strzał z tej odległości musiałby rozerwać głowę na strzępy. Ale Joachim był tak oszołomiony tym, co widział, że patrzył prosto w czarny głęboki otwór krążący mu przed oczami, nie czując nic. Sęka Corneliusa oparta na łokciu drżała, źrenice zachodziły ciemną mgłą. Wszyscy patrzyli w napięciu na Friesego.

Cornelius nacisnął spust: rozległ się trzask spadającego kurka. Potem rzucił broń na stół. Zapadła cisza. Dopiero teraz Joachim

zaciśnął oczy — w wyobraźni ujrzał straszny obraz tunelu wydrążonego w stali, na którego dnie czai się mosiężna głowica z olowianym rdzeniem... gotowa ruszyć z szybkością rozbłysku w górę, w stronę jego twarzy!... Rozrywając koszulę pod szyją, tak jakby się chciał uwolnić od duszącego, śliskiego uścisku — odepchnął krzesło i rzucił się w stronę drzwi. Wydostać się stąd! Ale Amers podciął mu nogi — i Joachim zwał się na posadzkę, tuż przed progiem.

Zza stołu błyskawicznie wysliznęli się Anchetti i Colignac: przymusili do ziemi przewrócone ciało i powlekli w głąb korytarza. Pincenzo la Tour wyciągnął z kąta bambusową klatkę: wepchnęli ;o do środka i zatrzasnęli kratę. Teraz wszyscy przesuwali ciężar w dół, po ukośnej podłodze z kamiennych płyt. Nogi ślizgały się o wilgotnej powierzchni. Między pręty związane włóknem core wkładali kije i trącali nimi skurzonego więźnia. Joachim widział nad sobą twarze wykrzywione dziwnym grymasem. Czuł siekące pchnięcia bambusowych drzazg. Anchetti i Colignac pochylali się nad nim i wołali:

— Zrobisz to!... Zrobisz to!... Musisz to zrobić... Zrobisz to...

Obok pojawiła się twarz Corneliusa. Zamykał oczy, wsuwał rękę do środka i bił Joachima po głowie.

— Ty trupie!...

Joachim poczuł, że ogarnia go nieznana ciemność. Strach... Najstraszniejsze było to, że począł się bać siebie, bał się, że zerwie się w nim jakaś zaporą napięta do ostateczności, że zrobi coś, co go przerazi właśnie tym, że będzie jego działaniem... Każde uderzenie wyzwalało w nim utajoną mroczną siłę, która piętrzyła się w mięśniach, ale nie mogła znaleźć ujścia, zastygała w odrętwieniu dręczonego człowieka... A oni pochylali się nad nim z wściekłością, za którą krył się ból, jakiś straszliwy zimny ból, ból bez uczuć, czysty jak czerń nieba... ból, że rzecz, którą znaleźli, nie dorasta cło ich oczekiwań... Kłuli jego ramiona tak, by obudzić w nich światło kryształu, by rozjarzyć w nich lodowały płomień, tak by stał się czymś więcej, niż był. A on, ogłuszony, trącany, bity, staczał się w senny koszmar jak w czarny wir... Granico zacierały się: czuł, że skóra nie odgradza go od przepływu ciemności... że rozdarły się osłony i przyjmuje w siebie jakiś oddech niehumaniczny... a jednak idący do niego przez ciała tych ludzi...

Klatka smuga pochyłym tunelem. Schodzili coraz niżej. Chwycił się bambusowych prętów i jak ogłuszony patrzył na rozjuszonych ludzi, którzy wlekli go gdzieś w niezrozumiałym, groźnym uniesieniu. Potykali się, tracili równowagę, opierali o

ściany... Upadał i znowu się podnosił w chybocącym zaniknięciu: czuł, że głęboki, zimny ból, jakiego dotąd nie znał, przenika do mięśni.

Wynurzyli się z ciemności i dotarli przez wrota obłożone wielkimi płytami do sali wypełnionej mglistą poświatą. Krzyczeli, a echo powtarzało ich okrzyki zmieniając je w ciemną mgławicę dźwięków odbijającą się od oddalonych ścian. Teraz klatka zachwiała się i zaczęła wznosić się. Podnieśli ją chwiejąc się na nogach. La Tour oplątał bambusowe okratowanie sznurem i przez pętlę nad głową więźnia przewłókł żelazny hak. Uchwycili za przerdzewiałe łańcuchy i zaczęli ciągnąć: w zgrzycie nawijających się ogniwi klatka uniosła się jeszcze wyżej. Zawisła w powietrzu.

Nad sobą Joachim zobaczył kołyszące się sklepienie: wielkie rusztowania z poczerńiałych belek, osmalono przez ogień, drewniane koła z kołkami na obrzeżach, łańcuchy i grubo sznury nawijające się na bloki... łomot krążących walców z błyszczącej stali... brzęczące łańcuchy zakończone żelaznymi kulami... które kołysały się w huku... Pod sobą zobaczył ciemność, z której unosił się mętny opar. Klatka kołysała się przez chwilę — łańcuchy zwolniono — i osunęła się w dół. Pociemniało i Joachim odczuł wstrząs.

Leżał na dnie wielkiej niszy.

Nie mógł jednak niczego dojrzeć: oczy nie przyzwyczyły się do mroku... nie rozpoznawały kształtów, jednolita ciemność wypełniała źrenice... Czuł tylko samą powierzchnię skóry, że nie jest tu sam, że jeszcze ktoś tu jest z nim... Spojrzał w górę: przez kratownicę bambusowych prętów zobaczył nad sobą wielkie rusztowania, które zastygły w bezruchu, tylko łańcuchy kołysały się jeszcze miarowo, zgrzytając w ciszy. Cornelius, Amers i Anchetti zniknęli — nawet nie było słyhać oddalających się kroków. Przyjrzał się więzaniom klatki: białe włókna ściągnięto ciasno, były twarde jak wygarbowana skóra koźlicy. Wejście zamknięto metalową zasuwą z wygiętym bezpiecznikiem. Wysunął rękę, pomacał żelazo — po kilku próbach zrezygnował — położył się na boku...

Nagle zasuwę szczęknęła i okratowane drzwi uchyliły się. Pchnął je — rozwarły się szeroko. Był wolny! Teraz trzeba było wydostać się stąd jak najszybciej! Powoli zaczął wypełzać z bambusowego wnętrza — był obolały... miejsca, gdzie trafiał Amers, pulsowały kłującym bólem.

Wystarczył tylko jeden rzut oka w ciemność, by panicznie cofnąć się i natychmiast zatrzasnąć za sobą bambusową kratę



W głębi, pod ścianami coś przesunęło się ciężko i Joachim ujrzał wokół siebie drzemiące rojowisko legwanów. Wielkie zwierzęta przypatrywały mu się nieruchomymi źrenicami. Powstrzymał oddech: bał się, że najłżejsze nawet tchnienie zdradzi jego obecność, przez ułamek sekundy łudził się, że nie dostrzegą go zza krat klatki. Ale strach odłonił przed nim całą prawdę: widziały go! Nie ruszały jeszcze w jego stronę, ale widziały go!... Szarpnął prętami, zacisnął do bólu ręce na wyslizganej bambusowej powierzchni, chciał rozerwać na strzępy swoje więzienie i z drzazgą w dłoni rzucić się na ociężałe cienie zalegające kamienną posadzkę. Poczul piekący zapach gadzich wydaliny. Na ziemi leżały zlepione kłaki słomy, łupiny owoców core, kawałki sznurów... Dziwne czarne plamy rozbryzgnięte na kamieniach... Szarpnął klatką, podkutym obcasem zaczął walić w bambusowe wyschnięte łądygi... żeby rozbić... rozszarpać... unicestwić... chociaż zasuwana była otwarta.. Ale pręty nie ustępowały: ugiwały się nieznacznie pod ciosami, przyjmowały uderzenie, ale nie zmieniały kształtu... Zwierzęta zwabione jego gwałtowną szamotaniną — podnosiły się i węszyły. Okrążały powoli klatkę. Joachim usłyszał miękkie stąpanie gadzich łap i szurgotanie długich bezwładnych agonów, które sunęły po mokrej posadzce... Fetor stawał się nie do zniesienia... Wkrótce jeden z gadów zbliżył się bokiem — Joachim dostrzegł błyskawiczny skręt ogona, wstrząs — i klatka potoczyła się pod ścianę, na grzbiety gadów, które nie ocknęły się jeszcze z letargu i trwały nieruchomo, z na wpół przymkniętymi oczami. Zaroiło się od jaszczurczych łap i pazurów. Rzuciły się na klatkę z sykiem — łańcuch, na którym spuszczone klatkę rozchybotał się aż pod sklepieniem. Rozległ się wrzaskliwy zgrzyt poruszonego żelaza... Joachim zakrył głowę rękami: kiedy otworzył oczy, zobaczył nad sobą rozwartą paszczę z różowym, śliskim podniebieniem, na dłoni poczuł dotknięcie mokrego, cuchnącego rozwidłonego języka... Rzucił się jak oszalały; bronił się obcasami uderzając w pręty. Ale nie dawało to nic. Gady włożyły na siebie, by dostać się do bambusowej klatki z żywym mięsem. Klatka podskakiwała na ich grzbietach, staczała się w dół: Joachim upadł na plecy, tuż przy twarzy zobaczył plamiste podbrzusze i jaszczurczą łapę z wysuniętymi pazurami... która sięgała do wnętrza. Zaczął krzyżeć. Nieartykułowany dźwięk przeszył powietrze...

Nagle rozległ się strzał — gady rozbiegły się pod ściany i zastrygły. Joachim dygotał - nie bał się już, pragnął tylko jednego. Czuł w rękach wspomnienie tamtego ciosu z walki w wąwozie, czuł zgrzyt bagnetu ześlizgującego się po zrogowaciałej skórze

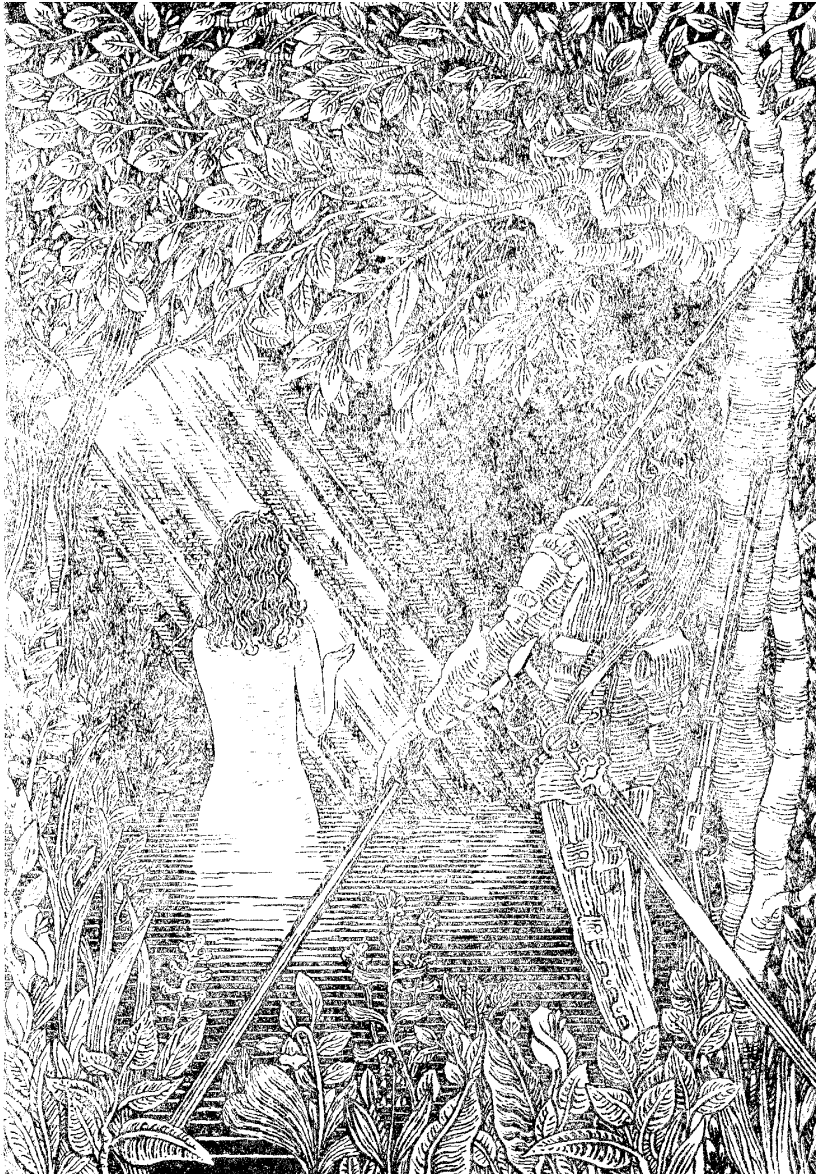
i pchnięcie... głęboko, w kleisty miąższ... Miał wrażenie, że sama myśl o uderzeniu rozpędziła gady... Ze już pchnął i teraz nie może wyrwać ząbkowanego bagnetu... Ręka zaciskająca się na bambusowym pręcie zbielała: czuł pod palcami wyszlizgane drewno kolby... Zastygł tak i tylko jedna myśl pulsowała w nim, jak wzburzona krew...

Obudził go z letargu czyjś głos. Chciał zobaczyć człowieka, wszystko jedno kogo, nawet Corneliusa, Anelietiego czy Vincenza... byle tylko zobaczyć skóre, ludzką skórę, ludzkie ręce, włosy... byle tylko nie widzieć już nieruchomego, nawet przy najgwałtowniejszych szarpnięciach, brodawkowa logo gada, pokrytego liszajami, egzemami, oparzelinami, byle nie widzieć pulsującego podbrzusza, na którym rozlewały się czerwone plamy...

Spojrzał w górę: wysoko pod rusztowaniami, na kamiennym występie, z którego go zrzuciono, stała jakaś postać: krótki ruch ręki i rewolwer z metalicznym trzaskiem upadł obok klatki Joachima... Pomoc?... Kto to jest? Dlaczego to robi? Sięgnął błyskawicznie po broń — odwiódł kurek. Wzbierała w nim fala gorącej wściekłości: skierował lufę w stronę nieruchomych cielsk... zatyglých pod ścianami... zacisnął dłoń na rękojeści... wielkokalibro wy smith-wesson... z długą lufą... Wycelował w grzebieniasty łeb: już czuł szarpnięcie żelaza i plaśnięcie ołowiu w żywą, zimnokrwistą masę...

Ale nie wystrzelił. Wysoko nad głową rozległ się zgrzyt żelaza, klatka zachwiała się... i ruszyła... Chwycił się prętów, żeby nie utracić równowagi i patrzył w górę na skalny występ pod sklepieniem, na którym majaczyła nieruchoma postać. Był coraz bliżej, chłonał oczami sylwetkę... Chciał wiedzieć, kto to jest... Anchetti?... Comelius?... Amers?... A może ktoś, kogo tu nie widział?... Kto to jest?... Chciał zawołać... Ale tknęło go coś w tym nieruchomym kształcie. Wytężył wzrok, wpatrywał się w czarny kontur, który majaczył w falującej mgle... Był już coraz bliżej... już zobaczy go zaraz...

Kiedy klatka zatrzymała się na wysokości kamiennego występu, Joachim spojrział — i wszystko zawirowało mu przed oczami. Czując jakiś przerażający ból w sercu machinalnie wyciągnął przed siebie broń w kurczowo zaciśniętej ręce i strzelił. Naprzeciwko niego stał człowiek z głową legwana. Kula trafiło w lewą pierś, rozdarła surdut, błysnął srebrny haft na ramieniu i człowiek osunął się na ziemię... Joachim ujrzał czarne pantofle ze stalowymi klamrami. W panicznym lęku przeskoczył przez bez-



władne ciało... rzucił broń o ścianę i popędził w głąb kamiennego tunelu łkając jak dziecko.

Przebiegł przez wielką salę nie było tu nikogo... Wyostał się przed budynek: biegł roztrącając gałęzie głogów. Nie poznawał lasu, przez który niedawno przechodzili... Ścieżka znikła gdzieś... Brnął w gąszczy białej trawy... drzewa nie miały barwy, wyglądały jak białe tętnice świeżo wyjęte z rozciętego ciała... miały zapach otwartego nieba, ale mgła nie rozwiała się. Kiedy biegł,

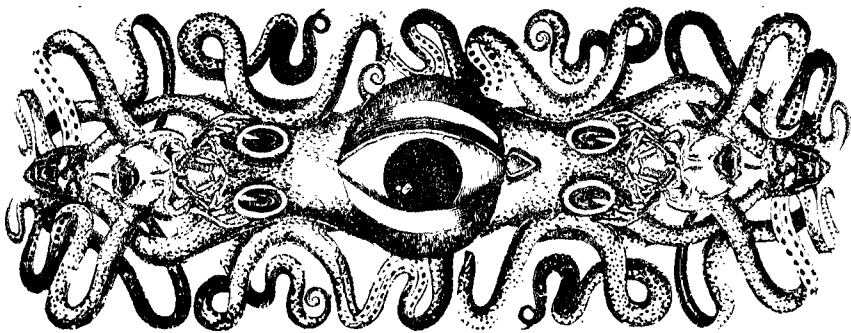
miał wrażenie, że rani powietrze, a długie smugi, które rozszczepia swoim ciałem, opadają na wilgotną ziemię... Przez moment wydawało mu się, że w zaroślach mignął cień legwana... Usłyszał lekki owadzi świst — bambusowa strzała z pierzastą lotką utkwiała w konarze tuż nad głową... Schylił się... chwycił w rękę kamień i wbiegł w zarośla osypane kwiatami, które jarzyły się przed nim jak białe płomienie... Rozległ się strzał i liście zaszeleściły. Usłyszał czyjeś kroki i trzask przelamanej gałązki. Zatrzymał się i nasłuchiwał. Wiedział teraz, że polowanie się rozpoczęło: przez mgnienie oka pomyślał o porzuconym smith-wessonie... Chciał teraz mieć w rękę ten ciężki, naoliwiony przedmiot, który szarpie gwałtownie przy pojawieniu się ognia na przedłużeniu lufy...

Znowu rozległ się strzał i kula rozdmuchnęła jarzący się kwiat tuż przy jego twarzy. Płatki sypnęły w górę i wolno spłynęły na ziemię. Cienie mignęły za płataniną gałęzi. Ktoś przebiegł gęstwiną i zastygł w bezruchu. Joachim wydostał się z gąszczy — wyrzucił się po drugiej stronie — przed sobą w jaskrawym świetle słońca (mgła nadal zamykała się w górze szczelną pokrywą!) zobaczył dwoje ludzi...

Siedzieli na ziemi wśród fioletowych kwiatów i czerwonych gałązek powoju. Za nimi otwierała się wielka, okrągła czeluść otoczona łądogami aleute. Z głębi dobiegał stłumiony pomruk odległej rzeki drażącej podziemne tunele. Joachim rozpoznał Anchettiego — był w białej koszuli, odrzucał do tyłu jasne włosy, które spadały mu na ramiona. Obok niego siedziała na trawie naga Indianka. Oboje patrzyli na małą, złotą jaszczurkę, która pełzła po brunatnym ramieniu dziewczyny.

Byli tylko o kilka kroków — Joachim stał w czerwonawej poświacie słońca — a jednak nie widzieli go, Wypuścił kamień z dłoni. Przeszedł obok nich powoli, nasłuchując monotonnego głosu dobiegającego spod ziemi... Nie myślał o pogoni, która deptała mu po piętach... W północy dotarł do skalnego tunelu i dostał się na drugą stronę masywu...





SPOTKANIE Z WAWRZYŃCEM HORNEM

Kiedy przekraczał przełęcz, spostrzegł, że nie jest sam — czuł, że za splotami lian, po obu stronach skalnej ścieżki, przesuwają się bezgłośnie cienie. Nie schylił się jednak po ostry kawałek bazaltu leżący w białej trawie spalonej przez słońce, nie zamierzał też ostrzyć długiej żerdzi z brunatnego ościeniowca, którą się podpierał. Szedł w dół. Było mu wszystko jedno: gorące powietrze przesycone otępiającą wonią butwiejącego listowia krążyło wśród drzew jak ciężkie wijące się ciało martwej ryby, niesione powoli przez mętną wodę, która zastyga w ciemnych labiryntach dżungli.

Cienie zbliżały się i oddalały, otaczając go półkolem. **Gęstwina** znieruchomiała w skwarze, tylko araukarie krzyczały w **koronach** rudego ostrokrzewu. Przezroczysta mgiełka falowała nad nagrzanymi głazami. Był coraz bliżej dwóch różowych bloków kończących wąwóz. Miał wrażenie, że za chwilę krótki świst bambusowej strzały rozetnie powietrze i lodowate zimno przesyje plecy oblepione koszulą mokrą od potu. Wiedział, że teraz kiedy zstępuje odsłoniętym dnem wąwozu w stronę wzgórz porośniętych bluszczowcem i wachlarzowa tymi kępami opuncji, jest dla czyichś oczu ruchomą tarczą, żywą, widoczną jak na dłoni, ale nie przyspieszał kroku.

Wąwóz urwał się. Powietrze zaświeciło oślepiającą bielą otwartej przestrzeni. Teraz trzeba było przejść przez płaską, żółtawą łąkę, na której wśród niskich pielgrzanów czerniły się wydłużone kopce mrówek. Za nią teren wznosił się ukośnie: skalne bloki leżały tarasowato na łagodnym zboczu, w szczelinach rozkwitał

fioletowymi kiściami krzew core. Joachim zszedł na suchą równinę i powoli odwrócił głowę w stronę wąwozu. Za sobą zobaczył ciemną ścianę liści, pnączy, kolczastych łodyg i białą krechę rozpadliny. Po obu stronach piętrzyła się dżungla. Powiał lekki wiatr i przez korony drzew przepłynęło nerwowe drżenie. Patrzył w falującą zieleń gęstwiny -- ale nie dostrzegł niczego. Przez chwilę pomyślał, że cienie były złudzeniem.

Naraz, spomiędzy gęstwiny płaskich liści szkarłatnego pieprzowca wysunęła się pochylona postać i ruszyła w jego stronę. Był to potężny mężczyzna w zielonej wojskowej kurtce bez dystynkcji, w wysokich sznurowanych butach. Wielka parczana torba z czarnym nadrukiem objęła mu się o nogi... Szedł szybko i uśmiechał się jak dziecko, ale ten uśmiech — chimeryczny, podszyty dziwnym rozdrażnieniem - - w każdej chwili mógł się przerodzić we wściekły płacz.

Zatrzymał się parę kroków przed Joachimem. Za nim z gąszczu wysunęło się kilku nagich Indian. Mieli napięte luki — strzały z szerokim, płaskim ostrzem sterczały na cięciwach...

--- Skąd jesteś?

Mężczyzna stał z przekrzywioną głową mrużąc jasnoniebieskie wodniste oczy. Miał rude, gęste, krótko przystrzyżone włosy. Indianie zatrzymali się nieco dalej: opuścili już luki; może chcieli zostawić zabawę na później, może zauważyli, że nie ma broni.

Joachim nie ruszał się — patrzył tylko na rękę tamtego. W cienkich długich palcach obsypanych brązowymi plamkami kołysał się miarowo i połyskiwał owalny metalowy przedmiot.

— Zwiąłem z pociągu.

— Tego na El Huaz?

— Tak.

— Sam?

— Było jeszcze paru.

— A gdzie są teraz?

— Nie wiem.

— Na pewno?

— Tak.

Mężczyzna zbliżył się i przypatrywał się zbiegowi.

— Pokaż ręce.

Joachim otworzył dłonie — były czarne, oblepione czarnym błotem, suchymi igłami jałowca i żdzbłami trawy. Rudy przyjrzał się im uważnie: ujął dłoń i zaczął oglądać paznokcie.

Nagle Joachim zachwiał się i upadł na plecy. Rudy pchnął go w pierś.

— **Kłamiesz!**

Krępy Indianin natychmiast doskoczył i przyłożył Joachimowi do gardła płaskie, szerokie ostrze oszczepu. Ale rudy odciągnął dzikiego, mówiąc kilka słów w nieznanym narzeczu — podszedł do Joachima i trącił go nogą.

— Takie buty dali ci w koszarach?...

Joachim milczał: wiedział, że opowiadanie o tym, co zdarzyło się po drugiej stronie skalnego przejścia, nie miało sensu.

Tamten uderzył mocniej.

— Skąd to masz?

Joachim nie wiedział, co odpowiedzieć: kłamać? mówić prawdę? Tamten pochylił się i chwycił go mocno za koszulę na pierśsiach.

— Zabiłeś Corneliusa...

Joachim odwrócił twarz. Pod policzkiem poczuł gorąco nagrzaną ziemię. Tuż obok oczu zobaczył usypany z grudek gliny, suchych liści, resztek sierści, śluzu i odchodów brunatny kopiec, w którym roiło się od owadów. Mrówki z wielkimi przezroczystymi odwłokami ciągnęły za sobą trupie strzępy czarnego motyla... Na ich drodze przesunął się cień — to Indianin podszedł do rudego z wiązką białych włókien core ale owady nie zmieniły trasy: szły dalej w nerwowym, monotonnym pośpiechu wlokąc za sobą martwy ciężar. Indianin miał bladorożowe podłużne blizny na brązowoczarnej skórze ramion. Przewrócił Joachima na brzuch, przycisnął kolanem i mocno zaciągnął więzy wokół wykręconych do tyłu przegubów. Potem podniósł go i popchnął do przodu.

Teraz ruszyli w stronę wzgórz, Rudy był niespokojny, patrzył pod nogi, poprawiał parcianą torbę, stawiał długie kroki wznosząc żółtawy kurz, rozglądał się z roztargnieniem tak, jakby to nie on, lecz ktoś zupełnie inny, kto teraz zniknął, wypowiedział słowa o Corneliusie. Joachim patrzył w oszołomieniu, krew pulsowała mu w skroniach, duszące gorąco wypełniało płuca: może to jego wyobraźnia stworzyła drażniący majak, może słowa o Coraeliusie były tylko jej tworem, może przebudził się dopiero przed chwilą i ten głos był tylko echem przerwane go nagle ciemnego snu...

Naraz rudy schylił się i chwycił coś w palce, potem uniósł rękę na wysokość oczu i otworzył dłoń. Stał i przyglądał się swojej zdobyczy. Joachim zobaczył na jego dłoni przewróconego owada. Chrząszcz leżał na grzbiecie, przebierał nogami tak, jakby chciał schwycić się powietrza: kurczył czarne odnóża, rozstawiał je w

poszukiwaniu oparcia, wyciągał w stronę ugiętych palców...

Rudy dmuchnął lekko na dłoń. Owad znieruchomiał, zmienił się w czarny metaliczny owal — udał skurzonego, zastygłego trupa w chitynowej skorupie licząc na to, że wielka nieznana siła, która uniosła go pod chmury, rzuci go teraz znowu na gorący piach... Ale rudy dmuchnął jeszcze raz.

— Są bardzo żarłoczne — powiedział przyglądając się uważnie skreconym czułkom i czerwonej łusce na grzbiecie chrząszcza.

— Ale nie bardziej niż ty... El Toro.

Joachim drgnął: tak, musiał już kiedyś widzieć tego człowieka! Ale gdzie? Przypomniał sobie twarze, ceglane gmachy, sklepy, podziemne przejścia z oszklonego marmuru, czarne stawy, jakiś dom w wielkim ciemnym ogrodzie świecący wśród drzew jak odłam próchna, kobietę z małą dziewczynką przebraną za chłopca, okrągły stół pokryty czerwienią... ale nie potrafił wyłuskać z tego wirującego chaosu przypomnianych oczu, nosów, rzęs, uszu żadnej, która byłaby tą twarzą...

Rudy zmrużył oczy.

— Mają piękną przezroczystą łuskę na grzbiecie, gubią ją na wiosnę... Jest piękna... jak paznokcie najpiękniejszej kobiety.. Prawda?

Joachim czuł, że drętwieją mu związane ciasno dłonie: poruszył palcami... Igiełki bólu pojawiły się pod paznokciami... Chłód...

— Rozluźnij mi ręce.

Tamten mówił jednak dalej tak, jakby nic usłyszał tych słów. Trzymał owada na wysokości oczu i uśmiechał się: chrząszcz kurczył i rozkurczał odnóża.

— Piękna przezroczysta łuska. Nie, paznokcie kobiety nie mogą się z nią równać... Nic nie może się z nią równać... Ciekawe: jak kompromitują się włosy kobiet na tle zwykłego lisiego futra... jak zawstydzające są nawet w porównaniu z lśniąca sierścią zwykłego kota... Horn, przesadzasz — mówią do mnie przyjaciele przesadzasz... Przesadzasz... przesadzasz... Jasne, że przesadzam — są przecież wyjątki... Na przykład pewna młoda dama z El Ebro. Prawda, El Toro? Ale — w masie?...

Joachim zacisnął zęby. Ból narastał, piekące zimno ogarniało palce tak, jakby zanurzano je w ukropie.

.. - Rozluźnij mi ręce.

Horn zatrzymał się i dotknął palcem owada. Indianie stanęli w pewnym oddaleniu opierając oszczepy na ramionach.

— Rozluźnij ręce... rozluźnij ręce... — potrafisz myśleć tylko o sobie. Widziałeś kiedy taką przezroczystą łuskę z bliska? Pa-

trzyłeś kiedy pod światło na różowe żyłki w środku?

Powolutku, ostrożnie przyłożył owalny metalowy przedmiot do grzbietu owada i mocno szarpnął: w wąskich szczypcach zaświeciła różowa szklista blaszka.

Chrząszcz zwijał się na dłoni jak oszalały. Spadł na ziemię i kręcił się panicznie między mrówkami, zderzał się z nimi, wbiegał na ruszające się odnóża... — owady nie przerywały swej monotonnej wędrówki, wlokły za sobą oblepioną ptasią głowę z resztkami piór powoli, powoli... a on wirował po spalonym piasku rozpaczliwie szukając zagłębienia, w którym mógłby się skryć przed prażącym słońcem... Nagi czerwony mięsz grzbietu lśnił świeżą wilgocią... Wreszcie zniknął w szczelinie zastygłego błota...

Horn patrzył w to miejsce przez chwilę. Potem podniósł głowę i z dziwnym uśmiechem spojrzął na Joachima.

— Zniknął. Nie ma go...

Znieruchomiał z tym zagadkowym, niejasnym grymasem na twarzy. Naraz drgnął, jakby się ocknął z dusznego snu. Powoli przeszedł kilka kroków w stronę zbocza i znów się zatrzymał. Znów spojrzął na Joachima.

--- Nie ma go? -- odwrócił się i wskazał palcem niewidoczne cieniutkie pęknięcie w ziemi, które zostawili za sobą.

— Popatrz tam — on tam teraz jest, jest. My pójdziemy dalej, będziemy sobie rozmawiać, może nawet coś zjemy, a on tam będzie cały czas, będzie jeszcze długo. Może parę sekund, może parę minut, może dużo, dużo minut... Dla nas to będą minuty... a dla niego? Pomyśl o tym. Wyobrażaj sobie. Myśl. Ciekawe, co on tam teraz robi?... Czy się rusza?... Czy drętwieje?... Czy się miota?... On nie potrafi krzyżeć... On tam teraz jest, wszystko w nim rwie się do krzyku, krzyk puchnie w nim, puchnie... i nigdy, nigdy... On tam teraz siedzi, w czarnej dziurze, nic nie widzi i jest, cały czas jest... Pomyśl o tym...

Spojrzał w słońce. Szli teraz obok krzewów core oblepionych brzęczącymi rojami czarnych os. Na szarozielonej opuncji wisiały strzępy zwierzęcej sierści. Zbliżył się do Joachima i ujął go pod rękę.

--- Czujesz teraz taki łaskoczący zimny ból pod paznokciami, prawda? To krew nie dochodzi do dłoni. A ręce nabrzmiewają...

Dziwne, prawda?

Joachim zagryzł usta.

--- Ty draniu...

Horn mówił jednak tym samym monotonnym głosem.

— Pomyśl o tym, pomyśl. Tylko to jedno wyróżnia nas z tego mrowia. Pomyśl. Wyobrażaj sobie. Myśl. Tutaj są twoje ręce, a tam, w tej dziurze — on. Owadzi ból i twój ból... Dwa bóle, czy jeden i ten sam? Dwa, czy jeden — pomnożony, mrowiący się bez końca... Popatrz na to wszystko — kiwnął głową w stronę dżungli — to wszystko jest tylko ból, nic więcej. Nie ma niczego więcej. Jest tylko to. I to się mrowi, mrowi, mrowi — w nieskończoność. Nigdy nie znika, zawsze jest i zawsze będzie. Patrzysz — drzewo. Patrzysz — trawa. Patrzysz — liść. A to jest on. Z niego jest ulepione wszystko... jak z błota. My, owady, wszystko... Ty też, El Toro. Ty też, prawda?...

Joachim rzucił się celując głową w brzuch, ale tamten błyskawicznie uskoczył ze zręcznością, której nikt by u niego nie podejrzewał. Joachim upadł i pełznął w jego stronę szarpiąc więzami. Tamten odepchnął go tylko nogą.

— Jesteś niecierpliwy... — pokręcił głową — bardzo niecierpliwy, a tobie potrzeba będzie dużo cierpliwości. Oni — pokazali Indian — są bardzo cierpliwi. Nawet nie wiesz, jak bardzo cierpliwi...

Pochylił się i podniósł więźnia: dalsza szamotanina była bezcelowa... ale wynikła z niej pewna korzyść — podczas walki włókna rozluźniły się nieco i ból zelżał.

Wyszli teraz z zarośli core i zanurzyli się w wilgotny gąszcz. Minęli sykomorę strzaskaną przez piorun. Na białych drzazgach, rozszczepionego konara siedziały osowiałe szare ptaki oros. Pod drzewem lśniły ciemnoczerwone strzępy padliny pokryte pulsującą pokrywą much. Czarne drozdy żółtymi, podobnymi do ostrej drzazgi, dziobami wykluwały oko z głowy rozkładającego się gwał. Weszli teraz na czarną błotnistą ścieżkę biegnącą w górę między wielkimi pochyłonymi magnoliowcami, których gałęzie powyginane i skrzycone — przypominały chore ręce ludzi żyjących na bagnach. Po obu stronach przejścia tonęły w wilgotnej wysokiej trawie poczerńiałe, porośnięte rdzawym mchem posągi dziecka z płomiennym sztyletem. Ale wyglądały inaczej niż w świątyni Corneliusa: dziecko miało twarz pociętą wąskimi, głębokimi bruzdami, w których gnieździły się białe larwy, na piersiach otwierała się mała ukośna rana przypominającą zielone pióro araukarii... wąska płomienista obręcz obejmowała małe wypukłe czoło...

Skręcili teraz pod brunatną, prześwietloną słońcem koronę cynamonowca. Pojaśniało. Zapach stojącej, zgniłej wody zmieszał się z wonią dymu.

Za zakrętem ujrzeli obszerną płaską polanę położoną w głębi wielkiego skalnego nawisu. Na górze piętrzyła się dżungla. Liany i strzepy gnijącego strofatu zwisały gęsto. W głębi mroku olbrzymiej pieczary Joachim dostrzegł szałas dzikich plecione z białej trzciny. Dym kilku ognisk wznosił się i rozlewał długimi, niebieskawymi pasmami pod skalnym sklepieniem. Ptaki awaros z ostrym skwirem wlatywały do pociemniałego wnętrza i wypadały za chwilę kołując bezładnie ogłuszone wonią palonego krzewu ancuta. Kilka oswojonych kóz bantaro szczypało zielsko pieniające się w szczelinach czarnego bazaltu.

Weszli między domostwa — dwie kobiety, zajęte pleceniem mat z włókien core, spojrzały na nich — i wróciły do swojej roboty... Dziecko z białym ptakiem w dłoni przebiegło w stronę strumienia, który płynął środkiem obozowiska i łączył się w dole z szerokim rozlewiskiem. W mroku pieczary, tuż przy źródle, płonęło małe ognisko. Siedział przy nim stary mężczyzna z piórem araukarii we włosach i ząbkowanym, pruskim bagnetem strugał figurę Juana Carlosa. Król miał na sobie kawalerski mundur z orderami, wielkie sępie skrzydła układały się wzdłuż ramion, ręce kończyły się pletwą, pod nosem sterczał podkręcony wąs, zamiast kawalerskich buciorów z nogawek wysuwały się jaszczurcze łapy... Obok, w skalnej niszy, świecił za szybą otoczony koronkami z bibulek jego portret paradny. Oczy Juana Carlosa wpatrywały się w lazurową dal, mundur był skromny, tylko seledynowa szarfa z różową gwiazdą wysadzaną perłami ozdabiała wypukłą pierś... W rogu brązowała mała fotografia Hugo Altendorfa wycięta z „Concideration”. Grube, woskowe świece płonęły dyskretnym żółtawym płomieniem. Połączony młotek i kielnia spowite purpurowymi wstęgami połyskiwały znad ramki udekorowanej jaskrawo pomalowanymi skrzydłami kondora. Wysokie czoło Słońca Wszech-Hszipanii lśniło.

Horn podszedł do wodza. Powiedział coś i wskazał na Joachima. Ale wódz nie podniósł nawet oczu — machnął tylko ręką, żeby odeszli. Kiedy zaczęli schodzić, wyciągnął rękę z białym Juanem Carlosem — i przyglądał się z niezadowoleniem swojemu dziełu. Na bazaltowej ścianie wisiał pióropusz z czerwono-złotymi piórami na srebrnych, taśmach, okrągła tarcza z wizerunkiem słońca, wielki mauzer starego typu (VB 89) i połowy mundur błękitnych Huzarów — prosto spod igły... Brakowało tylko skórzanych botfortów...

Horn był rozgoryczony. Minęli wielką szepę, nad którą rozciągnięto złoty napis *Juan Carlos — Nasz Wielki Ojciec*, w alfa-

becie celo i ideogramami... W środku na glinianej polepie siedziały indiańskie dzieci i rysikami wodziły po łupkowych tabliczkach: Ju-an-Car-los... Ju-an-Car-los... oraz Oj-ciec-Oj-cicc...

Horn wzdygnął się z obrzydzeniem.

— Już nie używają nawet zatrutych strzał. W zeszłym tygodniu umyli wszystkie oszczepy... Cała kurara poszła do bagna. No, trochę zostawił sobie ten stary... Teraz kajmany pływają do góry brzuchem... Takie kajmany...

Przeszli obok skrzyń z emblematami III Korpusu, wyminęli stertę glinianych naczyń z czerwoną farbą i wyszli na polanę. Nad rozlewiskami unosiła się biała mgła, w dali zza wyschniętych drzew stojących, w wodzie prześwitywały wzgórza porośnięte dżunglą, ciągnące się aż po horyzont. Horn patrzył bezmyślnie przed siebie,

— Co ja tu właściwie jeszcze robię?...

— Siadaj.

Kiedy usiedli nad strumieniem, nabrał wody do blaszanego kubka i pił chciwie. Miał brudne, nadłamane paznokcie. Z kieszeni wystawała srebrna papierośnica. W mankietach tkwiły źdźbła suchej trawy.

Wytarł usta wierzchem dłoni.

— Jutro przetrną ci ścięgna na nogach, pod kostką... i zanoszą cię na stację Guantavo... Dostaną za ciebie trochę naboju, suszoną kukurydzę i świeżą gazetę... — taka jest twoja cena... Stary, jeśli złapie paru takich, jak ty, dostanie pewnie gwiazdkę... Tam wezmą cię tamci... Potem wsadzą do pociągu... i powieszą w El Huaz.

Siedział na pniu skamieniałego drzewa, które wystawało z wody i gryzł źdźbło czerwonej trawy. Przyglądał się sennie twarzy Joachima, jakby dziwiąc się, że ktoś taki może jeszcze żyć i oddychać. Wypluł różową ślinę i sięgnął do parcianej torby, która leżała przy jego nodze. Mówił bardziej do siebie, niż do człowieka, którego widział przed sobą... Kiwał głową z pobłażliwą litością i odrazą.

— Nie chcą mnie słuchać... Mają tylko te swoje stare, tępo sposoby. Czerwone mrówki, przecinanie ścięgien, oszczep, strzały... Kiedyś dla nich tajemnicą było wszystko — zatoczył ręką szeroki gest — zresztą nie tak dawno. Teraz nie czują niczego. Mają tylko oczy - ważne jest tylko to, co widzą, co macają swoimi łapami. Poza tym mają tylko swój strach — coraz większy szcurzy strach... Kiedyś bali się tego wszystkiego — razem. Teraz wiadomo, czego się boją. No i chcą, żeby było lepiej i łatwiej, coraz łatwiej, łatwiej, łatwiej!

Kopnął blaszany kubek, który potoczył się po trawie, uderzając w stertę kamieni. Joachim patrzył na niego w milczeniu. Uważnie, ostrożnie pracował nad swoimi więzami — powoli pocierał włókna o ostry kamień, który obok wystawał z ziemi. Teraz czując na sobie wzrok Horna -- przerwał.

To po coś mnie tu ciągnął?

Horn podniósł głowę.

— Miałem swój interes...

--- Ale teraz już go nie masz, więc uciekajmy stąd.

— Chyba nie wiesz, co mówisz. Im się jeszcze nikt nie wymknał...

Chwilę zamyślił się.

— ...zresztą pobyt tutaj ma swoje dobre strony.

— Rzuć to wszystko i uciekajmy.

Horn chwilę milczał patrząc w wodę strumienia.

— Tylko dokąd? Tam skąd zwiąłem? Teraz miałbym tam wracać? Po co?

—Ale po co -masz tu siedzieć?

Horn spojrzał na niego uważnie — zmrużone oczy pociemniały. Wyglądało, że rozmowa poruszyła w nim jakąś mroczną myśl. Podniósł się i odsunął nogą torbę.

— Chodź, zaraz się dowiesz.

Wziął mocno Joachima pod ramię i poprowadził w głąb pieczary. Znowu minęli domostwa kryte matą z core, przeszli obok szopy, potem skręcili w prawo i zbliżyli się do skalnej ściany. Joachim ujrzał przed sobą przykute do bazaltu sztaby, okute belki, łańcuchy i żelazne obręcze. Wszystko to, przeżarte czarną rdzą, pochodziło chyba jeszcze z czasów konkwisty. Horn pociągnął go gwałtownie w stronę żelastwa, przysunął plecami do ściany i wepchnął wykręcone ręce w ciasną obręcz. Potem przesunął rygiel -- zapadka ze szczękiem weszła w ukośne wycięcie. Mówił powoli, cedząc słowa.

— Wiesz, co powiedział stary? Żebyś cię zakłuł. Był wściekły, że mu zawracam głowę takim głupstwem. Oni wolą dostarczać trupy, niż szamotać się z żywymi. Najchętniej dostarczają głowy... to najwygodniej. Głowa na tyce... Podają ją przez okno do kantoru i dostają za nią worek kukurydzy. Ale ja mu powiedziałem, że to się nie opłaci, bo ty jesteś ważny... Uratowałem ci życie. A wiesz dlaczego?

Pochylił głowę, zbliżył twarz do twarzy Joachima i wyszeptał szeroko otwierając usta.

— Bo oni ją mają...

Joachim szarpnął się gwałtownie: krew odpłynęła mu z serca. Ale Horn przezornie się odsunął.

— Tak, oni ją mają, Ines, małą, kochaną Ines.

Joachim zamknął oczy — ziemia zakołysała mu się pod stopami.

Horn uśmiechnął się.

— Oni nie tylko ją mają... Oni ją także chcą wymienić — na ciebie.

Joachim oddychał ciężko: serce uderzało coraz wolniej, puls zastęgał w żyłach, palące łzy napływały pod powieki. Był bezsilny, żelazo obejmowało ciasno przeguby. Mógł tylko zaciskać pięści, wbijać paznokcie w ciało. Mógł zrobić tylko to...

Horn przekrzywił głowę i przyglądał mu się zwężonymi oczami.

— Oni chcą cię wymienić... a ty będziesz daleko, daleko, daleko. Będziesz tu stał... i będziesz myślał. Będziesz stał i długo, długo myślał... o tym, co oni mogą jej zrobić. Będziesz to sobie wyobrażał, długo, długo wyobrażał... A ja? Cóż ja — ja będę myślał o tym, że ty myślisz. Będę z oddalenia czuł, jak twoja myśl rozkwita, jak rozrasta się w tajemniczej głębi twojego mózgu, jak rośnie, rozszerza się, świeci w ciemnościach twojej zwierzęcej natury i zmienia ją, uszlachetnia, oczyszcza...

Joachim zacisnął powieki, czuł, że narasta w nim jakaś mroczna, dusząca ciemność, która ogarnia ramiona, piersi, stopy...

— Myśl o bólu. Przestań myśleć o sobie. Myśl o bólu. Myśl. Zgłębiaj tajemnicę. Wyjdź poza swój ból. Przyglądaj się mu z odalenia — jest piękny... Nie myśl o tym, że cię boli. Myśl o bólu, tylko o bólu, nie o sobie... nie o sobie...

Joachim kręcił obłądnie głową.

— Boże, to wariat...

Horn gwałtownie wbił paznokcie w jego ramię; oczy zabłysły gorączkowym płomieniem...

— Nie rozdrażniaj mnie, mówię ci, nie rozdrażniaj mnie... Nic nie rozumiesz. Nawet nie starasz się zrozumieć. A ja mogę tylko skinąć głową i przybiegną tu ich dzieci, brudne, indiańskie dzieci, które uczą się pisać, ale mają w sobie jeszcze tą tajemniczą świętą iskrę... Przybiegną ze swoimi małymi łukami... Widziałeś kiedyś świętego Sebastiana?

Przymknął oczy. Mówił teraz marzącym tonem, wydłużając słowa.

— Pamiętasz? Piękny, nagi młodzieniec o kształtach boskiego efeba, z ciemnymi, zmrużonymi oczami sarny, przegina się lekko

pod drzewem, na którego gałązkach drżą czarne, drobne listki... Ma ręce skrępowane z tyłu rzemieniami i przywiązane do pnia... W głębi, za jego plecami, na dalekim horyzoncie błękitnieją łagodnie wzgórza... Srebrne strumienie szemrzą wśród wielkich paproci i białych wilgotnych konwalii... A w jego ciało bez skazy, miękkie, niemal dziewczęce, wbijają się czarne pierzaste brzeszczoty i okrągłe, lśniące krople ciemnoczerwonej krwi spływają po skórze tak pięknej jak zorza różowiejąca o świcie... Białe stulone róże krążą wokół na wpół uśpionej twarzy... Gołębie siadają na nagich ramionach... A ze świetlistego prześwitu w obłokach spływa w dół ciemnozielona gałązka palmy oliwnej...

Otworzył oczy i skrzywił się z niesmakiem.

— Oni nie rozumieją północnego piękna. Kiedyś składali ofiary z takich jak ty. To trwało długo, bardzo długo. Na kamiennych stopniach pióropusze, złoto, rzeźbione topory, paradne noże, paradne bicze, paradne pałki... Tłumy, chorągwie, setki chorągwi... Wielka pompa... Imperialny gust... Zły smak... Zły... Gęby kapłanów, wysokich urzędników, drobnych urzędników, setki urzędników, szefów policji... Astrolodzy, wróżbici, dziewczyny ze świątyń świetnie ubrane, strażnicy z okutymi drągami i hołota, hołota, hołota... Setki, tysiące... Nie, to było w złym stylu... Zły gust... Zły smak...

Machnął ręką i oddalił się w stronę wielkiego stosu kości. Podszedł do kasztana w srebrnej uprzęży uwiązanego do włócznie z pękiem czerwonych piór: wielka rusznica z oksydowaną nasadą celownika wystawała ukośnie z olster... Wyciągnął broń na pół długości lufy i chwilę się wahał, potem wsunął ją z powrotem. Poszedł w głąb obozowiska i zniknął w jednym z domostw.

Joachim został sam. Czuł ulgę, że wyzwolił się od obłędnej gadaniny tego człowieka. Wiedział jedno: musi stąd uciec. Za wszelką cenę. Wiadomość o Ines była ciosem, ale i przyniosła nadzieję: skoro chcą go wymienić, więc ona... żyje. Za moment jednak powróciło przerażenie: przecież mogli z nią zrobić wszystko i teraz chcą go wciągnąć w pułapkę — za darmo. Nie! Musi się stąd wydostać, musi do niej dotrzeć. Szarpnął łańcuchem. Czarna obręcz obejmowała ciasno przeguby. Mógł tak szarpać całą wieczność, a żelazo nie drgnęłoby nawet. Poczul jednak, że coś się zmieniło; wszystkie te szamotania, walki, uderzenia przyniosły jeden skutek — więzy z core pękły i biały, wąski splot zsunął się na ziemię. Błyskawicznie nakrył go stopą. Rozejrzał się, czy ktoś nie zauważył tego ruchu.

Naprzeciwno, w odległości paru kroków, stało indiańskie dzie-

cko i żuło brunatny liść. Patrzyło na Joachima nieruchomymi wilgotnymi oczami o szklistym połysku. W rękę trzymało nóż z wypolerowanego kamienia i rozcinało nim owoc rutę. Sok kapł na ziemię, dłonie dziecka były lepkie od kleistej cieczy przypominającej żywicę. Długie natłuszczone włosy o granatowoczarnej barwie grubymi strąkami, opadały na ramiona. Dziecko wypłuło brunatny zwitek i włożyło do ust soczysty płat owocu. Na policzkach dwie różowe blizny po rytualnych nacięciach drgnęły, kiedy przelknęło zimny, żółty miąższ. Za dzieckiem przydreptał szpak z podciętymi lotkami i zapamiętałe dziobał zasychające krople na piasku.

Joachim nie miał złudzeń: dziecko widziało jego ruch i rozumiało, co chciał zrobić. Powinno więc pobiec do najbliższego domostwa i przywołać stamtąd wojownika. Ale nie robiło tego — przyglądało się tylko więźniowi i powoli pożerało żółty owoc. Wreszcie oblizało brązoworóżową pestkę obrośniętą resztkami miąższu i rzuciło ją za siebie. Ptak podbiegł do przysmaku strosząc czarne, postrzępione pióra. Potem obtarło krzemienne ostrze o skórzaną nogawkę, zbliżyło się do Joachima... i błyskawicznym, ruchem pchnęło go w brzuch.

Nóż ześlizgnął się po pasie i upadł na ziemię. Joachim zasłonił się kolanem przed następnym, ciosem. Ale dziecko skuliło się i zaczęło uciekać w stronę nadbrzeżnej łąki. Zrozumiał, że coś je przstraszyło — ale nie wiedział, co. Dzieciak odwrócił się i pognął w stronę gąszczy szałwi znikając wśród brunatnych liści. Chmura zielonozłotychnych awenas z trzepotem zerwała się spod jego stóp i przefrunęła nad łąką.

W obozie panowała senna cisza popołudniowa. Nagi wojownik z zielonym piórem araukarii we włosach wycierał wiązka suchej, trawy sierść kasztana. Muchy wirowały wokół końskiego łba. Kobieta w czerwonym, poncho poszła w stronę strumienia niosąc oburącz żelazny garnek. Stary Indianin mieszał coś w drewnianej misce, dolewając co chwila wody z blaszanki. Między szalaszami przebiegło parę psów. Miały szarą, wyleniałą sierść, wysokie łapy i różowy, wiotki, szczurzy ogon. Mokre języki kołysały się wśród żółtawych kłów. Strzępy uszu zwieszały się po obu stronach głowy jak czarne spalone oros.

Kiedy Joachim ochłonął, zobaczył na ziemi nóż. Leżał tuż przy prawej nodze: wystarczyło lekko przykucnąć, by mieć go w rękę... Schylił się i wykręcając ręce zatrzaśnięte w żelaznej obręczy sięgnął po kamień...

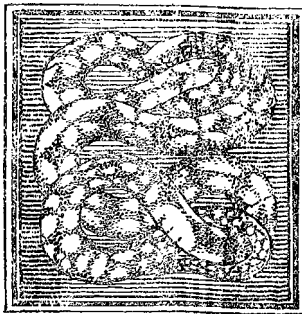
Wtedy nagle zakotłowało się wokół niego... To psy, które wę-

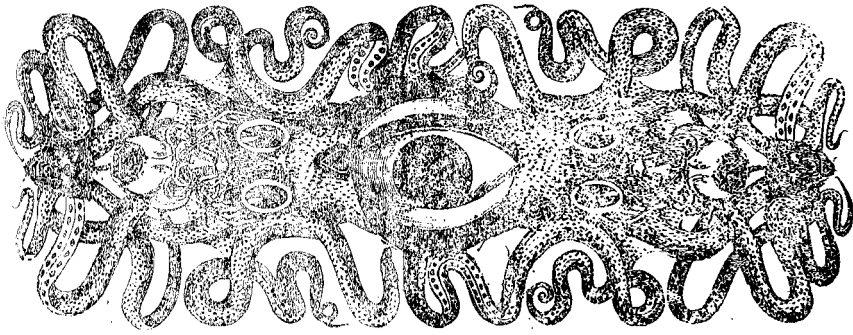
szły w pobliżu, wbiegły mu pod nogi. Czarny, ze skaleczoną wargą, dotknął nosem krzemienego ostrza i zaczął zlizywać sok. Potem parę razy szarpnął głową: chciał chwycić zębami płaski kształt. Palce Joachima uchwyciły rękojeść — ale pies zaczął warczeć i mocno szarpnął w drugą stronę. Teraz dołączyły inne: rozległo się wściekle ujadanie. Szara wyleniała bestia wbiła kły w stopę, całe szczęście, że skórzane buty osłaniały ciało. Psy kłębiły się coraz bardziej rozjuszone, kasały w karki, łapy, ogony... Joachim pomyślał, że nóż jest już stracony, gdy nagle mały, rudy, z głową podobną do końskiego pyska, rzucił się z panicznym skowytem w stronę łąki. Pozostałe pognały za nim przez wysoką trawę...

W chmurze kurzu, którą wznieciły, wystarczył jeden niedostrzegalny ruch i nóż znalazł się w cholewie. Po włóknach core nie został nawet ślad.

Indianin schyłony nad drewnianą miską nawet nie podniósł głowy. Nagi wojownik sprowadzał teraz konia w dół, w stronę błotnistej ścieżki. Stado kóz przesunęło się w stronę cienia i szczypało nad wodą kwaśne ziele aleute.

Miał nóż. Teraz trzeba było czekać na nadejście zmierzchu.





MARTWY KAJMAN

Kiedy ściemniło się Joachim zobaczył ogień. Paliło się na brzegu rozlewiska, w dole, za domostwami. Nagie sylwetki pochylały się nad strzelającym płomieniem. Indianie dorzucali co chwila wyrwane z korzeniami krzaki czarnego jałowca; obok wbili w ziemię długie oszczepy z pękami piór na szczycie. Świeże igliwie skwierczało, gorzki zapach palonej żywicy napływał powoli do pieczary.

Teraz dorzucili wiązkę tamaryszku i wielkich liści szkarłatnej wiśnicy. Ogień pociemniał, potem buchnął w górę jasnorożowym blaskiem. Na czarną taflę rozlewiska padł krąg ruchomego światła. Woda była gładka, tylko przy ujściu marszczyła się lekko. Białe pnie zalanego lasu, sterczące z wody, wypłynęły z mroku i zgasły...

A więc los mu nie sprzyjał...

Sądził, że ogień zapłonie gdzieś wyżej, w okolicach szopy z purpurowo-złotym napisem albo bardziej w prawo, u wejścia na polanę, przy błotnistej ścieżce. Rozpalono jednak niżej, tuż przy ujściu strumienia. Tam też stanęło kilku wojowników. Jeden z nich podniósł z ziemi ubitą araukarię z rozłamanymi skrzydłami, potem wyrwał długie, wąskie pióro z ogona i oglądał je pod światło.

Było cicho. Z najbliższego szałasów dolatywało gaworzenie dziecka, głos starej kobiety uspokajał je, ktoś wlewał coś do glinianego naczynia — płyn chlupotał miękko...

Joachim ostrożnie poruszył rękami. Łańcuchy brzękły. Zamarł z niepokoju. Usłyszeli? Z drugiej strony łąki doleciał cichy brzęk końskiego wędzidla. Uspokoił się: jeśli nawet usłyszeli, to brzęk łańcucha był podobny... Indianie nad brzegiem rozmawiali nie-

mrawo, rzucając od czasu do czasu w wodę żarzące się korzenie jałowca. Siedzieli przy ogniu — twarzą do rozlewiska. Młody, o spadzistych ramionach i grubym karku, naciągał ciężką łukę i sprawdzał jej napięcie. Trącał kciukiem wibrującą strunę z koźłego jelita i nacierał ją tłustym miąższem łądyg ekori.

Trzeba naciągnąć łańcuch — jeżeli będzie napięty, ogniwa nie zazgrzytają... Joachim powoli kucnął i pochylił się do przodu. Łańcuch naprężył się. Teraz dłoń powędrowała w stronę cholewy, palce wsunęły się do środka i namacały kamienne ostrze. Nóż powoli wysunął się. Joachim obrócił go ostrzem do góry. Musiał wyczuć miejsce, w którym stykały się dwie półobręcze zwierające się wokół nadgarstków... Przesunął ostrą krawędź po zardzewiałym żelazie. Nic... — nóż ześlizgnął się, nie było śladu najmniejszej szczeliny.

Ogarnęła go wściekłość — chciał szarpnąć łańcuchami... Zaciśnął zęby. Trzeba było spróbować jeszcze raz. Teraz był bardziej uważny. Przyłożył ostrze i powoli, powolutku prowadził je po żelazie. Stuknęło -- nóż zatrzymał się w cieniutkiej bruździe...

Jest!! Joachim znieruchomiał — przycisnął ostrze i ułożył wygodnie palce na rękojeści. Zwarł dłonie wokół wypolerowanego kamienia i nacisnął ostrze z całej siły... Ale nóż nie drgnął: żelazne szczęki pozostawały ciasno zwarte. Spróbował jeszcze raz: oparł dłonie na kamiennym występie i plecami docisnął żelazną obręcz... Znowu nic. To nie był sposób, trzeba było spróbować inaczej. Wsunął w szczyrbę sam czubek noża, zaparł się plecami i uderzył całym ciałem - nóż rękojeścią wpierał się w skałę...

Żelazo ani drgnęło.

Podniósł się więc, by rozprostować kolana — i poczuł gorąco w piersiach: nóż tkwił w szczelinie! Jeszcze tylko samym czubkiem, wąziutkim szczytem, ale tkwił... nie wypadł... siedział w wąskiej, cieniutkiej szparce... Kamienna klinga rozszerzająca się w stronę rękojeści niczym klin wchodziła pomiędzy półkolistą żelazną! Gdyby to był nóż żelazny, wszystko skończyło by się klęską... Ale to był kamienny, polerowany bazaltowym proszkiem sztylet o grubiejącej niezgrabnej klindze!...

Trzeba więc uderzać regularnie, całym ciałem — spokojnie, bez wielkiego wysiłku. Pochylił się i nacisnął plecami — rękojeść zgrzytnęła o kamień. Uderzył jeszcze raz... jeszcze raz... jeszcze raz... Oddychał ciężko, serce waliło w piersiach, choć wysiłek był znikomy. Chwilę przerwał: kciukiem powiódł po żelazie. Natrafił na szczyrbę — tak, rozszerzyła się! Troszkę, niewiele — ale rozszerzyła się! Była już wyraźnie wyczuwalna. Ucisk

wokół nadgarstków ledwie dostrzegalnie zelżał. Pochylił się znów i chcąc przyspieszyć oczekiwaną chwilę — z całej siły uderzył plecami o żelazo. Ostrze zgrzytnęło. Przeszyło go zimno — zachwiał się, utracił równowagę i runął bezwładnie na prawy bok. Łańcuchy głośno zabrzęczały.

A więc wszystko na nic!

Zaraz tu będą! Zaraz nadbiegną z oszczepami! Skulił się w oczekiwaniu na ciosy — czekał na uderzenia bosych stóp nadbiegających Indian...

Usłyszał kroki. Ktoś szedł powoli w jego stronę. Uważając, by łańcuchy nie zgrzytnęły, Joachim podniósł się z ziemi i usiadł pod skałą. Zwiesił głowę — wyglądał tak, jakby trwał w mrocznym niespokojnym śnie. Ciemna posiać z długim piórem we włosach podeszła, stała przed nim przez chwilę, po czym odwróciła

się i ruszyła w stronę szalasu Horna.

To było najgorsze, co mogło się zdarzyć.

Zostały mu więc tylko sekundy!

Całą siłą zaparł się stopami w ziemię i nacisnął plecami na nóż. Zrobił to jeszcze raz i jeszcze raz... Rozległ się metaliczny zgrzyt — ostrze przesunęło się i weszło między żelazo. Szczęki rozsunięły się! Ale Joachim wiedział, że wystarczy tylko wyjąć nóż, by zamknęły się na powrót! Wystarczy tylko jeden nieopatrzny ruch, by nóż wypadł — i wszystko na nic...

Nie było innego wyjścia — powoli, ostrożnie wysunął prawą dłoń z obręczy, potem lewą. Wyjął nóż z rozsuniętej szczeliny i natychmiast wsunął go do cholewy...

Czas był najwyższy: derka przy otworze wejściowym w szałasie Horna uniosła się, zajaśniało żółte światło świecy. Indianin pochylił się i mówił coś do środka... W otworze pociemniało i przed domostwo wyszedł Horn. Naciągał kurtkę i poprawiał spodnie... Szedł powoli, potykał się o gałęzie i spluwał na ziemię. Powłóczył nogami w nie zasznurowanych butach, które wciągnął na bose stopy. Był coraz bliżej.

Joachim znowu wsunął prawą dłoń w obręcz za plecami, usiadł pod skałą i zastygł w bezruchu. Lewą mocno chwycił za żelazne półkole. Opuścił głowę, rozluźnił mięśnie i czekał. Szurgotanie buciorów zbliżało się, trzaskały drobne gałązki, szeleścił mokry piach pod podszewkami, wreszcie Horn zatrzymał się. Joachim usłyszał jego oddech.

— Wstawaj!

Horn pochylił się i trącił go nogą.

— Masz nie spać! Rozumiesz?! Masz tu stać przez całą noc!
Wstawaj!

Pchnął go z całej siły. Joachim zachwiał się — myślał tylko o jednym: nie wypuścić łańcucha z rąk!... trzymać mocno!... nie wypuścić łańcucha z rąk...

Podniósł się i oparł plecami o ścianę.

— Masz nie spać!

Poczuł gorący oddech na twarzy. Horn podszedł blisko, chwycił łańcuch nad jego głową i pociągnął w górę. Żelazo przesunęło się przez kółko przytwierdzone wysoko do skały i wykręciło ręce. Joachim zagryzł wargi — stał teraz na palcach, wisiał niemal na żelaznej uwięzi i czuł, że żwir osuwa mu się spod stóp... Nogi traciły oparcie!...

Horn zaczepił koniec łańcucha na wystającym haku i odsunął się.

--- Nieładnie... Ty śpisz, a ona...

Patrzył na pokraczną postać zwisającą przy ścianie z rękami wykręconymi do tyłu.

Nagle otworzył usta ze zdumienia.

Postać oddzieliła się od łańcucha i runęła w jego stronę!...

Jeden cios -- i Joachim przeskoczył przez bezwładne ciało.

Wiedział, że nie może biec w stronę ogniska, tam czekała go nieuchronna śmierć. Pozostawała tylko jedna możliwość: błotnista ścieżka! Przebiegł bezszelestnie między domostwami. Minął stertę chrustu, stos glinianych naczyń, blaszaną skrzynię na amunicję i znalazł się nad brzegiem strumienia. Woda szumiała tu głośno, opływając wystające głazy. Schylił się i zsunął w dół. Przez chwilę nie czuł chłodu — wysokie buty osłoniły ciało przed wilgocią. Woda nic była głęboka: omijając głazy przedostał się na drugi brzeg.

Chwycił za wystające korzenie i wyrzwał na łąkę pochyloną w stronę ścieżki. Miał więc teraz przebiec szybko pustą przestrzeń, dobiec do skalnej ściany porośniętej czarnym bluszczem, to poszłoby już łatwiej: podczołgałby się do wysokich zarośli, stamtąd droga była prosta...

Wysunął głowę zza małej nadbrzeżnej skarpy — i natychmiast ją cofnął. Zmrużył oczy i wpatrzył się w ciemność.

Najpierw usłyszał delikatne dźwięczenie metalu...

Z nieruchomego mroku wyłoniła się powoli jasnowłosa kobieta. Szła rozsuwając przed sobą gęste powietrze przesycone wonią wilgotnego listowia dżungli. Miała na sobie czarny mundur ze srebrnymi naszywkami i wysokie, lśniące buty z ostrogami. Ko-

lanami rozgarniała liście szałwi. Mokra trawa pokryta białą rosą uginała się z miękkim szelestem... Odległy ptak krzyknął nad rozlewiskami. Kobieta niosła ciężki karabin o nieznanym kształcie: oksydowane uchwyty, wąskie obręcze obejmujące lufę, płaskie zakrzywione podpory, karbowane blachy, rozszerzające się tuleje połyskiwały ciemnym blaskiem podobnym do lśnień pancerza owadów... Ciągnęła za sobą długą taśmę z nabojami. W zwornikach stalowych łusek obejmujących pociski tkwiły strzepy białych kwiatów aleute i wąskie ostre liście szkarłatnego tataraku... Śliskie łodygi podwodnego zieleńca echlis wczepione w rygle celownika wlokły się po ziemi jak włosy ociekające wodą...

Kiedy kobieta weszła w krąg światła, Joachim zacisnął powieki: zobaczył twarz pokrytą ciemnoróżowymi oparzelinami — tylko wąskie ciemne oczy lśniły pośród plamistych zgrubień i szram zalewających czoło, brwi, policzki...

Na brzuchu zsunął się w wodę. Bryzgi załaty mu oczy. Miał więc przed sobą tylko jedną drogę. Ruszył teraz strumieniem, od kamienia do kamienia, w dół, w stronę ujścia, krztusząc się pryskającymi w twarz kroplami.

W głowie pulsowała tylko jedna myśl: Horn... Co z Hornem... Woda popychała go, musiał rękami wpierać się w oślizłe głązy, które zagradzały drogę. Natrafiał na sterczące gałęzie, powykrecane korzenie, śliskie pnącza. Ominął wielki ukośny pień porośnięty świecącym mchem i długą żerdź wbitą w dno. Pod nogami zaplatały się kłęby nasączonego smołą sznura. Piana wzbierała na krawędzi rozbitej skrzynki. Kiedy zszedł niżej, zauważył, że nurt spowolniał. Strumień rozszerzał się tu i rozwidlał odsłaniając wydłużone mielizny, woda pogłębiła się, bryzgi pryskające w oczy ustąpiły oleistym zawirowaniom, na których opalizowało światło rzucane przez ogień. Kamieni wystających z wody było coraz mniej. Brzegi zbiegały łagodnie w stronę wody, były piaszczyste, bez traw i szuwarów. Światło ogniska pełgało po wygładzającej się powierzchni. Tafla rozlewiska była już blisko.

Tak, to był koniec...

Joachim oparł głowę na kamieniu i oddychał głęboko. Woda ściekała z włosów. Przetarł oczy. Zaraz oclenie się Horn... Zaraz podniesie wrzask... Rozbiegną się z oszczepami...

Czuł, jak woda płynie powolnym, sennym nurtem. Zastygł — nie wiedział, co robić dalej. Zaczęło go ogarniać dziwne, mroczne odrętwienie. Skurczył nogi jak zasypiające dziecko i przylgnął do kamienia — zaraz zaśnie, tu w tej kryjówce, w której nigdy go nikt nie znajdzie, zaśnie, znieruchomieje, zniknie... Nagle

otrząsnął się z napierającej senności: nie! teraz wyskoczy na brzeg i pogna środkiem łąki w stronę rozlewisk... na oczach wszystkich... czuci się w czarną wodę... i popłynie przed siebie rozbryzgując fontanny wody... w stronę zalanego lasu... Napiął mięśnie, przyczaił się do skoku...

Nie... To nie ma sensu. Zanim dobiegnie do wody, przesyją go oszczepem albo strzałą — bambusową drzazgą naciętą ukośnie, zielonym furkoczącym pierzem na końcu...

Pozostało więc jedno: zanurzyć się w wodę, płynąć pod powierzchnią, jak długo się da, i wynurzyć się już tam, daleko, wśród pni zalanego lasu...

Wspomnienie o kurarze sparaliżowało go.

Instynktownie obtarł usta. Choć woda w strumieniu napływała coraz to nowymi falami, przejrzysta i zimna, poczuł dziwny, mdlący smak na wargach. Więc nie zanurzać ust... wszystko, tylko nie zanurzać ust! Położył się na wodzie i ostrożnie z uniesionym podbródkiem, dopłynął do ostatniego głazu przed rozlewiskiem...

Był niedaleko nadbrzeżnych straży.

Jeszcze go nie zauważyli: skrył głowę za czarnym kształtem. Są blisko, o kilkanaście kroków, ale jeszcze nie widzą go, na razie patrzą w ogień... Widział wygięte plecy, lśniące ramiona, połyskliwe włosy. Długie pióro chwiało się na głowie łuczника. Teraz odpocząć, zebrać siły, odetchnąć... Jest jeszcze jakaś szansa, niewielka, prawie żadna, ale może się uda... Oparł dłonie na głazie — i oniemiał.

Kamień zanurzył się pod dotknięciem.

Dopiero teraz Joachim zauważył, że dotknął innej powierzchni niż dotąd: była bardziej szorstka, bez mchu i porostów, pełna podłużnych wypukłości i okrągłych zgrubień. Cofnął ręce — z uczuciem wstrętu i obawy. Kamień powoli wynurzył się. Był wydłużony, nierówny jak zmurszała kłoda zatopionego drzewa...

Kajman!

Ta myśl przeleciała jak błyskawica. A więc Horn się nie mylił! Są! Są tu! Joachim chciał rzucić się na oślep do ucieczki, ale w ostatniej chwili do świadomości doszło: przecież to się nie rusza! Jeszcze nie zbliżał się do bestii, jeszcze zachowywał ostrożność, ale czuł, że przestaje się bać tego nieruchomego powoli kołyszającego się kształtu... Ostrożnie wyciągnął rękę i znowu cofnął ją... Dotknął szorstkiej zrogowaciałej powierzchni — ale dotknięciu nie odpowiedział żaden ruch... Powłókł dłońią po grzbiecie: teraz dostrzegł okrągłe, wypukłe oczy wystające nad

wodę... Światło ogniska iskrzyło się w szklistych kulistych źrenicach żółtawym blaskiem...

To była szansa!... Gdyby zasłaniał się kłodą, wzbudziłoby to natychmiast podejrzenie... ale kajman? Cóż mogło być bardziej zwyczajnego niż kajmany w tej wodzie, w której roily się od stuleci. Przecież mogły tu znów wrócić. Ukrył głowę za wypukłością grzbietu, lewą ręką chwycił za przednie odnóże i ruszył w stronę ujścia.

Najpierw szedł czując pod stopami muliste dno, potem zaczął płynąć... Patrzył nad powierzchnią wody w stronę ogniska. Indianie siedzieli przy ogniu: zapach pieczonego mięsa araukarii, spalonego pierza, płonącego jałowca i tamaryszku mieszał się z duszącym tchnieniem bagna i suchych wrzosowisk. Młody wojownik, ze spadzistymi ramionami pochylił się głęboko i ostrzył na płaskim kamieniu bagnet. Indianie patrzyli w stronę zatopionego lasu na białą mgłę, wypełzającą spośród wyschniętych pni. Strumień nie interesował ich. Więc jeszcze nie widzą... Więc jeszcze nie widzą... Joachim uświadomił sobie, że musi się spieszyć, bo przecież Horn za chwilę wszystkich postawi na nogi. A może Horn — jest martwy?... Może nie trzeba uciekać tak panicznie? Nie, nie uderzył mocno... Horn na pewno żyje... Ale przecież mógł uderzyć głową o skalny występ... I wtedy...

Zbliżył się do granicy jaśniejszego światła Czerwonawe rozblaski kołysały się przed nim na wodzie. Jasny krąg rozjaśniał część rozlewiska. Jeśli teraz nie zauważą, ma szansę: skręci w prawo, tuż przy brzegu, ominie jasną przestrzeń, przepadnie w mroku... nie znajdą go nigdy... Martwy las, majaczący nad wodą w migotaniu ogniska, wydał mu się zbawieniem. Nic tam mu się nie może stać. Groza jest tu, tylko tu... Więc skręcić w prawo, w cień, poza światło... Dopłynął do miejsca, gdzie woda strumienia wsączała się w rozlewisko.

Pomyślał o Ines. Nie, to za daleka droga, może ugrzęznąć w przybrzeżnej roślinności, może zaplątać się w widłakach, łodygach eclis, liściach szkarłatnego tataraku... I wtedy wszystko na nic. Nie, popłynie środkiem!... Tylko to daje jakąś szansę... Trzeba szybko przeciąć jasny krąg i zniknąć... Trzeba to zrobić jak najszybciej... Zagarnął mocno wodę lewą dłonią i przyspieszył: kajman sunął teraz w stronę zatopionego lasu. Wpływał na oświetloną wodę, zostawiając za sobą długie smugi fal...

I wtedy właśnie zauważono go.

Wysoki Indianin odłożył parujący strzęp ptasiego mięsa, obtarł ręce liściem, wstał i powoli podszedł do ujścia. Chwilę patrzył

na płynący kształt, potem odwrócił się i powiedział coś do pozostałych... Młody odłożył bagnet, podszedł do wysokiego i razem patrzyli w wodę... Joachim poruszał nogami pod brzuchem gada, tak żeby nie rozległ się nawet najmniejszy plusk i żeby fale układały się za tułowiem w równe, ukośne smugi... Ale Indianie wyczuli coś: młody szybko wrócił po łuk i biegnąc z powrotem nakładał na cięciwę długą strzałę z rozszczepionym grotem... Krępy wyciągnął z ziemi trzy sterczące oszczepy i niósł je ostrzami w dół... Łucznik stanął tuż nad wodą, na piaszczystym wzniesieniu, szeroko rozstawił nogi i napiął cięciwę... Joachim skurczył się za swoją osłoną — strzała świsnęła w powietrzu, stuknęła w skórę gada i rykoszetem odskoczyła w bok...

Teraz podszedł do wody najwyższy z Indian. Wziął do ręki oszczep i ważył go w dłoni. Potem wygiął się do tyłu z wyprężoną ręką, zamierzył się i... znieruchomiał. Joachim usłyszał krzyk Horna. Indianin odwrócił głowę i spojrzał w głąb obozu, pozostali się ruszali się z miejsca patrząc w tę samą stronę.

Horn krzyczał nadal, więc pobiegli ku niemu — ale zawrócił ich i rozkazał, by biegli z powrotem na brzeg. Niósł w ręku swoją długą rusznicę i potykał się na kamieniach... Joachim zrozumiał, że wojownicy nie zdawali sobie sprawy z tego, do kogo strzelają — dopiero Horn uświadomił im, że to więzień ucieka przez rozlewiska.

Nad brzegiem błysnęło, huk przetoczył się nad czarną taflą, echo odbiło się od ścian pieczary i przepadło w gąszczu dżungli. Dziewięciomilimetrowy pocisk wystrzelony z gwintowanej rusznicy howarda przeszedł z prawej strony, na wysokości ramienia. Kula wirując ukośnie, rozcięła wodę, potem weszła w głąb ciągnąc za sobą smugę rozgrzanego powietrza... Bryzgi wzniesione przez podmuch prysnęły na Joachima...

Ale Joachim już się nie maskował. Płynął szybko, zagarniając wodę głębokimi mocnymi ruchami. Był coraz bliżej białych drzew, ale nie puszczał swojej ruchomej osłony. Wiedział, że widzą go, wiedział, że widzą ten czarny, podłużny kształt, za którym się ukrywa, ciągnący za sobą ciemną smugę fal... sunący powoli przez rozlewisko... Kiedy usłyszał drugi strzał, poczuł silne szarpnięcie: kula pacnęła w galaretowaty miąższ... Potem zapadła cisza. Czuł, że mierzą teraz do niego z łuków, że ważą w dłoniach oszczepy. Wiedział, co teraz nastąpi. Cisza przedłużała się, płynął dalej. Na brzegu naradzano się, Horn mówił coś podniesionym głosem.

I naraz zaświsnęły strzały. Ale to nie była jedna, trzy, pięć

strzał... To deszcz strzał posypał się z nieba. Z przerażeniem dostrzegł, że spadają z góry, pionowo z góry! Więc na nic podstęp, na nic osłona! Indianie strzelali ponad rozlewiskiem — strzały wznosiły się wysoko i opadały siłą bezwładu... Woda zagotowała się. Wielkie bąble jak na kałużach podczas ulewy zabulgotały wokół kajmana. Długi oszczep z huczącym świstem przeciął powietrze... Drzewce z pękiem piór otarło się o ramię... Joachim uchylił głowę, ale wiedział, że jest odsłoniętym celem i że następna chmura bambusowych ostrzy nie chybi. Dopiero w ostatniej chwili zrozumiał, jak powinien się bronić: błyskawicznie wsunął się pod martwe cielsko. Woda zalała usta. Krztusił się wypływając mulistą wilgoć i czuł jak kajman nad nim dygoce od uderzeń. Ale płynął dalej, nie zatrzymywał się, na osłep zagarniał ramionami wodę. Nabierał sił czując, że wydostaje się z kręgu światła, że za chwilę zniknie w mglistym mroku. Był coraz bliżej lasu. Długa, ciężka strzała z miedzianym ostrzem odskoczyła od gądziego grzbietu. Krople trysnęły w górę. Cienkie bambusowe ostrza wydmuchiwane z drewnianych rur przelatywały z ostrym gwizdem. Jeszcze tylko kilka ruchów ręką, jeszcze tylko kilka ruchów... Nareszcie! Wpłynął między pierwsze drzewa. Strzały zaszurgotały w suchych gałęziach. Wiedział, że powinien teraz kluczyć — muszą stracić orientację, muszą strzelać nie tam, gdzie będzie! Skręcił w prawo. Poczuł, jak nogi ocierają się o splot łądyg wijących się pod wodą. Wyminął wielki biały pień z odłamaną koroną podobną do odciętej dłoni. Chmura bambusowych drzazg spadła za nim, gdzieś z boku: tam właśnie rozległ się szelest potrąconych gałęzi...

Wpłynął pod wielki gruby konar pochylony nad samą wodą. Mógł teraz chwilę odpocząć. Wiedział, że tu już go nie osiągną: przypomniał sobie, jak, Horn spychał Indian do wody, żeby płynęli za zbiegiem z nożami w rękę, ale oni ociągali się. Widać nie do końca wierzyli w kajmana — martwego... Miał teraz obok siebie tą ociążałą nieruchomą bestię. Przesunął dłonią po grzbiecie — w kilku miejscach sterczały głęboko wbite bambusowe brzeszczoty... W nasadzie głowy, poniżej podłużnego zgrubienia, tkwił ciężki oszczep... Z ran sączyła się śliska galaretowata maź... Spojrzał w ciemność usiłując rozpoznać zamglone kształty. Czuł, że znowu traci siły.

I wtedy usłyszał dziwny dźwięk. Nad rozlewiskiem przetoczył się przeciągły, urywany huk podobny do dźwięku żelaznej kuli pędzącej po dnie brukowanego tunelu. Gdzieś, między drzewami, przeleciały wydłużone, jaskrawożółte, oslepiające rozbłyśki i zni-

kły z sykiem w głębi mokradeł. Cofnął się za pień bagiennego drzewa, przywarł do skamieniałej kory, zmrużył oczy i obserwował las. Znowu zapadła ciemność i białawe kontury drzew słabo majaczyły nad czarną wodą. Wychylił się zza osłony: patrzył w stronę obozowiska. Ale nie dobiegał stamtąd żaden odgłos. Ciemność była nieruchoma. Czuł jakiś niejasny niepokój, wiedział, że powinien ruszyć dalej, że nie powinien zostawać tu ani przez chwilę. Jedyną szansą była ucieczka, jak najszybsza ucieczka, ale coś przykuło go do miejsca. Nie mógł się ruszyć. Powoli wynurzył się z wody i w rosnącym napięciu patrzył w mrok. Cisza. Ani drgnienia. Ale wiedział, że coś się tam czai, coś niezrozumiałego, groźnego, co nie pozostawia żadnych szans obrony. Patrzył w gęstą ciemność w prześwitach między majającymi pniami i czuł, jak ogarnia go nieznany strach...

Wtedy znowu usłyszał przetaczające się nad wodą gruchotanie znowu zobaczył oślepiające rozbłyski. Ale nie zobaczył ich już bok, gdzieś w gęstwinie — lecz na wprost przed sobą! W ciemności, tuż nad czarną, nieruchomą powierzchnią pojawiły się światła drobne jak iskry. Obniżały się i wznosiły... i nagle zaczęły błyskawicznie rosnąć! Cofnął się: szły prosto na niego. Nie mógł oderwać oczu. Ostatkiem woli ukrył się za drzewem — i wtedy usłyszał przeraźliwy trzask miazdżonych gałęzi. Strzępy suchego drzewa posypały się we wszystkich kierunkach. Woda zakotłowała się, muliste bryzgi wzniosły się wysoko w górę jak czarnie wężowate stwory i chlusnęły mu w twarz...

Nad rozlewiskiem przetoczyło się echo rozdzierającego krzyku kobiety...

Potem huczące smugi przesunęły się w prawo. Lekko wzniosły się... Nawisłe pnącza wyschłego bluszczu zerwały się z pochyłych konarów przecięte jaskrawym błyskiem... Czarne okrągłe gniazda rozerwały się w strzępy... Smugi przelatowały nisko nad wodą, oddalały się, z sykiem ginęły w wilgotnej mgle...

Odetchnął. Widział, jak ciemność wchłonęła rozbłyskujące światła, przyszarzyła je i wreszcie wygasiała. Ale już za moment znowu usłyszał trzask pękających konarów, obrywających się łodyg, odłamywanych gałęzi z kulistymi plamami gniazd spadających w wodę... Dostrzegł, że światła znowu nabierają jaskrawej barwy, znowu zbliżają się, znowu suną w jego stronę świszcząc wśród poharatanych pni... Zbliżały się, rosły, były już coraz bliżej...

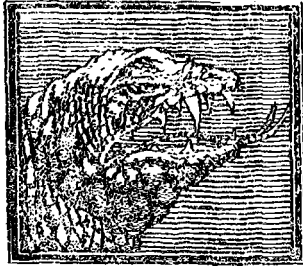
Nagie pień zatrząsł się. Sypnęły iskry. Joachim zapadł głęboko w wodę i zastygł w bezruchu. Białosine płomyki rozbiegły się po

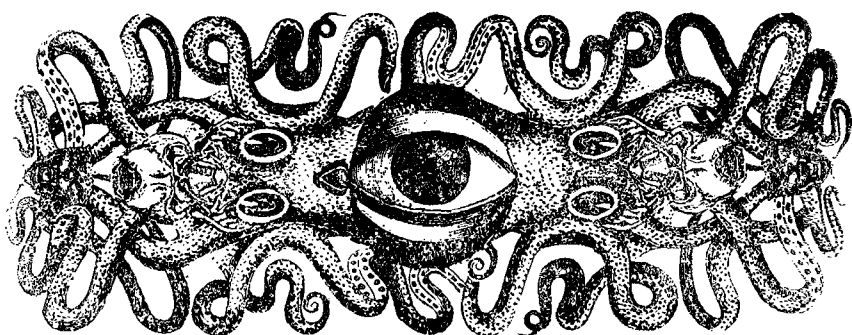
konarach drzewa jak świecące owady...

Potem nastąpiła cisza.

Nasłuchiwał. Płomienie bezgłośnie pełzły nad jego głową, przeskakiwały z gałązki na gałązkę, owijały pień, sunęły wzdłuż konarów. Powoli odsunął od siebie martwe, poranione zwierzę. Zakołysało się ciężko i zanurzyło pod powierzchnię, po czym wypłynęło, znowu kołysząc powoli czarnymi brzeszczotami. Ostrożnie położył się na wodzie. Odbił się od mulistego dna i popłynął w głąb lasu. Spojrzał za siebie. Trafione drzewo zmieniło się w huczącą chmurę ognia. Wpłynął w mglisty mrok rozlewiska.

Wiedział, że dla Horna jest już martwy.





NOC NA BAGNACH

Woda

była nieruchoma i czarna. Joachim dostrzegł gwiazdy prześwitujące wysoko między konarami — ale ich odbicie nie pojawiło się w dole. Gładka powierzchnia, którą miał przed sobą, przypominała głuche, zastygłe lustro, Brnął teraz od pnia do pnia. Nogi wchodziły głęboko w gęstą, stojącą, ciemną maź. Zdradliwe kępy sieniei trawy, na których szukał oparcia, znikwały nagle pod stopą. Zmurszałe kłody, w których świeciło zielonawe próchno, zagradzające drogę, rozłaziły się w rękach jak miękkie mięszo chorych kości. Kilka razy Joachim drapał się po piersi — tylko instynktowne sięgnięcie w górę, po zwijającą nad głową kiść martwego bluszczu, uratowało mu życie, Podciągał się wtedy mozolnie na skrzypiącej płataninie suchych pnączy — i wydostawał z wysysającej topieli.

Od wody szedł zapach zgnilizny i rozkładającego się mięsa. Bagno parowało: kwaśny, mdlący opar sączył się z miejsc, w których wielkie wypukłe bąble wychodziły z sykiem na powierzchnię. Długie smugi gęstego błota wiły się wśród drzew. Czarne malabary kwitły w szczelinach powalonych pni. Ich miękkie, wywiniete płatki wyglądały jak rozchylone skrzydła motyli verales, które w jasnym świetle księżycy podobne są do

ruchomych płazów odsłoniętych mięśni zwierząt ofiarnych obdzieranych ze skóry przed całopaleniem. Nigdzie nie było owadów: nawet najmniejszy szelest przezroczystych skrzydeł jadowitej wazki mequis, którą Joachim widział na rozlewiskach Coronte, nawet najcichsze brzęczenie bagiennych chrząszczy albo nie naruszało ciszy mokradeł.

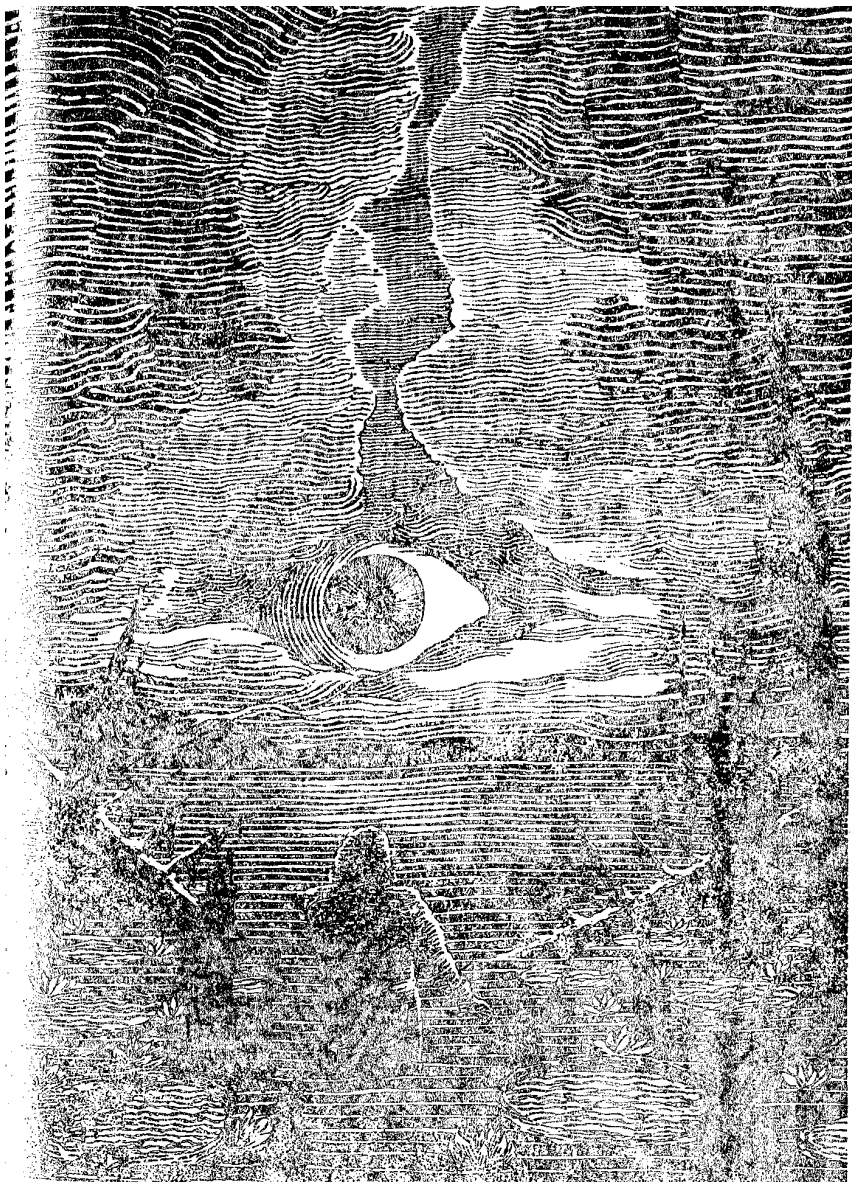
Tylko bagno oddychało: dziwne tchnienia przelatywały nad zastygającą topielą... Joachim miał wrażenie, że gdzieś w dole, w mulistej ciemności, powoli, ożywa miękki falisty ruch wielkich ust, które żyją w głębi czarnego rozlewiska i rozchylają się, kiedy zanurza stopę w wodzie... Ten świat księżycowej martwoty krył w sobie jakieś nieznanne, drżące życie, które nie potrzebowało krwi - żyło tylko oddechem, wypuszczając i wchłaniając własne wyziewy... Nad wodą snuły się siarkowe dymy, ciężkie, w półprzezroczyste --- jak wydłużone larwy motyli akme, pełzające po łodygach martwej orchidei...

Z głębi nocy wyleciały śnieżnobiałe synogarlice i bezszelestnie rozplynęły się w mroku... Joachim dotknął czoła: miało ciepłotę wody, granica między zanurzoną dłonią a miękką wilgocią rzęsy wodnej, pokrywającej wąskie przejście między pochylonymi szepionymi ze sobą drzewami, przestała istnieć. Na skórze czuł tylko opór wody podobny do oporu zgęszczonego powietrza... Nogi wchodziły miękko w grząski miąższ, po czym bagno wypychało je na wierzch, tak jakby czarna, gąbczasta chmura, drzemiąca pod wodą, budziła się nagle i wzbierała, rosła, puchła niczym żywa magma bez szkieletu, która zmienia kształty broniąc się przed dotknięciem żywego ciała... Śmierć, która tu wyciszyła wszystkie hałaśliwe przejawy trwania, wywoływała z niebytu muliste obrzmienia ciemności, które nie znały swoich przeznaczeń i rosły w górę energią własnej, rozrastającej się martwoty...

Wszystko było nieruchome. Drzewa bieleły na tle nocy. Kolczaste zwoje zwieszające się z konarów trwały nieporuszone nad zastygłym błotem... Nawet mgły osiągnęły zdumiewającą nieruchomość: snuły się, drgały, a jednak Joachim widząc to mrowienie powietrza widział równocześnie ich absolutny bezruch. Ten bezruch osiągnął jakąś granicę, gwałtowną, spazmatyczną ostateczność i stawał się dziwnym niezrozumiałym ruchem, podskórnym drżeniem...

Joachim oparł głowę o pień i zamknął oczy: czuł za plecami niesamowite krążenie bagna... tak jakby przezroczysta ściana otaczała go, nie zamykając równocześnie przestrzeni... Przełknął ślinę — gardło było zaciśnięte, wszystkie mięśnie zeszytywniały.

Ogarniało go dziwne bolesne odrętwienie, które rodziło się gdzieś na dnie oczu. Zaciśnął powieki — i poczuł przejmujący ból... Bagno powoli wznosiło się... Wybrzuszało jak wielka, czarna oceaniczna fala, którą wywołał podziemny wstrząs — jeszcze nie jest widoczna, jeszcze trwa w ukryciu, jeszcze jest tylko niewidzialnym zgęszczeniem, larwą oceanu, która rozkwita powoli, ocię-



zale, ale już ma w sobie mroczną siłę, już nabrzmiewa... puchnie... podpywa spod delikatną skórę morza... za chwilę wzniesie się rozrywając napięty naskórek wody... Zobaczył, jak drzewa po-

chyliły się... Dym siarczany począł wiać we wszystkich kierunkach... żółtawe smugi przemykały wśród pni jak płowe szczury uciekające panicznie przed powodzią... Woda cofnęła się... i spod powierzchni wynurzyła się ociekająca, wielka, śliska głowa wewnętrznej fali, która nie była już wodą, lecz ciemnym połyskliwym powietrzem ukrytym w głębi rozlewisk, które wydostawało się teraz bezgłośnie na wierzch czarnej topieli...

Noc zwęziła się nad drzewami w pochyły tunel — niebo obsunęło się na gałęzie drzew i czarną wargą pożerało cienie. Objął głowę rękami — widział, że tunel żyje. Ściany zakrzywiły się, objęły przestrzeń... Pulsowały ledwie wyczuwalnym rytmem, zbliżały się do siebie i gwałtownie odskakiwały jak sparzone ogniem... To była żywa tętnica nieba, wąski kanał, w którego wnętrzu był tylko on, tylko on, nikt więcej...

Ciemność wessała. go. Pełznął teraz ku śliskiej lunecie pochylonej w dół, ku oddalonemu światłu. Tunel przyczaił się, przez chwilę był spokojny, wygładził lśniące różowawe ściany, potem nagle zakrzuszył się jak tchawica, w której utkwilo obce ciało... Skurcz śliskich obrzmień zwarł się wokół piersi: Joachim stracił oddech, zastygł z rozwartymi ustami, w które nie zdążył chwycić powietrza... Zmagał się z napierającą martwością, która ujęła go w kleszcze... Starał się rozewrzeć uścisk... Potem uścisk rozplynał się... Światło zajaśniało w głębi... Białe wirujące owady podobne do wirujących drzazg zamigotały przed oczami... Schodził coraz niżej...

Nagle światło na dnie tunelu rozlało się jak płonąca nafta. Płomienie ruszyły w jego stronę. Ogarnęły ściany i nerwowo sunęły w górę, ku twarzy... Był w pułapce: poczuł, że kleiste ściany zacisnęły się za plecami, nie mógł cofnąć się... A ogień podchodził coraz bliżej, wypełniał całą przestrzeń tunelu, sunął bezgłośnie jaskrawą obręczą! Zaraz białe języki dotkną skóry! Zasłonił twarz. Zaraz wczepią się we włosy! Płomienie wiły się jak sploty mątwy, która pełzła śliskim korytarzem wydzielając duszącą woń. Czarnzielone oko kołysało się w fosforyzującym, rozedrganym miąższu, który wstrętnymi skurczami wspinał się, rósł, stawał się coraz większy... zbliżał się...

Joachim instynktownie sięgnął po nóż. Zacisnął palce na rękojeści — i z całej siły ciął w ruchomą źrenicę. Nóż przeciął powietrze. Płomienie otoczyły rękę. Patrzył zdumiony: białe języki bezboleśnie wbijały się w wyciągniętą dłoń, przebijały ją na wylot i śliskim ruchem wysuwały się z ran — niczym giętkie, wijące się glisty. Na skórze, w miejscach ukąszeń otworzyły się

bladosine stygmaty rozchylone jak usta, ale krew nie wypływała z nich... Za moment zwierają się nie pozostawiając po sobie śladu...

Ciemna źrenica kołysała się tuż przed samą twarzą niczym zielonawa szklista kula ociekająca śluzem. Patrzył w jej czarny środek. Na dnie zobaczył półkolisty, ceglany kanał, biegnący w dół niczym cembrowina studni. Łukowate ściany wygięły się i ogarnęły go... Schylił się pod ukośnym sklepieniem. Lśniące nacieki połyskiwały na osmalonych ceglach. Zardzewiałe klamry porośnięte ziarnami soli czerniały w ocienionych niszach. W pęknięciach muru plenila się biaława pleśń. Brodził teraz w gęstej, czarnej brei... Na schylonych ścianach widział napisy rysowane kredą — jakieś imiona, nieznane daty, zatarte hasła i znaki... Rozerwane kable zwisały spod sklepienia... Schylał głowę pod kiściami blaszanek uwiązanych na drucie kolczastym — potrącając, lekko uderzały o siebie błyskając w ciemności... Daleko przed sobą, w mglistej poświacie, zobaczył wydłużony kształt, płynący wolno w jego stronę... Zatrzymał się: czuł powolne przesuwanie się grząskiej masy, która niosła żelazne hełmy ze skórzaną podpinką, aluminiowe miski z wybitym numerem, nadpalone płachty transparentów, kawałki celuloidowych lalek, kłęby zielonych siatek ochronnych splątane z gnijącymi wodorostami, rozbite skrzynki, zwęglone kości, zwierząt... Na sklepieniu pojawiły się ruchome słoneczne odbłaski...

Puszyl dalej rozgarniając nogami gęstą wilgoć. Nagle, tuż przed sobą, w czarnej wodzie, zobaczył nagą dłoń i jasny przegub opleciony delikatnymi, niebieskawymi żyłami... Potem dostrzegł srebrne naszyca mu udaru, trójkątne chorągiewki na kołnierzu, mosiężne guziki z wypukłym obrazem ptaka oblepione szlamem, wysokie buty... Wreszcie z cienia wypłynęła zastygła gipsowa maska starca... Człowiek leżał na wznak z szeroko rozwartymi oczami. Na piersiach zaciskał stalową szablę z wizerunkiem kobiety i dziecka. Migoczące światła kołysały się w martwym szklwym źrenic... Woda niosła go powoli wśród gałązek czarnego głogu i lśniących ciemnoczerwonych kwiatów, które miały kształt ukośnych ran i zapach przezroczyстых płomieni... Ściany zmarszczyły się jak poparzona skóra na ramionach dziecka... Powietrze pociemniało... Nad wodą przepłynął bolesny dreszcz... Cieniutki dźwięk podobny do brzęku zranionego szkła utonął w niszach... Na powierzchnię wypłynęły okrągłe, świecące ziarna oddechu... W ciemności rozsunała się czarna szczelina...

Joachim cofnął się przerażony. Umarły starzec wolno

przepłynął tuż obok niego. Za nim woda niosła kartki pokryte maszynowym pismem, martwe łodźki widłaków, pożółkłe dokumenty z trójkątnym stemplem więzienia, czarne fotografie wozów pancernych blokujących ulice miasta, strzępy map, wilgotne kwiaty błękitnego grzybienia, płachty obwieszceń z wielkimi nadrukami... Wielka kolorowa piłka powoli obracała się na powierzchni...

Wślizgnął się w ciemność. Z kamiennym nożem w ręku szedł teraz w stronę jasnego zgęszczenia mgły, która napływała z głębi.

Była jak płowy brzuch — nawisły, nabrzmiały, pokryty sinawymi żyłami... Wysuwała się spomiędzy zwężonych ścian czarnej cembrowiny — owalna, ciężka, pełznąca powoli, pokonująca z wysiłkiem niewidoczny opór powietrza. A jednak czuł, że ten ociążały kształt, wzbierający przed nim, kryje w sobie jakąś męczącą, bolesną tajemnicę... Szedł wpatrzony w sunącą ku niemu masę — ale spojrzenie załamało się w szklanej kolumnie anamorfozy powietrza i wyłowiło z płynnej przezroczystości tylko łudzącą gęstość obłoku. Białawy opar opleciony pulsującym żyłkowaniem sunął uparcie, wzbierał, nabrzmiwał jak gąbczaste, pożyłkowane ciało wielkiego świecącego liścia. Naraz znieruchomiał, jakby uwiązł w ciasnym przesmyku. Ściany pociły się. Woda spływała cieniutkimi strumykami po ceglach. Kleiste krople odrywały się od sklepienia i spadały bezgłośnie. Czarna maź opływająca kolana dymiała.

I wtedy Joachim zobaczył, że pulsujące rozgałęzienia tętnic oddzielają się od podłoża... Ruszyły po omacku, przed siebie, w jego stronę, zostawiając za sobą mglistą, nabrzmiąłą wypukłość. Kroczyły wzdłuż ścian niczym długie, cienkie odnóża wielkich pajaków, gubiąc po drodze błoniaste strzępy gazy, które odrywały się od giętkich przegubów i opadały bezszelestnie w wodę. Poczul, że przechodzą nad nim. Podniósł głowę i patrzył na lśniące rozwidlenia, które -- sztywno, z wysiłkiem, szukając wąskimi końcami oparcia w szczelinach muru — przesuwwały się pod sklepieniem niczym wielkie czerwone drzewo nerwów, wyjęte z atlasu anatomicznego Hogeiusa van Imiels...

Zatrzymał się i one się zatrzymały. Patrzył na żywą sieć, która otoczyła go ze wszystkich stron. Była nieruchoma, śliska, wczepiona wąskimi końcami w pęknięcia muru. Po zeszywniałych pnączach przebiegały fale drobnego drżenia, przepływając gdzieś w górę, w stronę połyskliwego gniazda purpurowosinej czerwieni... Coś poruszyło się. Teraz dostrzegł, że jedna z wilgotnych lśniących nitek oderwała się od ceglanego podłoża i zaczęła powoli

sunąć spod sklepienia w dół, ku jego twarzy. Wiła się miękkimi skrętami delikatnie dotykając wokół siebie powietrze. Zatrzymała się na wysokości oczu — i wąziutkim różowym końcem zbliżyła się do rzęs... Potem drgnęła i ostrożnie obniżyła się... Skamieniały śledził jej poruszenia: szła uważnie wzdłuż policzka, zsunęła się wzdłuż szyi, wolniutko skręciła w stronę ramienia i końcem dotknęła skóry na odsłoniętym obojczyku...

Poczuła ciepło ciała — i odskoczyła jak oparzona. Ale Joachim wyczuł, że przez czerwony połyskujący śluzem splot, wiszący nad nim, przeszedł dreszcz. Kilka odnóży skurczyło się, wyostrzyło ku niemu robakowate zakończenia — jak żądła... Błyskawicznie uchylił się i uskoczył w bok. Nie zdążył: na plecach poczuł bolesne smagnięcie... Potem coś galaretowatego oberwało się spod sklepienia, plusnęło i zakotłowało w mulistej wodzie...

Biegł przed siebie jak oszalały. Całą siłą wdarł się w nadpływający miąższ unerwionego powietrza... Poczul, że mgła pruje się pod naciskiem piersi jak błoniasta pajęczyna. Biegnąc rozpruwał ciężkie, gąbczaste zasłony, które mnożyły się przed nim i zrastały błyskawicznie za plecami — zimne jak płyty lodowatej tkanki nieznanych roślin... Przez mlecznobiałą żywą ścianę widział przed sobą mgliste światło... Rozdzierał duszącą wilgoć, która oblepiała mu twarz... Czul wilgotne strzępy na rzęsach i wargach... Biegł w stronę rosnącego blasku...

Przebił się na drugą stronę. Upadł. Runął w kłębowisko łądyg. Czarne kropło rosy stoczyły się po skórze jak kulisie ziarna rtęci. Rośliny oplątały go. Wczepiły się w ramiona. Rozsuwał martwo pasma sinego bluszczu. Podnosił się powoli. Mrużył oczy. Śnieżny blask rozproszony w ciemnym powietrzu oślepił go. Ujrzał przed sobą białe kamienne płyty, piętrzące się jak stopnie wielkich schodów o ostrych krawędziach. Wyciągnął rękę, by wspiąć się na pierwszy — i zamarł z przerażenia. Tuż, przed oczami, na migoczącej powierzchni białego piaskowca zobaczył ruchomy, kurczący się, rozwidlony kształt... Oddychał powoli, by uspokoić kłujący ból w piersiach. Dopiero, kiedy poruszył palcami, zrozumiał, że to jego ręka — czarna, oblepiona szlamem — leży przed nim na kamiennej powierzchni i kurczliwymi ruchami palców szuka oparcia... Wspiął się na następny blok. Czerwone chrząszcze z zakrzywionym żądłem na szklistym odwłoku rozbiegły się pod stopą i znikły w wąskich pęknięciach... Wstępował coraz wyżej, z wysiłkiem podnosił ociążałe stopy, wślizgiwał się na odłamane gzymsy... Zobaczył posąg dziecka z płomiennym sztyletem, który wypłynął z ciemności... potem posąg kobiety

niosącej w wielkim koszu owoce core... Zburzone balustrady, obwieszane splotami miedzianych zmij, pojawiły się po obu stronach... Schody nie chciały się skończyć — było ich coraz więcej, wysuwały się z masywu, wypełzały z gąszczu spalonych bluszczu... pochylone... wygięte...

Naraz zatrzymał się z ręką uniesioną nad następnym stopniem. Pod dłonią, na białej, płaskiej powierzchni kamiennego bloku, zobaczył lśniąca ciemnoczerwoną plamę. Zbliżył oczy: plama rozszerzała się, wzbierała, podpyływała do krawędzi... Nie mógł odebrać wzroku: połyskliwej czerwieni było coraz więcej, rosła, podnosiła się, nabrzmiewała... Dopłynęła do samego brzegu płyty — wypukła, ciężka... Trwała tak rosnąc, wypuklając... Wreszcie pękła — i krople stoczyły się po kamieniu jak ruchliwe robactwo... Za nimi popłynęły następne. Wąskie strumyki rozwidlały się, szukały zagłębienia, znikwały nagle wsysane przez rozchylone szczeliny...

Teraz zobaczył kawałki czarnego drzewa i wąskie drzazgi pokruszonego srebra. Na stopniu leżały przełamane tuleje długich fletów, wydłużone, konchowate główce czarnych piszczałek, rzeźbione ustniki trąbek z drzewa hereo... Biała wstążka podobna do falistego bandaża spłynęła w dół i osiadła na pnączach wysuwających się z pękniętej ściany... Jej koniec dotknął czerwonej wilgoci — czerwień ruszyła w górę wchłaniana przez przejrzystość gazy jak ciemny płomień...

Światło zmieniło barwę. Powietrze wygładziło obrzeża skał i opływało łagodnie poszarpano pnącza. Joachim patrzył w rozmigotaną jasność, Otaczało go mrowie płomieni. Czerwone pochodnie falowały w chłodnych powiewach idących spod ziemi. Przezroczyście smugi dymu, wypływające z żaru, wsiąkały w miękką ciemność. Zapach palonej żywicy, wilgotnych liści miłorzębu i butwiejących skrzypów snuł się w powietrzu. Po obu stronach schodów stali ludzie w czarnych chito... Kobiety trzymały w rękach gałązki głogu i gorzkiego ziela aleute, czoła miały obwiązane czerwonymi rzemykami... Kolce z czarnego żelaza tkwiły we włosach... Mężczyźni trzymali wielkie mleczne muszle prześwietlone różowym blaskiem, ukryte w płatach jaszczurczej skóry. Złote wizerunki dziecka połyskiwały na brązowych ramionach. Wyżej stali ludzie z długimi ościeniami i starcy w hełmach z poczerniałej blachy. Na ciemnych napierśnikach majaczył rysunek głowy bez oczu... Wysoko, nad ogniami, przelatywały białe rozbłyski, podobne do wąskich ran tak, jakby powietrze krwawiło niewidzialną krwią i łączyło się z krwią krążącą w ciałach wojowników,

dzieci, starych kobiet, dziewcząt i ludzi z pejcami, którzy ukrywali swoje twarze za przyłbicami z ciemnego szkła. W górze, na czarnej tafli nocy, pojawiły się przeloty skaleczonych dłoni, odbicia oczu, które natychmiast zmywał z powietrza kołyszący się powoli wachlarz chłopca w ukośnej koronie z czarnego srebra. Joachim ujrzał nad sobą żywe gniazdo powietrza, szkliste serce ciemności, które pulsowało w ciszy, tłocząc czarną krew w stygnące żyły nieba... A między zastygłymi w bezruchu ciałami krążyło echo uderzeń — rosnące... coraz silniejsze... tak jakby powietrze ugięło się pod naciskiem oddechów i wzbierało na powrót przezrzystą falą, która dotykała odsłoniętych twarzy, ramion i przegubów dłoni z wypukłą tętnicą...

Wszyscy patrzyli w górę, na szczyt schodów. Joachim ujrzał ciemny błysk: przełamany flet z czarnego drzewa spadł i rozsypał się po stopniach... Kawałki srebra potoczyły się po spękanych gładziach jak ciemne korale. Czterech mężczyzn w maskach ze złota wynurzyło się z cienia, niosąc chłopca, który grał na flecie. Prze nikliwy, ostry dźwięk narastał, oddalał się i powracał, wznosił się coraz wyżej, trwał w mrocznym uniesieniu, niedostrzegalnie zmieniając barwę powietrza wokół płomieni... Cienie pogłębiły się odsłaniając delikatne żyłkowanie na skroniach dziecka. Wspinali się coraz wyżej, schylając głowy pod płataniną cierni i kiści czarnego bluszczu. Ciężkie obręcze brzękały na przegubach. Białe pióra synogarlic wetknięte we włosy zaczepiały o ciemnoczerwone pnącza dzbaneczników, ocierały się o unerwione liście miłorzębu, ugięły się pod wachlarzowatymi gałązkami tui... Czarne paprocie rozsuwały się pod nogami... Ciemność nabierała głębszej barwy... Wielkie brązowe konie błyskały krwawymi białkami... Kapłani przykładali do ich szyi noże z zakrzywioną klingą i wygiętym kciukiem wymacywali pod skórą grubą, drżącą tętnicę...

Chłopiec zamykał oczy i delikatnie przebiegał palcami po otworach instrumentu. Miał ścięte włosy — czarne pasma leżały rozrzucone na kamiennych płytach wśród okruchów srebra i białych larw. Przezroczyste jaszczurki przebiegły po spalonym drzewie i znikły w otwartych ustach ciemności... Człowiek z poparzoną twarzą wsunął obsydianowy nóż w szczelinę zrosniętych muszli i rozłamał białoróżowe wnętrza... Trzymał przed sobą śliską ranę rozerwanego perłopława... Kobieta wsunęła palce w zimny miąższ pokryty śluzem i wyrwała ze środka białą iryzującą kulę... Twarze w maskach pochylały się nad chłopcem: złożono go na płaskim bloku granitu... Światło wyostrzyło kontury ramion. Chłopiec przełamał instrument i rzucił szczątki w dół. Spadały, odbijając

się od głązów, znikając w szczelinach... Leżał na wznak z szeroko otwartymi oczami... Był nagi... Odslonięta pierś wznosiła się konwulsyjnie. Mężczyźni rozkrzyżowali jego ramiona. Chwycili mocno za przeguby... Dwóch przytrzymało stopy... Z mroki? Wynurzył się człowiek w połyskującej masce... Szedł powoli. W wyciągniętych, przed siebie rękach trzymał ciemny wydłużony kształt... Zbliżył się do kamienia... Chłopiec miał usta otwarte... Łapał suche powietrze gwałtownymi haustami... Oczy zaszyły mu mgłą... Mężczyźni rozciągnęli jego ręce... zaparli się nogami... Naga poły- skująca w blaskach ognia pierś dziecka wygięła się w łuk... Chłopiec zobaczył nad sobą wielką złotą jaszczurczą głowę... Odwrócił twarz i zacisnął usta... Wstrzymał oddech...

Wtedy wyprężone, uniesione wysoko ręce człowieka w masce spadły gwałtownie. Rozległ się głuchy śliski trzask... Nóż wszedł głęboko. Był ostry jak liść trawy. Przyciśnięte nogi drgnęły. Chłopiec chciał podciągnąć kolana pod brodę, ale mężczyźni trzymali mocno... Na ich wyprężonych ramionach nabrzmiały żyły... stopy wspierały się w kamienną gładź... Chłopiec wykręcał głowę łapiąc rozwartymi ustami powietrze... Pod wółprzymkniętymi powiekami pojawiły się wywrócone białka... Ściągną na szyi drzały... Drobne, ziarniste kropelki potu wypłynęły na skroniach. W kącikach ust zabłysła ciemna kleista czerwień. Człowiek w masce pochylił się i poruszył obsydianową rękonością... Chłopiec drżał... Jego oddech nie przypominał już oddechu człowieka... był chrapliwy... Z ust pryskała różowa ślina... Człowiek w masce zanurzył rękę w ciele dziecka i gwałtownie szarpnął... W czarnych dłoniach pojawił się obły purpurowosiny kształt... Człowiek powoli unióś go wysoko nad głowę... Chłopiec był nieruchomy — tylko ledwie dostrzegalne drżenia przebiegały jego rozwartą dłoń, która zwisała z krawędzi kamienia... Obok bezwładnych palców spływała po białej iskrzącej się powierzchni głązu lśniąca czerwień...

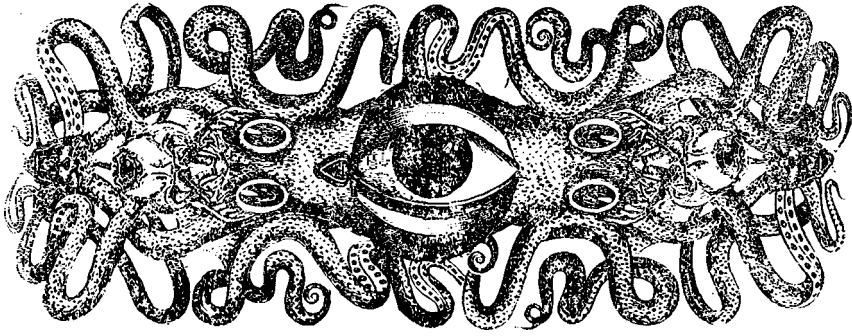
Powietrze falowało nad pochodniami. Czarne ómy wpadały w ogień i zmieniały się w wirujące płomienie... Rośliny odrętwiały — podobne do wielkich szklistych pajęczyn ściętych mrozem... Na skałach wypłynęły białe krople... Ciemny dreszcz przepłynął listowiem i zwinął się w przezroczystą smugę zimna, którą wessały szczeliny nieba... Nie było już dźwięków. Cisza stawała się widzialna. Zamykała w stygnącym bursztynie powietrza nieruchome płomienie, ludzi, poskręcane pnącza, ostre krawędzie skał, wzbierające balustrady, otwarte ciała posągów... Nie było już oddechów. Wszystko znieruchomiało. Wydawało się, że ziarno

nocy — kuliste i pełne cieni — jak podwodne słońce wypływa aa czarną powierzchnię nieba i stacza się po kamiennych stopniach wznosząc wysoko niewidzialne rozbryzgi powietrza... Gdzieś w górze zakolysała się ciemność... Białe gołębie leżały martwe pod stopami kobiety trzymającej śliską perłę... Rubinowe oczy zachodziły bielmem... Żółty dziób rozwarł się i zastygł...

Nagle złote maski pojawiły się wokół Joachima. W czarnych otworach nie świeciły źrenice, tak jakby pod metalem była pustka. Złoto nosiło ślady uderzeń. Było poczerniałe od ognia. W żelaznych hełmach żarzyły się głębokie pęknięcia. Skrzydlate znaki zatknięte na drągach wylonily się z dymu zmieszanego z mgłą. Rzeka pochodni ruszyła w górę. Czarne mundury z czerwonymi paskami na rękawie otoczyły go. Zabłyły półkoliste blachy na piersiach... srebrne naszyčia na kołnierzach... skórzane ładownice... gwiazdziste emblematy na czapkach... Głębokie cienie pod błyszczącymi daszkami zbliżyły się... Zobaczył w czyichś lękach gumowy pejcz... bat skręcony z kabli... bicz spleciony z miedzianych drutów... lśniący topór... wąski, trójkątny sztylet... czarny nóż... ząbkowany bagnet... żelazne szczypce... cierniowy wieniec... młoty... długie gwoździe... włócznie... W górze kołysały się chorągwie, tarcze z wizerunkiem słońca, wielkie tablice z czarnymi twarzami. Widział purpurowe płaszcze, pióropusze, futrzane czapy, długie, czarne szaty, gumowe maski z okrągłymi, szklami... bryczesy... czerwone skórzane sandały... przyłbice ze szkła... czarne kepi... kaptury... długie piki...

Poczuł, że czyjeś ręce ujmują go za ramiona. Ktoś szarpnął koszulę i rozerwał ją na piersiach... Pchnięto go do przodu... Tłum rozsuwał się powoli... Maski zaglądały do oczu... Otworzyło się wąskie przejście... Czyjeś palce wpiły się w ramiona... wleczono go gdzieś... potykał się... upadał... podnoszono go... wleczono dalej... kamienne płyty wiodły w górę... Tłum stał nieruchomo po obu stronach... czarny... Teraz Joachim zobaczył przed sobą wielką ścianę i prostokątny otwór... Zatrzymano się... Słyszał swój oddech w zupełnej ciszy... Stał przed wejściem...

W ciemności poruszyło się coś... Ze środka wypłynęła ciemna postać... Ujrzał nad sobą wielką, jaszczurczą głowę... Trzymano go mocno za ramiona... Połyskująca maska pochyliła się... Wyciągnięte ręce z ostrym, podłużnym przedmiotem wzniosły się wysoko i gwałtownym ruchem spadły w...



PULAPKA NA MONTE CALVESI 700

Usłyszał huk. Otworzył oczy — i zacisnął je natychmiast, oślepięte jaskrawym światłem. Leżał na białej skale — wtulony twarzą w owalne zagłębienie kamienia. Pod policzkiem czuł chropowate ziarna granitu. Powoli podniósł głowę. Spojrzał w górę: zrozumiał, że leży na skraju bagien. Skalne zbocze wznosiło się przed nim w stronę dżungli ginąc w gąszczu miękkościernistych flaszowców. Odwrócił się. Za sobą zobaczył mglistą przestrzeń zalanego lasu. Tuż przy brzegu czerniały przerwy w jasnozielonej pokrywie rzęsy wodnej — ślady wczorajszego błędzenia po bagnach. Wokół stóp wiły się sploty błękitnego grzybienia...

Przetarł oczy. Skąd ten huk? Była przecież zupełna cisza: gorące powietrze drżało nad skałą, niebieskawe muchy brzęczały w kolumnie światła, słońce prażyło w wilgotne plecy, rozgrzane błoto wysychało na skórze, tylko gdzieś, w oddali, chmura ptaków iri przeleciała z wrzaskiem z jednej korony herbe na drugą.

Rozejrzał się. Miał przed sobą wąski wąwóz. Wyżej jaśniała przełęcz usiana białymi głazami; nad nią — jaskrawo błękitne niebo. Po obu stronach skalnej rozpadliny sterczały bloki bazaltu. Kamienne iglice wysuwały się z ciemnozielonego listowia.

A jednak czuł, że w tym znieruchomieniu powietrza czai się coś groźnego. Nasłuchiwał: jakiś ledwie słyszalny dźwięk — odległy, słabnący i narastający — dźwięk, który nie był głosem dżungli, pojawiał się i znikał. Joachim wstał, zakręciło mu się w głowie, obrazy z ubiegłej nocy przeleciały przed oczami, rozstawił szerzej nogi, aby utrzymać równowagę — i rozglądał się

wokoło... Dźwięk narastał, potężniał — Joachim wiedział już, że zbliża się od strony lewej iglicy, że jego źródło przesuwa się za skalnym masywem — niewidoczne, ruchliwe... Patrzył teraz w tamtą stronę chwając się na nogach...

I wtedy zobaczył: zza brunatnego bloku bazaltu błyskawicznie wynurzył się żółty aeroplan z purpurowo-żółtymi znakami Wszech-Hispanii. Leciał nisko — wydawało się, że wystającymi kołami podwozia zaczepia o szczyty drzew... Wielkie śmigło błyszczowało w słońcu. Maszyna pochyliła się lekko na prawą stronę i Joachim zobaczył, że skierowała się ku niemu. Powinien bać się i uciekać — był przecież widoczny jak czarny owad na białym szkłe — ale nie mógł się otrząsnąć z wrażenia, że to tylko huk ze snu stwarza tak intensywne, niemal rzeczywiste majaki... Patrzył więc prosto w czarne ognisko śmigła, które rosło, rosło coraz bardziej i czuł, jak krew pulsuje mu w skroniach. Otepiające zmęczenie odebrało mu wszelką wrażliwość. Zobaczył okrągłe okulary na twarzy pilota, skórzaną czapkę, mosiężne nity na kadłubie... Warkot przetoczył się ponad głową, wielki cień przesliznął się po skale... Aeroplan przeleciał i obniżył się nad bagnami...

Huk przygasł. Ale już za chwilę zaczął znowu narastać: maszyna zatoczyła łuk i sunęła w stronę wąwozu, Joachim odwrócił się i znowu zobaczył czarne ognisko śmigła — wycelowane prosto w niego. Skrzydła lekko zakołysały się: pilot poprawił kurs. Zza głowy w czarnej pilotce wychyliła się głowa w szklanej przyłbicy... Z kabiny wysunął się podłużny, tępo zakończony kształt... A więc to nie było złudzenie... Natychmiast powrócił instynkt samozachowawczy. Joachim rzucił się na ziemię i przywarł do podłoża... Usłyszał regularne stukotanie. Zaciśnął zęby. Gorący pył druzgotanej skały obsypał mu włosy. Maszyna wleciała w wąwóz, wzniosła się nad przełęczą i zsunęła w dół, na drugą stronę wzgórz... Warkot ucichł.

Wstał i spojrzał wokół siebie. Na białej płaszczyźnie kamienia, tuż koło nóg, zobaczył świeże odpryski — poszarpane dziury wybite uderzeniami pocisków... Był więc ruchomym celem: strzelali do wszystkiego, co się rusza... Nie ważne było, kim był. Był na złej ziemi — sam fakt, że tu przebywał, skazywał go na śmierć. Ruszył w górę: należało się spieszyć, mogli przecież jeszcze tu wrócić, by upewnić się, czy strzelali celnie. Wspiął się po ukośnym stoku i dotarł do wąwozu usianego białymi odłamkami skał. Wolał jednak nie iść środkiem — skręcił w prawo i płytką **rozpadliną wyżłobioną przez deszcze** doszedł do splątanej zieleni.

Szedł teraz skrajem gąszczu wymijając czerwone korzenie bukietnic sterczące lukowato z ziemi. Nasłuchiwał uważnie i co chwila wyglądał zza zwisających pnączy obsypanych strzępiastymi kwiatami strofantu. Patrzył za siebie, w stronę bagien — tak jakby właśnie stamtąd mieli znowu nadlecieć. Ale była cisza; tylko araukarie szamotały się gdzieś, w wilgotnym listowiu. Maszyna zniknęła. Mógł więc teraz wejść na przełęcz i rozejrzeć się. Rozsunął pnącza i spojrzął w górę wąwozu.

Wtedy zdarzyło się coś, co powinno zmienić jego plany: po drugiej stronie przełęczy, za wzgórzem, rozległa się detonacja, której odpowiedziało niezliczone echo wśród gór. Potem przez chwilę trwała cisza. I nagle, zza krawędzi łąki pokrytej białymi głazami, za którą widać było tylko jaskrawoblękitne niebo, wyskoczyła w górę maszyna ze znakami Wszech-Hispanii. Pilot ostro zadarł stery: szła ukośnie w górę, ciągnąc za sobą czarną smugę spalin... Wspinała się coraz wyżej... wyżej... — warkot silnika przeszedł w ogłuszające wycie — wreszcie zawisła na moment w powietrzu, potem zakołysała się i zsunęła wąwozem w dół, w stronę bagien. Przeleciało nisko nad pożółkłą trawą kilkanaście kroków od zarośli. Podmuch zakołysał liśćmi. Joachim wiedział: za chwilę będą tu znowu. To był ten sam manewr: widział go już na poligonie Cortesano, kiedy kawaleria „zielonych” usiłowała otoczyć wzgórze 907, a „czarni” nie mieli już żadnego wyjścia. Wtedy skończyło się na kilku okulawionych koniach, ale akcja była skuteczna — żółta chmura kurzu doleciała aż na stanowisko dowodzenia pułkownika Alvarades, a więc z górą milę od siedmiu wyrw na stoku w spalonym gruncie pustyni Echlis. Co jednak znaczyły te detonacje teraz? Podniósł się zza skamieniałego kopca i pobiegł w górę omijając rozsypane głazy. Dostał się przez przełęcz. Pochylony przebiegł przez otwartą przestrzeń, wśliznął się pod skalny nawis i spojrzął w dół — na drugą stronę.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczył, był ogień. Wielka czerwona chmura ogarniała suche zarośla nad brzegiem spienionej rzeki. Za płomieniami ciemniały drzewa herbe, za nimi strzępy namiotów i czarna pionowa skała porośnięta dżunglą. Wśród pni przebiegł koń z rozwianą grzywą... Włókł za sobą uprząż i konopne sznury uwiązane do drewnianego koła... Nie było widać ludzi... Płomienie ogarniały gąszcz czarnego głogu, tuż nad wodą... Na łące pośrodku obozowiska żółcił się wielki dół otoczony skalnymi odłamkami rozprysniętymi wokoło.

Joachim odwrócił głowę: z tyłu, od strony bagien, zbliżał się znowu narastający warkot Maszyna obniżyła lot i szybowwała nisko,

nad dnem wąwozu, w stronę przełęczy. Pod nią, na żółtawej trawie, sunął szybko, wyginający się na nierównościach cień w kształcie krzyża...

Przeleciała z ogłuszającym łoskotem o kilkadziesiąt kroków od Joachima. Przez mgnienie oka dostrzegł za szybą kabiny człowieka w szklanej przyłbicy i błysk taśmy z nabojami. Teraz aeroplan zmienił kurs: przeleciał nad przełęczą i zsuwał się ku rzece. Leciał prawą stroną kanionu. Doleciał do wielkiego zakola rzeki w głębi, obok czarnej skały, zawrócił i ruszył prosto na wielkie drzewa herbe, które wznosiły się za ścianą ognia...

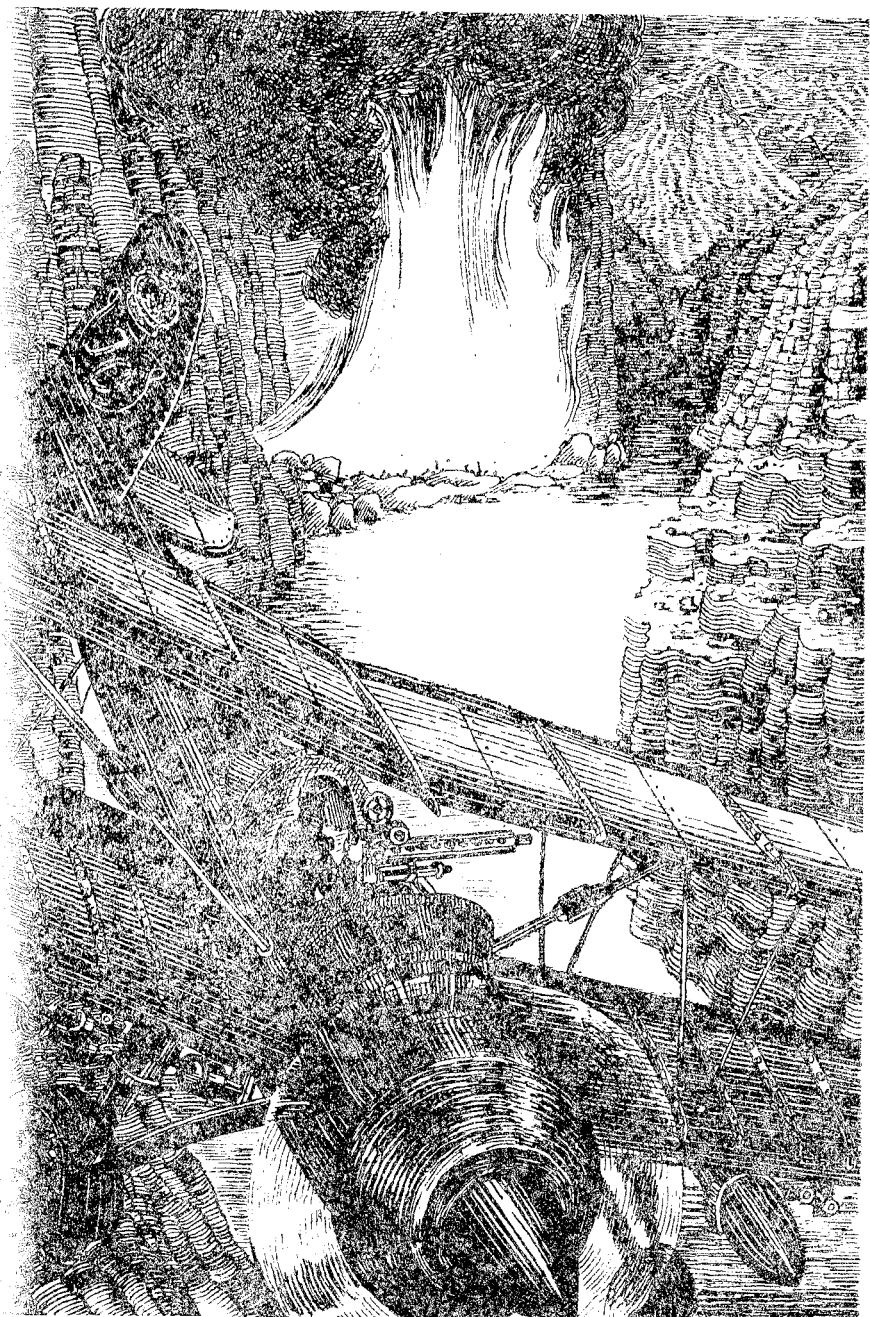
Leciał nad wodą, równoległe do brzegu. Zbliżył się do ściany płomieni — czarny wydłużony kształt wysunął się z kabiny w stronę drzew przesłoniętych ognistą zasłoną i znowu rozległo się miarowe stukotanie...

Odpowiedziały strzały: Joachim zobaczył w koronach herbe kilka obłoków prochowego dymu... Strzelano jednak chaotycznie. Ściana falującego gorąca przesłaniała pole ostrzału. Ludzie ukryci w gąszczu słyszeli tylko narastający od strony zakola warkot, ale nie widzieli nadlatującej maszyny... Widzieli przed sobą tylko ogień, czerwoną ścianę ognia... Za nią przesuwiał się szybko niewidzialny wróg i poprzez płomienie, długimi seriami raził ciemne listowie...

Maszyna minęła płomienie. Teraz pilot wzniosł ją lekko nad zboczeni przełęczy, niedaleko Joachima, potem zatoczył łuk i znowu zniżył się nad zakole w głębi kanionu. Zawracał w stronę ostrzelanego obozowiska. Leciał nisko, niemal przyklejony do rzeki, bezpieczny, przesłonięty wzbierającymi płomieniami na wybrzeżu. Cień w kształcie krzyża sunący pod kadłubem wyginał się na wzburzonej wodzie.

Zbliżył się do obozu: działko systemu ewers 893 znów wyrzuciło długą smugę pocisków zapalających w stronę drzew. Kule przeszły przez ogień i zniknęły wśród liści... Niebieskawe płomienie wykwitły w koronach... posypały się iskry...

Zanosilo się na rzeź. Maszyna nadlatywała po raz trzecia zatoczyła szeroki łuk w głębi kanionu i zniżyła się nad wodę. Ludzie ukryci wśród liści strzelali nadal — na oślep, przez ogień, w to miejsce, gdzie jej już nie było! Pilot prowadził bezbłędnie: sunął nad rzeką zasłonięty ścianą płomieni, całkowicie bezkarny. Joachim zacisnął pięści: należało coś zrobić; ci ludzie, tam, w dole, osaczeni w szczelinie kanionu, zamknięci barierą ognia na brzegu... — Miał tylko nóż... Wysunął się spod kamiennego nawisu i zaczął biec w dół przeskakując przez białe głązy, kępy ziół,



kolczaste łodygi ostu...

Śledził jak zahipnotyzowany lot żółtej maszyny z purpurowymi znakami. Lekko kołyszac się nad wodą przeleciała znowu obok płomieni: działko wystukało kolejną serię. W ciemnym listowiu trysnęły iskry, potrzaskane gałęzie runęły. Po chwili z zieleni buchnęły kłęby siarkowego dymu...

Biegł w dół rozgarniając kolanami brunatną trawę — gotów rzucić się z gołymi rękami na tę przeklętą latającą górę żelaza, która wzniosła się teraz i skręcała w jego stronę... Staął z zacisniętymi pięściami i patrzył, jak zbliża się, jak rośnie. Czarne ognisko śmigła było coraz bliżej... Pilot zobaczył go i dał znak człowiekowi w szklanej przyłbicy... Ale lufa ewersa 893 nie drgnęła: może dostrzegli, że nie ma broni...

Maszyna zatoczyła łuk nad przełęczą i poleciała z powrotem — w dół, ku rzece... Joachim patrzył za nią bezsilny. Z dysz silnika Monte Calvesi 700 umieszczonych na żółtym kadłubie szły iskry i białe płomienie świecące w czarnej smudze spalin... Śmigło świeciło jak ostrze świeżo umytej brzytwy. W kabinie błysnęły taśmy z nabojami: szykowano się do następnego ataku.

Joachim nie ruszył się z miejsca. Ogarnęło go zniechęcenie. Nie chciało mu się już patrzeć na wyczyny wysoko kwalifikowanych fachowców z VII Korpusu Lotnictwa Wszech-Hispanii — podporucznika Adolfo Gombiniego i sierżanta Zorrozzo Echiel Coro, mistrza ognia III klasy. Maszyna zataczała kolejny łuk. Jedno z wielkich drzew zapłonęło jaskrawym ogniem, chmura białego dymu buchnęła z liści, ale nikt nie zeskakiwał na ziemię, więc serie chyba nie trafiły w cel... Gombini zauważył to — przymierzał się teraz w głębi kanionu do nowego podejścia: obniżał maszynę, ustalał stery...

I właśnie wtedy Joachim zobaczył pierwszego z tamtych. Zza stosu żelaznych skrzynek na amunicję pod skalną ścianą wyskoczył chudy, wysoki mężczyzna i ruszył pędem w stronę rzeki. W pierwszej chwili Joachim pomyślał, że to ktoś, kto nie wytrzymał nerwowo, ktoś, kto ucieka na oślep z ognistej pułapki — prosto w ogień! Ale nie: człowiek ruszał się pewnie, z rozmysłem; pochylony biegł wśród drzew wymijając poszarpane dziury i ani na moment nie wypuszczał z rąk ciężkiego corchestera 7,62 z lufą rozszerzającą się ku wylotowi i płaskim magazynkiem systemu MC 16. Było to czyste szaleństwo: jeśli teraz maszyna Gombiniego znajdzie się nad rzeką po drugiej stronie płomieni, smugowe pociski ewersa 893 rozsieką go na strzępy!

Joachim zamarł w oczekiwaniu. Mężczyzna przebiegł jeszcze kilka kroków i zatrzymał się na samym środku łąki zrytej seriami. Tymczasem żółta maszyna wyskoczyła z za zakrętu i sunęła całą mocą silnika w jego stronę! Szybciej! Biegnij! Uciekaj! Ale mężczyzna stał przyczajony do skoku i rozglądał się! Boże, chyba słyszy warkot, chyba widzi już cień skrzydeł za falującą taflą ognia! Biegnij! Chowaj się za drzewa! Co on robi!?!... — Cofa się

o krok... i skacze do wąskiej rozpadliny rozoranej w piachu!? Przecież to na nic — rozsieką go w tej dziurze na strzepy! Aeroplan łagodnie obniżył się nad wodę, Zorrozzo poprawił taśmę nie-nagannie zwiniętą w blaszanym pudle z królewską cyfrą, ułożył delikatnie palce na rogowej rękojeści ewersa 893, przytknął kolbę do policzka, przywarł ramieniem do okucia z ardeńskiej stali, przymrużył swoje nieomyślne oko. Jego wskazujący palec spoczął na oksydowanym języku spustowym. Kolisty celownik sunął po brzegu. Za krzyżem przeleciało... drzewo... krzak... żółte skałki... Jest! Ogień! Zorrozzo nacisnął spust i uważnie prowadził lufę według schematu G6/83 z *Instrukcji Strzelania do Celów Zakrytych 78 GS 22483/c8*: Najpierw poziomo — seria... potem pionowo w górę — seria... potem pionowo w dół — seria... i znowu poziomo — seria... Joachim zobaczył piekło: cała łąka pulsowała jak ukrop, żółta ziemia tryskała na parę metrów w górę, kawałki blachy furkotały w powietrzu jak wrony w trąbie cyklonu, gałęzie obrywały się z konarów, na pniach odskakiwały grube białe drzazgi... Fioletowe iskry rozprysnęły się na skalnej ścianie. Zamknął oczy. Seria urwała się: właściwie nie było już na co patrzeć... Pobojojwisko zryte tysiącem rykoszetów... Koniec... po wszystkim... Aeroplan dolatywał do końca ognistej ściany... Zorrozzo odsunął rygiel D 16 — z zamka buchnął gorący smród saletry. Głęboko odetchnął i z uznaniem pogładził stalowy korpus działka.

Tymczasem Joachim oniemiał. Nie wierzył własnym oczom: na żółtej, straszliwie zrytej płaszczyźnie łąki drgnęło coś i... spod piachu wyskoczył mężczyzna z corchesterem 7,62 w rękach! Nieprawdopodobne! Joachim patrzył jak zaczarowany. A tamten rzucił się biegiem w stronę rzeki, przeskoczył kilka jaskrawożółtych wykrotów i wbiegł w ogień! Joachimowi zamarło serce: czarna sylwetka zniknęła w ścianie płomieni... Radość i nadzieja obudzone na moment przysły: trudno o śmierć straszniejszą... Maszyna Gombiniego wzniosła się znad rzeki. Joachim zacisnął pięści, był zdruzgotany... gdy nagle... zobaczył, że czarna skulona postać wybiega z płomieni! Tak! Widział ją! Płomienie były za nią! To był on! Mężczyzna już wbiegał na brzeg, tuż nad wodę! Błyskawicznie odwinął połę kurtki z corchestera, przykucnął i z biodra puścił długą serię w kierunku żółtej maszyny, która odlatywała ku przełęczu. Corchester zaterkotał i sychnął mosiężnymi łuskami, które poleciały daleko w wodę — była to najdłuższa seria, jaką Joachim słyszał w życiu. Były tylko dwie możliwości: albo szpital — kiedy ostatnie pociski rozerwą lufę, albo śmietnik — kiedy ciśnienie zdeformuje mechanizmy zamka na zawsze...

Seria urwała się, ale mężczyzna nie opuszczał lufy i trwał nieruchomo skurczony, przygarbiony, napięty... — śledząc oddalający się aeroplan.

A więc wszystko na nic! Joachim znowu poczuł obezwładniającą bezsilność. Do tego uczucia dołączył się strach — ale nie strach o siebie: strach o tamtego, to o tamtego bał się! I ta straszliwa zimna zapiekła wściekłość... Maszyna leciała w jego stronę. Gombini lekko zadarł stery — uniosła swój zakończony śmigłem pysk i szła pod górę powoli, na małej wysokości, wspinając się w rosnącym huku silnika ku przełęczy...

A więc wszystko na nic!

Joachim wiedział: teraz zatoczą nad nim łuk i wrócą tam, nad rzekę — żeby spokojnie policzyć się ze śmiałkiem, który tkwił na brzegu z corchesterem w rękach... i chyba nie miał już naboii...

I Gombini tak właśnie zrobił: kiedy zawisł nad przełęczą, zrobił szybki zwrot i ruszył w dół, w stronę błyszczącej wody... Obniżył lot: nie bawił się już w maskowanie za ścianą ognia. Leciał prosto ma małą czarną postać, która rysowała się ostro na tle płomieni... Zorrozzo założył nową taśmę: komora zamkowa była rozgrzana. Błękitny dymek wypełniłabinę...

Wsunął pierwsze pociski w otwór C 17 i spuścił zapadkę. Był gotowy: należało sprawę zakończyć i wracać do bazy.

I wtedy właśnie Gombini poczuł opór w sterach. Przyciągnął do siebie lewą dźwignię — lekko, miękkim ruchem, ale aeroplan nic nie zmienił kursu: leciał prosto w ogień! Szarpnął więc mocniej: znowu nic! Płomienie rosły przed nim w błyskawicznym tempie. Spróbował pomóc sobie dźwignią pomocniczą AG 7: przesunął ją najpierw ukośnie w lewo, potem wolno, wolniusieńko w górę... Nic! Maszyna zniżała się coraz bardziej: ogień wypełniał już całe pole widzenia! Człowiek na brzegu wydawał się coraz większy. Miał czarną twarz i błyszczące oczy. Gombini szarpnął zapasowym drążkiem Olivara: znowu nic! Nic!!! Wpadli w ogień, gorąco buchnęło do kabiny, przeszli przez płomienie...

Udało się!

Ale natychmiast powróciła groza. Przed pancerną szybą kabiny wyrosła nagle prostopadła ściana czarnego bazaltu. Gombini całą siłą wparł się w dźwignię: nie chciała drgnąć; Szarpnął jeszcze raz! W kabinie pociemniało — byli już tylko kilkadziesiąt kroków od masywu. Lecieli prosto w czarną skałę! Znowu szarpnął drążkiem: coś trzasnęło, przesunęło się i zarygłowało. Koniec! Zacisnął oczy. Maszyną szarpnęło; zachybotwała się gwałtownie i przechyliła na prawą stronę...

Otworzył oczy. Nie do wiary: masyw przesunął się tuż pod kadłubem! Lecieli przy skale, tak blisko, że można było ją sięgnąć ręką... Potem nagle masyw urwał się — i zobaczyli przed sobą zieleń. Lekko przechyleni sunęli nad dżunglą, w stronę wielkiego zakola złotonośnej rzeki El Haras. Śnieżnobiałe zęby Gombiniego zabłyśły w szerokim uśmiechu. Odwrócił głowę i zobaczył przed sobą wyszczerzoną twarz sierżanta: krople potu perlily się pod szklaną przyłbicą mistrza III klasy. Jego poczerniały kciuk był skierowany w górę: good lucke!

Zataczali szeroki łuk wiedząc, że koniec na dzisiaj, i że teraz czas wracać do bazy w El Huaz... Niech tam, ten na dole pożyje sobie jeszcze te parę dni! Wrócą tu jeszcze! Wzbierała w nich piersiach duma i poważna radość (i tak zrobili wiele, pułkownik Cordova może być z nich dumny). Gombini nie dotykał nawet dźwigni: maszyna sunęła zgodnie z jego myślami, sama, cudownie posłuszna najskrytszym marzeniom syna VII Korpusu, zataczała wielki, łagodny jak ramiona dziewicy, łuk i zbliżała się do przełęczy, na której stał Joachim.

Pilot zmarszczył brwi. Dał znak ręką. Zorrozzo pojął bez słów swego dowódcę: pochylił ewersa w dół, na czarnym skrzyżowaniu celownika ujrzał małą figurkę człowieka oblepionego błotem... Maszyna zbliżała się do przełęczy, była coraz bliżej; tak to był najlepszy moment, by zdmuchnąć tego robaka, który tkwił tu pośród białych kamieni i nie krył się wcale! Gombini skrzywił się znudzony; czas najwyższy kończyć tę zabawę. Czekał na znajome stukotanie — podobne do rytmu męskiego serca: kaliber 9 mm ma barwę piękną, nie szczeka jak siódemka, niesie w sobie grozę i dostojęństwo myśliwskiej waltorni... Ale ewers — milczał.

A to co znowu?!

Gombini rzucił okiem za siebie. Twarz Zorrozzo wprawiała go w zdumienie. Sierżant był blady jak mokra bielizna i pokazywał coś za sobą, nie mogąc wykrztusić słowa. Gombini nic rozumiał. Wychylił się — i dopiero wtedy zobaczył: jasnym, żółtym płomieniem paliły się płaty ogona jego ukochanej maszyny Monte Calvesi 700!

Nie było nawet odrobiny dymu: żółte płomyki pełgały na sterach i wspinały się po podziurawionym stateczniku w stronę purpurowo-złotego znaku Wszech-Hispanii! Po chwili biaława smuga wytrysła z kadłuba i rozwinęła się za ogonem jak sina wstążka. Dopiero teraz Gombini przypomniał sobie o sterach. Maszyna szła cudownym łukiem mierząc prosto w prześwit przełęczy między bazaltowymi iglicami, ale przecież powinien wyczuć, że ten

łuk jest zbyt cudowny, zbyt doskonały... Aeroplan Monte Calvesi 700 sunął po krawędzi idealnego okręgu wykreślonego niewidzialnym cyrklem, jakaś siła nieomylna i potężna prowadziła uskrzydłone żelazo bez jego woli i wiedzy. Gombini szarpnął dźwignię, ale nie odpowiedziało mu żadne drgnienie, stery pozostały nieruchome... Maszyna pędziła przed siebie po wytyczonym torze z nieomylną precyzją nakręconego mechanizmu.

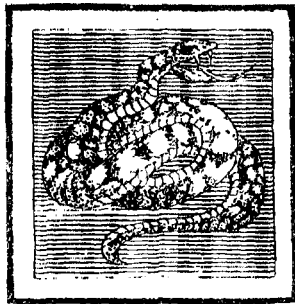
Tak — pomyślał Gombini — zablokowane stery.

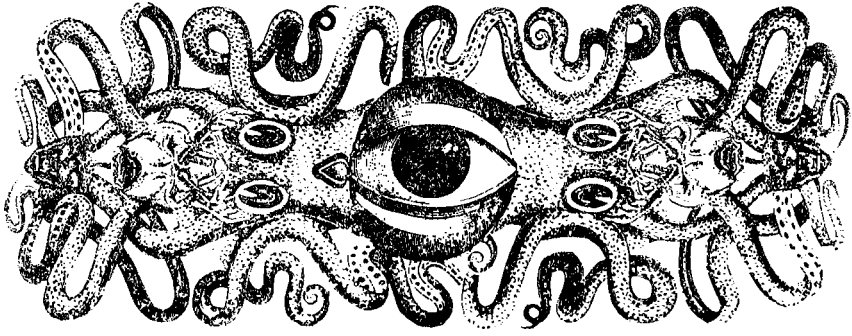
Była to jego ostatnia myśl. W tej samej chwili maszyna Monte Calvesi 700 uzbrojona w szybkostrzelne działko ewersa 893 z dwoma ludźmi na pokładzie (dwa rewolwery systemu erdano 9 mm, guma do zucia, cztery ordery) gruchnęła w lewą iglicę.

Joachim zobaczył czerwony błysk i żółty aeroplan koziółkując stoczył się po skalnych występach. Chwilę zakołysał się na bazaltowej drzazdze sterzącej nad palmami i runął w głąb zarośli. Chmura dymu wzbiła się nad kiściami orzechowca.

Joachim usiadł na trawie: ogarnęła go dzika radość, chciał krzyknąć z całych sił, ale tylko zamknął oczy i kręcąc głową wyszeptał: nareszcie... Czuł wdzięczność do wszech-stworzenia i do Strzelca znad rzeki... Widział go teraz w dole. Mała, czarna sylwetka pochyliła się nad wodą. Chciał wstać i pobiec na brzeg. Podniósł się, poprawił poszarpaną koszulę, nabrał powietrza do płuc — i zniechęcił się. Pod lewą łopatką poczuł delikatne, zimne uklucie. Jakiś męski głos, dudniący jak echo w tunelu kolejowym Aldevano Costas rozległ się tuż za uchem.

— Dokąd to?





PLATON I COLLINS 9 MM

Joachim odwrócił głowę. Ze szczelin w pobliskiej skale wysuwali się ludzie w szerokich kapeluszach z włókien core, w bawełnianych zawojach oplecionych rzemieniami, w płaskich czapkach z barankowym otokiem, w sombrero, w beretach z granatowego filcu, przepasani taśmami z amunicji), sznurami. Za sobą zobaczył czarnobrodego wielkoluda z wąskim trójkątnym bagnetem w dłoni. Żelazo dotykało lewej łopatki... Ludzie ze skał zbliżali się. W opalonych na brąz dłoniach błyskały długie strzelby skałkowe wyrabiano przez Juliana van Hocka w Tuleisdeen, krótkie karabinki typu MF 116 z uchwytem ponad szczerbinką, mauzery, dwunastomilimetrowe dwururki z manufaktur rusznikarskich w Alaheso, sztucery collingwooda z obcięta lufą. Na piersiach widniały kokardy Wolnego Sandurasu.

Joachim odetchnął z ulgą. Nareszcie dotarł, jest na miejscu, koniec tej błąkaniny po bezdrożach... Chciał odpowiedzieć, wyjaśnić wszystko, podniósł rękę w stronę wąwozu, za którym rozpościerały się bagna. Ale ostrze ukłuło mocniej:

— Nareszcie cię mamy... Gadaj, z której strony będą dziś szli? Oniemiał. Ziemia obsunęła mu się spod nóg!... Pokręcił głową, chciał zaprzeczyć, chciał opowiedzieć wszystko, myśli plątały się w głowie, nie wiedział od czego zacząć i czuł, że ma mało czasu, straszliwie mało czasu, że jeśli teraz nie zdąży... Brodacz napierał:



— Z południa, od Costa Mado? Z zachodu, przełęczą?... czy ze środka Sierra Evine?... — tak jak wczoraj? No, gadaj. Ilu? Co mają ze sobą?

Joachim spojrział na ludzi, którzy go otoczyli, jakby od nich spodziewał się pomocy. Ale twarze były nieruchome. Ktoś strzyknął brunatną śliną.

— Z której strony będą szli?

Naraz strach, który ogarnął go, zniknął. Powróciła znów nuda, obrzydzenie i wstręt. Spojrzał na siną mgłę przesłaniającą słońce. Wielka araukaria przeleciała wysoko: czerwone upierzenie brzucha zaświeciło na szarzejącym niebie. Wysokie, sztywne trawy tkwiły nieruchomo w szczelinach skały.

— Nie wiem. Nie wiem, kto będzie szedł i skąd będzie szedł. Płaczę się po dżungli już trzeci dzień.

Brodacz schował bagnet do pochwy.

--- Nikt cię tu nie straszy. Gadaj, z której strony będą szli, a włos ci z głowy nie spadnie...

Joachim odwrócił się. Brodacz przypatrywał mu się uważnie — miał przerzedzone włosy nad czołem i różowy guz na szyi, tuż za uchem. Był w czarnej skórzanej kurtce. Raportówka z mapami, suszonym mięsem i wodą kolońską wisiała na wysokości uda. Z kieszeni wystawała czerwona chustka. Bagnet był długi i czarny, lufa tkwiąca za pasem była krótka i mosiężna. Młody bojowiec z karabinem essena powiedział:

— Alvarez, on chyba ściągnął tu lotników...

Brodacz kiwnął głową.

— Jak dawałeś znaki?

Joachim wiedział, że nic nie wskóra rozmową: wzruszył tylko ramionami. Brodacz szarpnął go za ramię.

--- Staniesz przed sądem. Staniesz przed sądem — tu zaraz...

— W porządku. A sędzią będziesz ty, prawda?

— Ja... Albo ktokolwiek inny. Wszystko jedno. Liczy się prawo, a nie ten czy tamten.

— W porządku.

Zaczęli schodzić w stronę rzeki. Jeszcze raz mógł Joachim zobaczyć rozmiary zniszczenia w obozie: olbrzymie krzaki głogu dopalały się w ciszy, niebieski dym szedł pionowo w górę z purpurowego żaru... Jedno było dziwne: nikt nie mówił o stratach. Wymieniano fachowe uwagi o uzbrojeniu Monte Calvesi 700 oraz jakiegoś pociągu pancernego z Costa Uevas. Zeszli na łąkę nadrzeczną i siedli na ziemi. Brodacz rozłożył mapę.

— Chodź tu. Pokaż, z której strony będą szli.

Joachim nie ruszył się z miejsca.

— Tędy, przez Astudio? Czy przez Gambiesi?

— **Nie wiem.**

— **Dobra. To teraz pomódl się.**

Brodacz złożył mapę i skinął ręką. Dwóch młodych bojowców z mauzerami wstało i podeszło do Joachima. Wyższy, z ospowatą,

różową twarzą trącił go lufą.

— No, idziemy.

Joachim poprawił na sobie strzępy koszuli i wstał. Przeszli przez czarne sitowie i znaleźli się nad rzeką. Woda bulgotała wśród omszałych głazów — kawałki spalonych gałęzi kręciły się w oleistych wirach.

— Stań tam.

Wyższy mężczyzna pokazał lufą płaskie miejsce wśród kamieni.

— Odwróć się.

Joachim patrzył na niego i kręcił wyrozumiale głową.

— Daj sobie spokój. Wał od razu.

Bojowiec otworzył zamek, wsunął nabój do komory i zarepetował. Podniósł broń do oka: Joachim zobaczył czarną dziurę lufy, która zatrzymała się na wysokości jego piersi. Chłopak jednak opuścił mauzera: coś mu się, widać, nie spodobało. Popatrzył na niższego, który stał tuż nad wodą i kiwnął głową. Tamten sięgnął ręką do kieszeni i wydobyl straszliwie wymiętą czarną chustę. Joachim skrzywił się z niesmakiem: mały szedł ku niemu, wsunął mauzera pod pachę i rozprostował czarny gałgan brązowymi od tytoniu palcami. Wtem zatrzymał się i spojrzał w stronę zarośli: gałęzie zaszeleściły i spośród liści wyłonił się mężczyzna z corchesterem. Mały odruchowo spojrzał na Joachima: tak, wyglądali podobnie. I człowiek znad rzeki i len szpieg, byli oblepieni czarnym zeschniętym błotem: tylko oczy i zęby świeciły bielą... Mężczyzna nie spojrzał nawet na nich, przeszedł szybko po kamieniach, wołając w stronę oddziału.

— W którym miejscu spadli?

Mały podszedł do Joachima. Ale otworzył szeroko oczy, kiedy zobaczył go z bliska: z Joachimem coś się stało. Przed chwilą tak spokojny, teraz dygotał... szczykał zębami... Usłyszał ten głos. To było udręczające: przecież znał ten głos.. przecież wiedział, czyj to głos... a nie mógł go skojarzyć sobie z żadną twarzą! Cały spokój prysnął; rozpaczliwie szukał w pamięci... chciał dopasować dźwięk do rysów... ale wszystko się; rozsypywało... nie nie składało się w całość... I to poczucie, że nie zdąży... Wydawało się mu, że to ważne, że to bardzo ważne... musi sobie przypomnieć... Chłopak podszedł i zasłonił mu oczy: chustka śmierdziała tytoniem. Joachim przestał widzieć cokolwiek: usłyszał oddalające się kroki i szczyk karabinowego zamka. Gdzieś z góry od strony oddziału doleciała go rozmowa:

— Chyba spadli na Cortes Mejo.

— Trzeba tam pójść i wymontować działo...

Joachim drgnął: wiedział, czuł, że lufa powoli wznosi się w stronę jego piersi, czuł, że zatrzymuje się na wysokości serca... wiedział, że za chwilę będzie już za późno... Nagle zerwał opaskę z oczu i całą siłą krzyknął w stronę oddziału:

— Ortez!!!

Ale wysoki nie zważał na to. Rozległ się strzał. Kula gwizdnęła koło głowy, na prawym policzku Joachim poczuł dmuchnięcie gorąca...

— Ortez!!!

W tej samej chwili mężczyzna z corchesterem odwrócił się jak rażony gromem i zawołał:

— Stać! Nie strzelać! Stać!!!

Wysoki opuścił lufę i patrzył osłupiałym wzrokiem na dowódcę, który zbiegał w dół, przeskakując kępy ostrych traw.

--- El Toro!

— Ortez!

Podbiegł do Joachima i chwycił go za ramiona. Wyglądali jak dwa czarne diabły. Wykrzykiwali tylko:

— El Toro!

— Ortez !

Potem objęli się i skakali jak dzieci śmiejąc się opętańczo... Naraz Ortez spojrzął z bliska w twarz El Toro, a El Toro spojrzął w jego twarz i wybuchnęli jeszcze bardziej nieprzytomnym śmiechem. Zataczając się, upadli w wodę. Wznosili bryzgi i wykrzykiwali coś bez związku... Błoto spływało z ich twarzy, z włosów, ramion, piersi... Wreszcie wydostali się na brzeg i runęli na trawę. Leżeli na wznak szybko oddychając, wstrząsając mokrymi głowami... Nad nimi zamglone niebo...

Skąd się tu wzięłeś, El Toro?

— Skąd się tu wzięłeś, Ortez?

— Zwiąłem. A ty?

— **Zwiąłem.**

— I co dalej?

— Nie wiem.

— Jak to: nie wiem. Zostań tu, z nami!

Ortez usiadł i spojrzął na Joachima.

— Przecież nie masz po co wracać.

Joachim zerwał źdźbło trawy i przegryzł je. Patrzył w zamyśleniu na czerwonego motyla, który krążył nad ciemną wodą.

— Mam.

— Ines?

— Ines.

Ortez podniósł się: woda z jego ubrania ściekała na trawę.

— W porządku. Ale nie polecisz przecież zaraz.

— Nie. Nie zaraz.

Joachim wstał. Ortez wybuchnął śmiechem.

— Co to takiego?

I dotknął palcem jego czoła. Joachim nie rozumiał; przesunął **dłonią po** skórze i spojrział na rękę. Nie było żadnego śladu. Ortez śmiał się nadal.

— Ta pieczętka!...

— Aaa. To ręka doktora Rumbiedo.

— Zmyj to. Każdy cię pozna.

Szli teraz pod górę, w stronę oddziału. Brodacz patrzył z uśmiechem na swoją niedoszłą ofiarę.

— Macie sprawny wymiar sprawiedliwości... — powiedział El Toro, kiedy minęli olbrzyna.

— Myślisz, że można inaczej!...

— Bo ja wiem. Ale wolałbym, żebyście to sprawdzali na kimś innym.

Zbliżyli się do spękanej skały. Czarne szczeliny w różowym bazalcie bieły w różnych kierunkach. Przed jedną z nich stał chłopak z potężną dwururką w dłoniach. Weszli do środka. Wąski tunel prowadził kilka metrów w dół, niżej otwierała się przestrzeń obszernej jaskini. Słońce wpadało tu kilkoma otworami w sklepieniu. Widać było, że zasłaniano je podczas pory deszczowej. Było tu sporo broni, jakieś skrzynki z hiszpańskimi napisami, trochę miedzianych naczyń, góra wojskowych kocy i stosy świeżego drzewa pod ścianami: belki, deski, przypory. W żelaznym piecyku buzował ogień, wokoło rozesłano brezentowe płachty na pchane suchymi liśćmi herbe — można było na tym siedzieć lub spać. Ortez usiadł i nalał sobie kawy z miedzianego czajnika.

— Szedłeś przez bagna?

— Tak, z tamtej strony.

Podał Joachimowi kubek, na którym widniała cyfra VII Korpusu i przechylił czajnik. Czarny, pachnący wrzątek wypełnił naczynie: gorąca para buchnęła na policzki. Pili ostrożnie, by nie poparzyć ust. Joachim patrzył w uchylone drzwiczki pełne żaru.

--- Strącacie tu Monte Calvesi 700...

— Czasem trafi się coś grubszego.

— Osiemdziesiątka piątka?...

— Na przykład.

— Ale ich tu nie ma?...

— Nie. Czasem robią wypadki na Costa Verdo... U nas byli

wczoraj. Ale to bez sensu. Tam są tylko Indianie.

— Ludzie Horna?

— Kogo?

— Indianie takiego zwariowanego Holendra...

— Nie, tacy nie zapuszczają się tutaj. Tu mamy tylko lotników.

Ortez położył się na brezencie: mokre ubranie parowało w cieple. Ściągnął buty i rzucił je koło pieca. Joachim rozejrzał się po jaskini. Broni było więcej, niż myślał — w mroku rozpoznał działko z oksydowanej stali wymontowane chyba z osiemdziesiątki piątki, były też czterolufowe sprzężone karabiny do ze strzeliwania myśliwców i niklowane gesso 84 z szerokim hamulcem wylotowym. Skąd oni to wszystko ściągnęli?

— Strącacie, dobra — ale co dalej?

Ortez ziewnął.

— Nic dalej. Moi ludzie chcą tu ściągnąć swoje kobiety...

— Tu?!

— To jest ich pomysł... Założą tu miasto.

— Miasto!? Przecież wystarczy jeden Monte Calvesi... i nic z tego nie zostanie...

— Może. Ale oni to zrobią.

Joachim miał wrażenie, że zapada w jakiś halucynacyjny son: miasto, tu, w środku dżungli!... Spojrzał w głąb jaskini: w ciemności zobaczył migoczące światła... Wyglądało to tak, jakby jarzyły się tam ognie na grobach podczas Nocy Zmarłych.

--- Co to jest?

Zapytał i wskazał ręką. Ortez podłożył dłonie pod głowę i zamknął oczy.

— Nie lubię tego. Ale oni muszą to mieć.

Joachim wstał i poszedł w głąb, w stronę światła. Dno jaskini obniżało się — poczuł pod stopami stopnie wykute w skale, zszedł po nich. Zobaczył przed sobą czarne nieruchome jezioro — po drugiej stronie wody, wśród żółtobiałych stalagmitów płonęły woskowe świece. Na podniesieniu pod koronkowym nawisem skalnym stała biała figura kobiety opleciona wstęgami w barwach Sandurasu. Na białych piersiach wykuto głęboką ranę: ludowy artysta obrzeżył czerwoną farbą bolesny znak. Wieniec z czarnego głogu oplatał ramiona śpiącej — bo kobieta miała oczy zamknięte i płakała: kamienne łzy sunęły po kamiennych policzkach... Kiedy płomienie świec chwiały się, wyglądała tak, jakby o coś prosiła ledwie dostrzegalnym ruchem ręki... Szaty pokryto złotą farbą...

Kiedy Joachim wrócił na posłanie, Ortez wytrząsał błoto z bu-

tów. El Toro usiadł obok niego i patrzył w milczeniu w ogień.

— Ortez, daj mi paru ludzi.

— Po co?

— Daj mi ich.

— Po co?

— Pójdziemy do El Ebro...

— Nonsens.

Ogień przygasał. Ortez pogrzebał prętem w żarze.

— Twoja sprawa jest przegrana.

— Może, ale daj mi ich.

— Nie chcę tracić ludzi...

Milczeli. Ogień buzował w żelaźniaku, dym szedł blaszaną rurą w głąb jaskini i ginął gdzieś w kamiennym labiryncie...

— Zresztą, nie trzeba się stąd ruszać... Tu jest wszystko. Po co się plątać gdzie indziej...

— Ale kiedyś trzeba będzie i tak pójść na El Ebro...

— Może. Ale to nie moja sprawa. Pamiętasz, jak nas uczono, żeby nie mylić dobra z Dobrem. Teraz się z tego śmieję. Kiedy mówię „Dobro” — wyciągnął przed siebie rękę i rozcapierzył palce — moje słowo obmacuje przestrzeń — poruszył palcami — i zbliża się do Dobra. Jeśli mówię Sanduras — to nie mówię o El Ebro czy o peonach... Mówię o Nim... Bo On jest... gdzieś... Pojawiamy się tu, by potwierdzić sobą jego istnienie — i zniknąć...

Ortez, to są majaki, a ja chcę uratować żywą kobietę.

--- Majaki, majaki... Ale gdyby nie te majaki, nie widziałbyś Lego, co zobaczyłeś nad rzeką. Oni mają rację, że chcą zbudować to miasto. Jasne, że ono zniknie, zanim je skończą. Ale co z tego? — Kto powiedział, że Sanduras ma tu istnieć wiecznie? Może on ma się pojawić tylko - - na chwile, na jeden dzień, na jedną noc. Może ma tylko zaświadczyć prawdę, która jest z innego świata?!

Ortoz, to są majaki, a ja potrzebuję paru ludzi. Sam nie dam rady. Daj mi pięciu, sześciu...

--- Poczekaj, aż tu przyjdą i powiedz im, że to majaki: rozsiekają cię maczetami na strzępy. Oni nic boją się śmierci: wiedzą, że zrodzili się tylko dla jednego gestu, dla jednego słowa... kiedy zrobią ten gest wypełniło się... Wiedza, że człowiek rodzi się tylko po to — by spełnić swój gest i zniknąć. Kiedyś myśleli inaczej: myśleli, że trzeba to ciągnąć jak najdłużej, że o to chodzi, żeby było najdłużej... Teraz po rozmowach ze mną, nawet nie przyjdzie im do głowy, by odwlekać wyrok, który i tak będzie wykonany... Trzeba znaleźć swój gest... Trzeba wyczuć, jaki

to gest jest naszym przeznaczeniem... Każdy ma swój gest... swoją chwilę... swój szczyt.. Jeśli osiągnie ten szczyt — jego dalsze życie jest tylko podtrzymywaniem życia... odwiekaniem... strachem w celi śmierci... Pomyśl o tym, odkryj swój gest dla jakiego się urodziłeś... Ich gest to miasto w dżungli...

--- Daj mi paru ludzi...

Joachim powiedział to już bez przekonania: Ortez mówił powoli przeciągając słowa, w jakimś posępnym uniesieniu, w którym kryła się równocześnie duma, gorycz i ledwie wyczuwalna pogarda. Rozmowa była bezcelowa. Joachim przypomniał sobie, jak ci ludzie patrzyli na Orteza, wtedy, na przełęczu, gdyby powiedział jedno słowo, roznieśliby El Ebro w pył. Ale Ortez milczał. Z takim arsenałem! Trudno było o coś bardziej szaleńczego: ścinali wielkie drzewa herbe, zaciągali je do jaskiń, ukrywali w gąszczu, obrabiali starą, wyszukaną sztuką ciesielską, ozdabiali ornamentami w kształcie płomienia i piór ptaków iri. Tu, gdzie ich już wykryto!... Gdzie przysyłano dwupłatowce z podwieszonymi bombami C V 516, by rozpoznać teren!... Na razie nie wracały jeszcze do bazy, ale przecież znajdzie się kiedyś maszyna, która wróci i pilot, który wręczy pułkownikowi Oviedo pokratkowaną płachtę z naniesionymi danymi: X = 78 954, y — 22 743... Wtedy przyleci nie jedna maszyna, a trzy, cztery, sześć... Zbudowali tę fałszywą osadę, w dole, nad rzeką, tam zwabiali zwiadowców z VII korpusu w pułapkę wąskiego kanionu i strącali Wszech-Hiszańskie aparaty latające — a wszystko po to, żeby postawić parę domów i posąg białej kobiety — na kilka dni!... może na dzień!...

Pod ścianami leżały długie białe belki z głębokimi ciesielskimi nacięciami, ażurowe okiennice, stopnie i balustrady z rzeźbionego herbu, nawet całe fragmenty werand!... Stosy wiórów zgarnięto w kąt przy wejściu. Stolarskie narzędzia, wyostrzone dłuta, piły azaworskie z wygiętymi zębami do rozszczepiania żywicznych bierwion — a obok blaszane skrzynki z amunicją do MD 16!... Pod sklepieniem szarfy i chorągwie, woskowe gromnice z czerwonymi kolcami głogu, gliniane dzbany pełne czarnego wina, suszące się nad ogniem bandaże, zapach jodyny i suszonego mięsa, brudu i saletry!... Joachim wiedział już, że nie ma żadnych szans, by kogokolwiek z tych ludzi przekonać: ta sceneria przygniotła go zupełnie. Milczał patrząc w ogień. Zsunął buty z nóg i ustawił ukośnie obok żelaźniaka — wylotami cholew w stronę gorąca. Kwaśny zapach wilgotnej skóry rozszedł się w powietrzu.

— W porządku. Niech będzie. Ale daj mi chociaż „dziewiątkę”

Collinsa.

Ortez roześmiał się.

— „Dziwiątkę”? A bierz sobie stąd, co chcesz! Choćby działko ardeńskie, albo stateczniki Monte Calvesi! Oni to trzymają na tamten dzień: zbudują miasto, ustawią wszystko na zboczach i będą czekać, aż tamci przyjdą jak deszczowa woda, która zaptapia mrowisko...

Joachim sięgnął do skrzynki z żółtą cyfrą na wierzchu. Uniósł pokrywę i zajrzał do środka. Zobaczył tłusty połysk czarnego żelaza. Wyjął collinsa i przekręcił magazynek. Broń była dobra — przestrzelana, dobrze wyważona, muszka i szczerbinka z matowej stali dymnej nie odbijały światła podczas celowania. Rękojeść z jeleniego rogu dobrze przylegała cło dłoni. Ortez poprawił szczapy w palenisku:

— Majaki, majaki... Oni mają to miasto, a to nie jest żaden majak. Chwilę milczał. — Ja też powinienem mieć to miasto...

Było w tym zdaniu coś tak posępnego, że Joachim drgnął:

— Ortez, rzuć to i chodź ze mną. Daj sobie z tym spokój i chodź.

Ale Ortez zmrużył oczy patrząc w ogień i powiedział powoli:

— Widziałem kiedyś dziwne owady. Są bardzo rzadkie... Kiedy je po raz pierwszy zobaczyłem, myślałem, że to rubiny toczące się po bazalcie. Sięgnąłem ręką — podniosłem pod światło: nigdy

nie widziałem takiej czerwieni. Są czerwone jak przezroczysta krew. A żyją tylko parę godzin. Tak jakby cała czerwień w nich skupiła się — i rozbłysła na moment, tak jakby były dowodem na jej istnienie, tak jakby dżungla dowiadywała się od nich. o istnieniu czerwieni, jakby uczyła się tej czerwieni... Te chrząszcze żyją tylko po to. Przecinają młode pędy orzechowca, wgryzają się w miąższ, czują głód, ból, boją się araukarii... ale to nie jest ich prawdziwe życie... One nie wiedzą o tym, że dżungla stworzyła je tylko po to, by pojawiła się czerwień. Jesteśmy do nich podobni — rodzimy się tylko po to, by wypowiedzieć sobą coś, co nas przerasta i zniknąć... Każdy jest tylko literą wielkiego Alfabetu... Te chrząszcze żyją tylko parę godzin... i bardzo się boją araukarii. Pomyśl o tym...

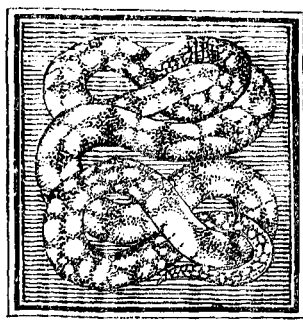
To był mur nic do przebicia. Joachim otworzył tekturową paczkę i zaczął wsuwać naboje do magazynka.

— Daj mi jeszcze jakieś ubranie: koszulę, kurtkę, pas...

Ortez odwrócił się zniechęcony i rozdrażniony:

— Weź sobie stamtąd, co chcesz. Tam pod ścianą.

Joachim naciągnął huty i otworzył drewnianą skrzynię: wziął grubą koszulę z khaki, kurtkę z jeleniej skóry, szeroki pas z ukrytymi od wewnątrz szlufkami na naboje i podszedł do wyjścia. Zatrzymał się i spojrzał na Ortoza: tamten siedział pochylony nad ogniem z zamkniętymi oczami... Joachim bez słowa wyszedł przed jaskinię i skierował się w stronę rzeki. Chłopak z dwururką wskazał mu ręką na wzgórze, za którym biegła linia El Huaz Arcole.



ŁAŹNIE

Po trzech dniach Joachim dotarł do zachodnich przedmieść El Ebro. Zatrzymał się u Gomesa w wielkiej opuszczonej wozowni koło Klasztoru św. Jakuba. Myśl, że Ines może być gdzieś zupełnie blisko, za którymś z ceglanych murów Zarzeczca czy Czerwonego Przedmieścia, a on nie może do niej dotrzeć, stawała się prawdziwą udręką. Leżał w ciemności z szeroko otwartymi oczami. Nad żelaznym sklepieniem wozowni हुआ wiatr wiejący od strony płaskowyżu. Noc nie chciała się skończyć. Zasnął przed świtem i śniły mu się wielkie labirynty nie kończących się ulic, domy bez okien i drzwi, na których wymalowano fałszywe framugi, okiennice i żaluzje łudząco podobne do prawdziwych: wbiegał po kamiennych schodach na ocienione werandy, chciał się dostać do środka, czuł, że ona musi być tam, w środku, chwycił za klamkę, szarpał i wtedy nagle drzwi rozdzierały się jak mokry plakat naklejony na murze, a pod śliskimi płatami białego lakieru ukazywały się czerwone cegły... jak oszałały bił pięściami w tę martwą przeszkodę...

Dopiero osiemnastego dostał pierwszą wiadomość o Ines. Tamtej nocy widziano ją w pobliżu dworca Arcole, na zboczach porośniętym cyprysami, wśród kobiet, które przywieziono tu z Zarzeczca. Ale nie było żadnej pewności, że to była Ines. Człowiek, który przekazał tę wiadomość Gomesowi, zapewniał wprawdzie, że jakakolwiek pomyłka jest wykluczona, ale nie można mu było wierzyć. Był to urzędnik Banku na Grass-strasse, przydzielony do czarnych grenadierów. Tamtej nocy liczył ludzi i wpisywał ich nazwiska do księgi obszytej granatowym płótnem. Około północy zobaczył przed swoim stołem dziewczynę w białej sukni z cienkiego jedwabiu, którą grenadierzy z Toboso prowadzili w stronę koszar po drugiej stronie dworca. Chciał zapisać jej nazwisko, ale huzar dowodzący oddziałem, machnął tylko ręką. Zniknęła pod arkadami fortów mijając wielkie ognisko rozpalone na trawie wokół kamiennego basenu pełnego zgnilej, ciemnozielonej wody. Ludzie leżeli tu pokotem na ziemi. Dym snuł się wśród cyprysów. Kiedy jednak Gomes pokazał fotografię Ines, urzędnik zawahał się.

Joachim wiedział, że to mogła być Ines. Ale trop był tak nikły... Właściwie nic nie można było zrobić. Chciał działać, chciał spotkać się ludźmi, którym ufał, ale nie mógł się ruszyć poza wozownię. Dopiero w poniedziałek, po południu, Gomes pozwolił mu przenieść się na Zarzecze. Tam Joachim miał spotkać człowieka, który podobno wiedział więcej niż „bankowiec”.

Nazajutrz, okrężną drogą, idąc przez zrujnowane zabudowania Browaru Al Satt, polem przez spalone magazyny kompanii zbożowej i kręte zaułki Dolnej Dzielnicy, dotarł do trzypiętrowej kamienicy przy rue de Colloni 9. Na drugim piętrze w mieszkaniu pod numerem 11 czekał na niego właściciel domu. Nie wyglądał na spokojnego. Był wysoki i nosił mundur kapitana parowców, obsługujących jedną z linii zachodnich Ardena. Szybko przeszli korytarzem i po wąskich schodach obitych zielonym linoleum weszli na mansardę. Pokój był niski i ciemny. Sufit opadał ukośnie w stronę okna zasłoniętego roletą z czarnego papieru. Na ścianie widniał plakat przedstawiający złodzieja węgla. Powyżej boazerii ktoś wymalował czerwoną farbą napis PST! Dwie bogato zdobione, zakrzywione szable wisiały nad łóżkiem obok wykonanej z brązu imitacji azteckiego bóstwa. Okrągły stół był przykryty szydełkową serwetą. Pachniało pastą do podłóg i kalafonią. Potem właściciel wyszedł i Joachim został sam. Czekał do piątej, ale nikt nie nadchodził. Przekręcił klucz w zamku, położył się w ubraniu i zasnął.

W nocy obudziło go pukanie. To przyszedł Gomes. Miał nowe wiadomości. Powiedział, że człowiek, na którego czekali, nie przyjdzie nigdy. „Nigdy” — podkreślił to słowo i spojrzał Joachimowi w oczy. Wiadomości o Ines nie były jasne. Jedno było pewne: tamtej nocy widziano ją na Stadionie. Podobno o drugiej przewieziono ją tam razem z innymi kobietami z Arcole. Najpierw umieszczono je w piwnicach Urzędu Miar i Wag. Nie było tu najgorzej. Siedziały za drucianymi przepierzeniami na stosach formularzy. Potem zjawił się pułkownik kirasjerów z czterema ludźmi. Był w srebrnym półpancerzu przepasanym liliową wstęgą. Wielki order świecił pod czerwoną szyją. Srebrne bokobrody podobne były do skrzydełek Hermesa. Wywołano kilka dziewcząt, wśród nich Ines. Na ulicy czekały furgony zaprzężone w czwórkę białych koni. Na białych plandekach z koroną widniał napis *Szpitala Królewskie*. Dziewczęta wsiadły do ostatniego pojazdu. Po kwadransie konwój w asyście błękitnych huzarów z El Huaz ruszył w stronę Arcanellos. Nie było innej możliwości — przejechali przez Mecos, dzielnicę handlową, most na rozgałęzieniu delty —

Ines musiała trafić na Stadion...

Minęły dwa dni. Joachim nie mógł już dłużej znieść beczynności. Gomes nie dawał znaku życia. Nie nadchodziły żadne nowe wiadomości. Życie na rue de Colloni stawało się nie do zniesienia. Trzeba było coś robić, żeby nie oszaleć z udręki. Dwudziestego El Toro opuścił swoją kryjówkę. Nie powiedział o niczym Gomesowi. Około południa, kiedy miasto opustoszało, zszedł do ogrodu i ruszył okrężną drogą w stronę śródmieścia. Teraz zamieszkał przy rue de Castillo, w podwórzu kamienicy pod Orłami należącej do L'abbe Astilos. Tam spotkał się z Cantherą. Przez następne dni nie dowiedział się niczego. Canthera przychodził rzadko i niewiele mówił. Taki był zawsze. Joachim nie dziwił się. Czekał cierpliwie: zmiana miejsca dała mu złudzenie aktywności. Czuł, że sprawa posuwa się naprzód, chociaż naprawdę nie robił nic. Dopiero dwudziestego trzeciego nadeszła ważna wiadomość: nareszcie trafili na właściwy trop. Canthera dotarł do człowieka z eskorty Stadionu.

Teraz nie było już żadnych wątpliwości: Ines była tam. Tamtej nocy widziano ją wśród kobiet, które przywieziono nad ranem wozami szpitalnymi. Siedziała pod wielkim żelaznym słupem, na którego szczycie zatknięto dziesiątki pochodni. Milczała. Czerwone światło oświetlało jej obnażone ramiona. Drżała z zimna. Kobiety z Dolnej Dzielnicy zaczepiały ją, ale ona nie odpowiadała. Potem zaprowadzono ją do podziemi. Kiedy ukazała się znowu, miała zsiniałe usta. Słaniała się na nogach. Na prawym przegubie miała przywiązaną tekturową tabliczkę z napisem i czerwonym numerem. Kobiety odsunęły się od niej natychmiast. Siedziała sama pod słupem patrząc szklanymi oczami w ciemność. Nad ranem dwóch huzarów, wyglądających na synów właścicieli wielkich posiadłości ziemskich na południu, rzuciło o nią los, ale kiedy przyjrzeni się jej z bliska, odeszli pospiesznie w stronę dziewcząt z Zachodniej Dzielnicy zgrupowanych po drugiej stronie Stadionu. Siedziała nieruchomo także wówczas gdy przyniesiono zupę w blaszanych miskach. Około południa wywołano ją znowu. Tym razem u wejścia do szatni stał krótko ostrzyżony mężczyzna w czarnym surducie z brylantową szpilką w klapie. Wyglądał na drobnego przemysłowca, który wraca do domu po zawarciu korzystnej umowy. Co kilka chwil przyglądał włosy. Miał wiśniowe półbuty z kozłowej skóry i granatowy fular. Był spokojny i poważny. Dwóch grenadierów podniosło Ines i poprowadziło ją w stronę żelaznych barier oddzielających teren szatni od płyty stadionu. Chwiejąc się podeszła do wejścia. Mężczyzna ujął ją

delikatnie pod ramię i ostrożnie, jakby prowadził niewidome dziecko, przeprowadził przez warty. Kirasjer stojący przy bramie przepuścił go bez jednego słowa.

Joachim zagryzł wargi: trzeba koniecznie znaleźć tego człowieka!

A więc wiedzieli kogo mają szukać. Kim jednak był ten człowiek, którego tak łatwo przepuszczono przez warty? Grenadier z eskorty Stadionu, z którym rozmawiał Canthera, nie umiał odpowiedzieć na to pytanie. Jedno było pewne: to nie był nikt z El Ebro. Nigdy go nie widziano w koszarach ani na paradach czy cotygodniowych przeglądach kawalerii na placu El Sass. Nie wiedzieli więc o nim nic, ale znali jego twarz i to było bardzo wiele. Ale ta twarz mogła pojawić się w każdym miejscu na San Juan de la Cruz! Siwawy, niski, krótko ostrzyżony, powolny, jakby ociężały, a jednak uważnie obserwujący wszystko; wąskie lekko skośne oczy, usta nieznacznie skrzywione grymasem wstrętu, tajonej wściekłości, skłonność do zastygnięcia równoczesna z dziwną sprężystością mięśni... Joachim gromadził najdrobniejsze informacje: wszystko jednak, co wiedział o tym człowieku, składało się na portret tak przerażająco banalny... To mógł być właściwie każdy. Na ulicach El Ebro widywało się tysiące takich mężczyzn. Cała więc wiedza, którą zdobyli, była tylko krzepiącym pozorem.

Przez pan; dni Canthera nie pokazywał się. Nie nadchodziły żadne nowe wiadomości. Joachim czuł, że nie potrafi odtworzyć w wyobraźni rysów człowieka w czarnym surducie. Zaczął się bać, że może nie poznać tego człowieka w chwili, gdy go spotka. To było przerażające. Rysy zacierały się coraz bardziej, pozostawał tylko upiorny obraz samego ubrania, które tamten nosił. Ale nie to było najbardziej udręczające. Najbardziej udręczała Joachima świadomość, że to samo dzieje się w jego pamięci z Ines. Zdarzały się chwile, kiedy oczami wyobraźni widział tych dwoje razem. Były to chwile, które wyzwalały w nim obląkańczą nienawiść. Widział wtedy długą pustą ulicę udekorowaną chorągwiemi, której środkiem szli, oboje w jego stronę. Czuł, że to ci dwoje, ale widział tylko poranioną w wielu miejscach suknię z białego jedwabiu, pustą w środku, która szła obok czarnego surduta. Granatowy fular powiewał w miejscu, gdzie nie było szyi. Tylko brylantowa szpilka w klapie lśniła zawsze ta samo intensywnym blaskiem — jak kropla rtęci...

Zapomniał o niebezpieczeństwie. Czuł, że musi znaleźć tego człowieka, że tylko znajdując go powstrzyma rozpad własnej pamięci. Wieczorami, kiedy zapalono gazowe latarnie, krążył ulicami

zaglądając w twarze mijanych ludzi. Powinien pozostawać w domu przy rue de Castillo i czekać na wiadomość od Canthery; wiedział to, a jednak nie potrafił się powstrzymać... Wyruszył na ulice. Boże, jak nienawidził teraz tego miasta... Szedł alejami, skręcał w nadrzeczne bulwary, zaglądał przez szybę do restauracji na Zarzeczcu... Widział tysiące twarzy... Czuł to: każda z tych twarzy mogła być twarzą tamtego człowieka... W każdej chwili mógł zostać rozpoznany, a jednak nie umiał obronić się przed narastającym szaleństwem... Odkrywał dla siebie przerażającą jednakowość ludzkich twarzy: wszystkie twarze były do siebie podobne, wszystkie były takie same... Wszystkie były twarzą tamtego... Ale chwilami myślał inaczej: że to nie są twarze, lecz maski... Że trzeba zedrzyć je i wtedy okaże się, pod którą z nich ukrywa się tamta twarz...

Czuł się bezradny. Ogarniała go bezsilna wściekłość. Nienawidził tłumów, które przepływały bulwarami nad rzeką, kłębiły się w tunelach dworca, nieruchomiały w kościołach i podrygiwały w oberżach... Przestał wierzyć, że kiedykolwiek znajdzie tamtego. Potrącany przez ludzi krążył machinalnie wciąż tymi samymi ulicami oszukując samego siebie...

Dwudziestego ósmego obudziło go gwałtowne pukanie do drzwi. Zerwał się sięgając po broń. To przyszedł Canthera. Był niespokojny. Podeszedł do okna i zza uchylonej rolety spojrzął na ulicę.

— Nareszcie mamy go.

Joachim nie odpowiedział nic. Szybko dopinał kurtkę i zaciągał pas.

— Gdzie on jest?

Ale Canthera już otwierał drzwi na korytarz.

— Szybciej! Nie możemy go zgubić!

Szybko zbiegli po schodach. Na dole czekał nieznamy mężczyzna. Canthera mówił do niego „Saechetti”. Wyszli na ulicę i skierowali się w stronę magazynów Ardena, za którymi wznosił się gmach łaźni..

— Ten człowiek miał być tutaj — Saechetti wskazał głową skośny dach kryty poczerńiałą dachówką, ciemniejący w prześwicie między wieżą kościoła a ceglany gmach magazynów Ardena.

— Trzeba przejść przez szpital.

Joachim kiwnął głową.

Tak, to była krótsza droga, poza tym ominą w ten sposób posterunek grenadierów w pobliżu parku, tam gdzie zwoje kolcza-

stego drutu przeciągniętego między kamiennymi balustradami, tworzą wąskie przejście wzdłuż ścian; lepiej trzymać się z dala od tego miejsca. Przez uchyloną bramę weszli na wielki, prostokątny dziedziniec otoczony wysokimi budynkami szpitala. Było tu cicho i pusto. Pod ścianą z oknami pomalowanymi na biało siedziała kobieta w czarnej sukni trzymając na kolanach chłopczyka z obandażowaną głową. Dziecko otwierało szeroko bladoróżowe rybie usta i zaciskało oczy z bólu. Na delikatnej odsłoniętej szyi ciemniały fioletowe plamy gencjany. Dwie zakonnice w rozłożystych kornetach przeszły przez trawnik dźwigając kosz pełen wilgotnych chust. Pochylone zbliżały się do kamiennych schodów prowadzących w stronę wielkich, oszklonych drzwi. Nad wejściem pulsował napis ułożony ze świecących czerwonych żarówek; *Szpital św. Jana od Krzyża*. W górze, na wysokim portalu z ciemnego kamienia, widniała płaskorzeźba muskularnego Dnia i harmonijnie zbudowanej Nocy — nagiej, pięknej kobiety o włosach przetykanych kłosami zboża i wiotkimi piórami araukarii trzymającej ostrożnie w palcach ostry, cieniutki półksiężyc. Sacchetti odwrócił się. Mogli iść spokojnie; nie było za nimi nikogo.

Kiedy podeszli do wybrukowanego podjazdu, otwarto drzwi i z mrocznego wnętrza wyłonili się tragarze w białych kitlach, niosący starca okrytego bawełnianą derką. Schodzili powoli po wyszlizganych stopniach, kołysząc noszami jak wielką, zieloną kołyską, w której zasnęło dziecko. Stary miał zamknięte oczy i otwartą dłońią, w której czerniał krzyżyk z cyprysowego drzewa, zasłaniał poparzoną twarz przed palącymi promieniami słońca. Kilka gołębi sfrunęło na furgon z resztkami jedzenia, stojący w głębi dziedzińca. Wozak przelewał wiadrem żółtawą breję, w której pływały kawałki kurzego mięsa i rozgotowana marchew, z kadzi stojącej pod murem kuchni do żelaznej beczki na wozie. Na bruku leżały strzępy poplamionej waty. Zbliżali się do bocznej bramy. Joachim spojrział w słońce. Gołębie przefrunęły nad nimi z łopotem.

— Jesteś pewien, że on wie, gdzie jest Ines?

Sacchetti przyspieszył. W okrągłym oknie ponad wejściem pojawiła się twarz ocieniona białą osłoną kornetu.

— Tak. Musimy być przed czwartą.

Szli teraz wzdłuż wąskiej rampy. Minęli sterty brudnej bielizny piętrzące się na żelaznych wózkach. Z okratowanych okienek pralni, czerniejących tuż nad jezdnią, buchnął zapach mydlin i wygotowanego płótna. Po drugiej stronie przejścia mleczarz ustawiał na platformie miedziane bańki, które dzwoniły uderzając

o żelazne okucia wozu. Kilku Metysów ciągnęło łańcuch podnośnika umocowanego do ściany, dźwigając w górę druciany kosz pełen węgla. Lśniące bryły rozsypane na betonowej posadzce wokół czarnego otworu zagradzały drogę. Prześlizgnęli się obok wielkiego furgonu z napisem *Szpitale Królewskie*, po czym wyszli na ulicę.

Przeszli przez jezdnię i znaleźli się przed gmachem z lśniącą ciemnoczerwonej cegły. Wielkie drzwi z czarnego lakierowanego drzewa były uchylone, w głębi połyskiwały metalicznym, żółtawym blaskiem rury, biegnąc w stronę sklepienia. Porcelanowy klosz rzucał mleczną poświatę na ściany wyłożone ciemnozielonymi kafelkami, w których odbijały się zniekształcone refleksy ulicy.

Sacchetti pchnął drzwi i weszli do środka. Mieli przed sobą korytarz, w głębi ciemniały schody, tuż za okrągłą kolumną prószycyło różnokolorowym światłem małe kwadratowe okienko. Zaczęli wchodzić w górę po stromych stopniach obrzeżonych mosiężnymi listwami. Wyślizgana poręcz z ciemnego mosiądzu połyskiwała na tle zielonej lamperii — Joachim poczuł pod wilgotnymi rozgrzanyimi palcami jej chłód. Kątem oka zobaczył zmienioną twarz Sacchetti: pociemniała, oczy zwęziły się, głęboka bruzda pojawiła się w kącikach ust. Canthera poprawił zmierzwiłone włosy i jeszcze raz wytarł ręce chustką.

Znaleźli się na górze. Było tu jaśniej. Nad nimi wznosiło się wysokie kopulaste sklepienie z okrągłymi oknami, z których sączyło się zimne białawe światło. Po mlecznych szybach chodziły powoli gołębie ale tylko nogi ptaków stąpających po szkle podobne do czarnych płetw rysowały się wyraźnie, reszta przypominała mgliste cienie ryb przesuwających się w mętnej wodzie. Joachim nie mógł oprzeć się wrażeniu, że zeszli gdzieś głęboko pod powierzchnię morza i że osuwają się cały czas coraz głębiej. Nawet posadzka drżała lekko tak, jakby gmach odpowiadał na dotknięcie głębinowych prądów sunąc w dół, w mglistą otchłań.

Byli w poczekalni. Przy stołach pokrytych białą ceratą, na których leżały stare kolorowe pisma z pejzażami Wszech-Hispanii i porcelanowe popielniczki, nie było nikogo. Na ścianie jaśniała wielka instrukcja z czerwonym ukośnym paskiem, zawieszona w czarnej lakierowanej ramce, która wygięła się pod ciężarem grubej szyby osłaniającej pożółkły papier. Olejne lamperie naśladowały sine żyłkowanie marmuru, zielone linoleum, wygięte w górę na krawędziach, było podobne do wielkiego wędnącego liścia skręcającego się w ogniu.

Canthera podszedł do okienka. W głębi siedziała tłusta kobieta o czerwonej twarzy, w jasnoróżowej sukience z falbanami wokół głębokiego dekoltu. Czarny krzyżyk w zagłębieniu piersi zakołysał się: kobieta sięgnęła do tekturowego pudełka pełnego okrągłych cieniutkich mydełek i obojętnie spojrział na przybyłych. Potem wzięła pieniądze i podała im klucze z blaszanymi numerami. Canthera dostał ósemkę, Joachim czternastkę, Sacchetti miał zająć osiemnastkę w głębi korytarza. Z płóciennymi ręcznikami w ręku poszli w stronę wahadłowych drzwi. Byli spokojni, tylko Canthera zagryzał usta. Joachim dostrzegł przez mgnienie oka jasne odbicie w głębi lustra zawieszonego tuż przy wyjściu. Spojrzał na zegar. Tak, nie spóźnili się. Była czwarta. Pchnął drzwi.

Weszli do środka. Panował tu półmrok. Na twarzach poczuli gorące tchnienie białej mgły, która pachniała mydłem i rdzą. Kłęby pary gromadziły się pod sufitem, krążąc powoli wśród żelaznych belkowań sklepienia przypominającego stare hale dworcowe na Północy. Z wąskich ostrołukowych okien zaciągniętych siatką, umieszczonych wysoko, przedostawało się do wnętrza słabe rozproszone światło. Kilka okratowanych lamp żarzyło się w górze ostrym, żółtym blaskiem, nie rozprasząc jednak cieni, które przyszarzały wznoszące się wilgotne opary. Wielkie miedziane rury wywietrznikowe o kwadratowych szerokich wylotach zwieszały się, połyskując złotawym lśnieniem wśród obłoków gorącej wilgoci. Szelest deszczu kropel i bulgotanie wody wypełniającej wanny dobiegały zza drewnianych przepierzeń pomalowanych białą farbą olejną, która łuszczyła się na krawędziach odsłaniając szarozielony podkład.

Szli środkiem przejścia po czarnej, mokrej posadzce. Po obu stronach lśniły białe drzwi kabin z okrągłymi emaliowanymi tabliczkami, na których wypisano ukośną szwabachą kolejne numery, ale koniec hali ginął w wilgotnym mroku. Zatrzymali się przy taborecie, na którym leżała nasiąkająca wilgocią płachta gazety z wielką fotografią gubernatora Wszech-Hispanii — Hugo Altendorfa. Sacchetti spojrział na papier, który zmieniał się powoli w mokrą ścierkę, pokręcił głową i poszedł w głąb przejścia. Canthera otworzył drzwi ósemki, chwilę zawahał się i spojrział na Joachima. Czuło się, że traci spokój. Joachim skinął głową, położył rękę na mosiężnej klamce czternastki i patrzył na niego przez chwilę. Stali tak nieruchomo związani uważnym spojrzeniem, potem powoli weszli do swoich kabin.

Joachim zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się po wnętrzu. W sąsiednich kabinach woda lala się z głośnym pluskiem na wy-

kafelkowaną posadzkę, spływając płatami mydlin z czyichś ramion. Przepierzenia umocowane na żelaznych prętach nie sięgały posadzki: w dole, po obu stronach, czerniały długie prześwity. Nie zobaczył tam nagich stóp, lecz ciemność. Było coraz goręcej. Czuł, jak krew przyspiesza w skroniach. Odetchnął głęboko, ale wrażenie narastającej duszności nie ustąpiło. Podszedł do pękniętego, pokrytego parą lustra i przetarł je. Zobaczył swoje odbicie zniekształcone skazami szkła. Powlókł dłonią po wilgotnych włosach: wyglądał tak, jakby miał gorączkę. Rozprostował pognieciony ręcznik i przewiesił go na zewnątrz ponad drzwiami — to był znak, że jest właśnie tutaj. Potem znowu podszedł do lustra: pod warstwą drobnutkich kropelek, które zdążyły już pokryć szkło, dostrzegł tylko mglisty zarys czyjejś twarzy, w której nie potrafił rozpoznać własnej. Patrząc wciąż w białą plamę odbicia rozpiął koszulę pod szyją.

Pozostało jeszcze kilka minut. Czekał.

Naraz zastygł nasłuchując. W kabinie po lewej zapadła cisza: woda przestała płynąć, tylko pojedyncze ciężkie krople spadały do wanny. Ktoś stał nieruchomo za przepierzeniem. Joachim machinalnie spojrzął na deski. Szukał szczelin — musiały tu być na pewno, tak było wszędzie; w garnizonowych i kolejowych latrynach, w gimnazjalnych i szpitalnych klozetach, wszędzie czyjaś ręka przebijała zasłony, a załamane oko przyciśnięte do dziury wydrapanej gwoździem czy nożem wpatrywało się w cudzą nagość. Poczul, że jest obserwowany. Na deskach czerniały nieprzyzwoite napisy i rysunki mozolnie wydrapane w zaschniętej farbie. Potworne, nieudolne wizerunki nagich kobiet nosiły na sobie rdzawe ślady przypalania papierosem. Tuż nad wanną ktoś wyciął koronę Juana Carlosa i szubienicę, ktoś inny imię „Alti” poprzedzono przekleństwem, i słowo, którego nie można było wypowiedzieć głośno.

Czuł na sobie czyjś wzrok. Zaczął powoli rozpinać guziki surduta udając, że się rozbiera, potem puścił wodę do wanny. Ale to było chyba złudzenie: niewidoczny człowiek za ścianą poruszył się, co chwila szczękała metalowa sprzączka od pasa. Wkrótce drzwi w sąsiedniej kabinie otworzyły się i miarowy odgłos kroków począł oddalać się.

Joachim przestał rozpinać ubranie. Teraz bardziej niepokoiła go druga strona. Czuł, że tam, po prawej, za świeżo odnowionym przepierzeniem nie ma nikogo, tylko woda z uszkodzonych rur przelewa się przez wannę, ale właśnie ta pustka wydała mu się niepokojącą postacią czyjejś obecności. Zakręcił kran, ostrożnie

podszedł do ścianki i spojrzał przez wąziutką, cienką jak ostrze noża, szparę.

Najpierw zobaczył tylko ciemność. W pierwszej chwili odniósł wrażenie, że to czyjeś czarne oko, które przywarło do przepiężenia z drugiej strony, zbliżone na długość rzęs do jego oka, wpatruje się w niego zasłaniając sobą wszystko. Gwałtownie cofnął głowę zaciskając powieki, porażony absurdalnym strachem, że tamten zaraz pchnie ostrym drutem prosto w źrenicę... Ale za chwilę przysunął znowu twarz do desek dziwiąc się mechaniczności własnego odruchu. Patrzył uważnie. Oczy przyzwyczajały się do ciemności powoli, z trudem odróżniając zatarte kontury, na rzęsach osiadała wilgoć, pot spływał na powieki. Kłęby pary wznosiły się co chwila przesłaniając widok. Wreszcie zaczął różniczać kształty.

Gorące opary unosiły się znad wielkiej porcelanowej wanny, której krawędzie odbijały nikle światło małej odrutowanej żarówki świecącej w górze nad kwadratowym lustrem. W głębi wąskiej kabiny wyłożonej szklistą glazurą coś poruszyło się i zniechęmiało. Joachim wyteżył wzrok. Mocno oparł się o deski przepiężenia — i syknął z bólu. Poczował lepką wilgoć na palcach. Skaleczył się o nadłamany gwóźdź sterczący ukośnie przy kranie. Nie odrywając oka od szpary przysunął dłoń do ust i wysał krew. Patrzył.

Tak, teraz widział go. W mglistej ciemności, na krawędzi wanny, pod przeciwległą ścianą kabiny, siedział nagi chłopiec i pochylony przyglądał się swojej nienaturalnie wygiętej, uniesionej w stronę oczu ręce. Grube krople wody świeciły na ciemnej skórze. Uniesione ramię parowało. Chłopiec kciukiem prawej ręki naciskał nabrzmiałą niebieskawą żyłę tak, jak to robią siostry przy pobieraniu krwi. Zwierał i rozwierał palce. Mokre, gęste, zmierzwione włosy zsunęły się mu na czoło zasłaniając oczy. Z łokcia spadały pojedyncze kropie na posadzkę. W dole, przy zaczerwienionych stopach, w zapchanym ścieku powoli kręciły się żółtawe mydliny puchnące niczym miękkie gąbczasty grzyb. Ubranie leżało porozrzucane obok drzwi. Z kranu naci wanną płynął bulgoczący wrzątek, wzburzając kłęby pary. Na białej emalii małego zlewu ciągnął się wydłużony rdzawy naciek. Obok stał taboret. Chłopiec zacisnął pięść — ramię nabrzmiało — i sięgnął prawą dłonią w stroni; półki nad lustrem. Wziął stamtąd ostry kawałek stłuczonej butelki. Szyjka obrzeżona poszarpaną krawędzią leżała pod krzesłem. Potem wbił szkło w wygięty przegub i powoli mocno przeciągnął w poprzek żyły.

Joachim odwrócił wzrok. Mdłości podplęły mu do gardła. W skroniach pojawiło się ciężkie pulsowanie. Czuł tylko wstręt - nic więcej. Sięgnął po zegarek. Czwarta siedem. Dlaczego jeszcze nie ma starego? Podeszedł do drzwi i przytknął ucho. Ale nie usłyszał niczego. Woda szeleściła bulgocząc w wannach i odpływach. Dlaczego nie przychodzi? Wyostrzył słuch. Zdawało mu się, że słyszy gdzieś w głębi budynku stukanie drewnianych trepów. A może stary nie wie o niczym? Może nie zdążyli zostawić wiadomości u Gomesa? Nie, na pewno nie, Canthera i Sacchetti twierdzili przecież, że wszystko jest załatwione. Więc dlaczego jeszcze go nie ma?

Uchylił drzwi - ale w przejściu między kabinami nie było nikogo. Stał niezdecydowany. Może to stary miał na nich czekać, może mieli pójść do niego od razu. na górę? Spojrzał w stronę ósemki: drzwi były zamknięte, ale Canthera na pewno tam był, na pewno stał teraz z ręką na klamce i nasłuchiwał każdego odgłosu. Nie widział go, ale czuł, że w każdej chwili może zrobić coś nieprzewidzianego. Nie można było dłużej czekać. Trzeba szybko dostać się na górę, do starego, może coś się zmieniło, albo — może tu wcale nie ma Hookera. Tylko żeby Canthera i Sacchetti nie ruszali się z kabin...

Otworzył drzwi i ruszył ku wyjściu zapinając surdut. Przy wahadłowych drzwiach zatrzymał się na moment. Usłyszał czyjeś głosy. Spojrzał przez szparę do poczekalni. Przy okienku otyły łysy mężczyzna w pasiastej marynarce sennie przekomarzał się z kobietą. Odpowiadała głupim śmiechem układając na parapecie brudne ręczniki. Niedostrzeżony prześliznął się za kolumną i skrzyknął na górę.

Schody były tu wąskie, poręczy nie powleczono paradnym mosiądzem. Na ścianach łuszczyły się płaty szarej farby. Przeskakiwał po kilka stopni. Im wyżej się wspinał, tym było ciemniej. Kiedy stanął pod drzwiami, znalazł się w zupełnej ciemności. Oddychał ciężko. Przepełniona koszula oblepiała plecy. Przez chwilę zdawało mu się, że gdzieś na dole słyszy głos starego. Chciał cofnąć się i zejść niżej, ale zrezygnował. Nie, zaczeka tutaj — nie powinni ich widzieć razem. Po omacku nacisnął klamkę. Drzwi nie ustąpiły. Nacisnął drugi raz. Były zamknięte. Opuścił rękę. Pod palcami wyczuł wetknięty klucz. Przekręcił zamek i otworzył drzwi. Wszedł do środka i zamknął je cicho za sobą.

Był w ciemnym pomieszczeniu o czarnych ścianach, przypominającym okrągłą wieżę. Pod wielkim, drewnianym stołem piętrzyły się kłęby pakuł, brudnych ręczników, bandaży. Na żelaznym

blacie połyskiwały niklowane narzędzia o dziwnych kształtach: szczytce z powyginanymi uchwytyami dopasowanymi do dłoni, szklane ostrza, igły osadzone na porcelanowych tulejach, cienkie świecące noże. Obok lśniły stopy mosiężnych kranów, krótkie karbowane rury, splątane, metalowe węże do pryszniców. W głębi jaśniała stojąca pionowo olbrzymia owalna wanna z odbitą emalią, przypominająca stłuczoną muszlę i pęknięta umywalka. Wszystko połyskiwało dziwną czerwienią. Nie rozumiał, skąd bierze się to światło: nie dostrzegł żadnego okna ani żadnej lampy. Ściany pokrywała jednolita czerń, sufit ginął w ciemności. Dopiero kiedy zrobił krok, zauważył w ledwie widocznym falistym zagłębieniu muru niewielki obraz: — to stamtąd bila czerwonawa poświata.

Uważnie spojrzął na żarzące się barwy.

Zobaczył przed sobą jasną sylwetkę kobiety w długiej, sięgającej do ziemi, sukience, na tle gęstej, jarzącej się ciemnoczerwonej trawy. W jej ręku świecił purpurowy falisty sztylet. Nad głową otoczoną jasnosinymi włosami krążyła kolczasta gałązka głogu, o drobnych szkarłatnych listkach. Splątane, ukośne fałdy powiewnego stroju były wymodelowane z tak zdumiewającą plastycznością, że przypominały pociętą setkami cieniutkich bruzd wypukłą powierzchnię różowego mózgu. Było w tym obrazku coś tak niepokojącego, że Joachim nie mógł od niego oderwać wzroku. Pochylił głowę i wpatrywał się w delikatne, boleśnie wyraziste linie obwodzące postać kobiety. Chciał uchwycić wszystkie, mnożące się w nieskończoność, szczegóły obrazu. Kiedy jednak zbliżył oczy do barw, kontury nagle wygięły się, zaogniły i z wnętrza sylwetki wypłynął sinoczerwony plód podobny do wielkiej rozetrwanej fasoli kołyszającej się w fioletowym, przezroczystym roz tworze. Chwilę trwał nieruchomo jak jarząca się wilgotna plama. Potem barwy załamały się, kształt cofnął się w głąb i Joachim spostrzegł, że nie ogląda obrazu, lecz mały witraż z falistych szybek połączonych ołowiem. Przysunął się tak blisko, że rzęsy dotknęły zimnej powierzchni.

Przez rubinowe szkło zobaczył pod sobą hałą łaźni.

Oparł dłoń na ołowianej krawędzi: może Hookera da się zobaczyć właśnie stąd! Ciemne opary szły w górę z kabin ciągnących się w różnych kierunkach długimi szeregami. Po prawej stronie przejścia, tuż przy drzwiach swojego przepierzenia, stał Canthera. Co chwila wstrząsał włosami pokrytymi wilgocią. Trzymał rękę na klamce. Joachim pomyślał z przerażeniem, że Canthera wyjdzie i rozminą się. Ale Canthera nie ruszył się. Szkło załamywało słabe refleksy światła. Joachim przesunął głowę: prawa część

zamglonego wnętrza utonęła w ciemnej czerwieni. Spojrzał na drugą stronę. Teraz barwy pozołkły i rozświetliły się pomarańczowo.

Zobaczył najbliższą kabinę, w dole, tuż obok wejścia. W pierwszej chwili pomyślał, że jest to ślepe pomieszczenie, bo od strony korytarza, którym przechodzili przed paroma minutami, nie było żadnych drzwi. Dopiero kiedy uniósł się na palcach, dostrzegł kwadratową, żelazną płytę w ścianie. Obok, na tle czarnej posadzki, jaśniała wanna zbryzgana ciemnoczerwonymi kroplami. Wąskie strumyki spływały po białej emalii do odratowanego otworu w dnie. Naprzeciwko wanny, na długim, prostokątnym stole z ciemnego drzewa, leżało nagie ciało mężczyzny z odrzuconą w tył głową. Usta były otwarte. Pódnadzy ludzie w gumowych fartuchach zwojami namydlonych szmat myli nienaturalnie wygięte ramiona trupa. Na jego piersiach i brzuchu czerniały małe otwory obrzeżone siną opuchlizną. Na prawym przedramieniu Joachim dostrzegł wytatuowany fioletowy numer. W kącie stał kubeł z odchodami, obok leżała zwinięta w kłęb piżama w granatowo-białe pasy i szczotka ryżowa na długim kijku.

Spojrzał teraz w głąb hali. W następnej kabinie nagi, ostrzyżony do skóry żołnierz z żelazną tabliczką na piersiach tarł nerwowo różową skórę ramion tak, jakby chciał ją zedrzeć z siebie. Dalej widać było czyjaś rudą głowę pod strumieniami wody, czyjeś ręce sięgające po czerwony ręcznik, czyjeś brudne ubranie wiszące na gwoździu...

Nie widział Saechettiego. Osiemnastka znajdowała się w głębi, po prawej stronie, tymczasem to właśnie miejsce przesłaniały nawisy mosiężnych rur wentylacyjnych z wielkimi rozszerzającymi się ku dołowi lśniącymi ryjami. Wentylatory huczały monotennie wsysając parę. Cc chwila mydliny wypływały spod przepierzeń i znikwały w długim pokrytym kratkowaniem kanale biegnącym **wzdłuż kabin.**

Ale gdzie jest Hooker? W której kabinie? Stary zawiódł, więc nie mogą nic zrobić. Przecież nie będą biegać po całej łaźni. Ogarnęła go wściekłość. Odsunął się od witraża. Co się mogło stać? Stchórzył? Był przecież bezpieczny: miał tylko wskazać drzwi i zniknąć. Gdzie jest teraz? Może synął?

Zbiegł szybko na dół. Kobieta stała tyłem do okienka i w głębi dyżurki układała kostki mydła na żelaznej półce. Prześliznął się za kolumną i wbiegł z powrotem do hali. Zawiasy zgrzytnęły, wahadłowe drzwi zakołysały się gwałtownie. Kobieta odwróciła się, ale zniknął już za mlecznymi szybami.



Podbiegł do ósemki. Zapukał. Drzwi uchyliły się.
— Wychodź. Nie ma starego.
Canthera miał twarz pokrytą białymi i różowymi plamami.
— Co robimy?
Joachim milczał. Spojrzał w głąb przejścia między kabinami.
Biegnij po Sacchettiiego.

To było jakieś wyjście. Ale co robić dalej? Wycofywać się, trać szansę? Przecież nic teraz nie mogą zrobić. A może jednak spróbować? Ale jak? Nie wiedzą, gdzie jest Hooker. A może wcale go tu nie ma? Drzwi osiemnastki otworzyły się. Canthera powiedział coś do Sacchetti'ego. Za chwilę podbiegli do Joachima.

Sacchetti zacisnął zęby.

— Stary drań!

Ale Canthera nie powtórzył tego. Patrzył uważnie na Joachima.

— Co robimy?

Stali pośrodku przejścia: w każdej chwili ktoś mógł wyjść z którejś z kabin i ktoś mógł nadejść od strony poczekalni. Musieli się spieszyć.

— Co robimy?

Widać było, że Canthera postawił wszystko na jedną kartę. Ale Joachim milczał. Spojrzał na szereg drzwi. Za którymi mógł być Hooker? Emaliowane tabliczki z numerami błyszcząły w mglistej poświacie. Wentylatory huczały pod sufitem. Odwrócił głowę w stronę wejścia.

— Ta w okienku...

Nie powiedział ani jednego słowa więcej. Zrozumieli natychmiast. Canthera ruszył w stronę wahadłowych drzwi.

— Uważajcie na schody.

Wbiegli do poczekalni. Kobieta popatrzyła zdziwiona i odłożyła nadgryzioną bułkę. Joachim stanął przy kolumnie, Sacchetti obok schodów. Potem spojrział w dół i kiwnął głową. Canthera podszedł do okienka, oparł łokieć na parapecie i hamując przyspieszony oddech zapytał:

— Gdzie jest Hooker?

Kobieta cofnęła głowę. Ten facet, który do niej mówił, wyglądał dziwnie. Lśnił potem i wilgocią, oddychał szybko, spieszył się.

— Hooker?

Powiedziała to chyba tylko po to, by zyskać na czasie. Przez chwilę patrzyła na nich w milczeniu. Wie, czy nie wie? Joachim nic ruszał się z miejsca. Sacchetti podszedł bliżej wsuwając rękę do prawej kieszeni. Nagle kobieta gwałtownie pchnęła drewnianą zasłonę okienka usiłując przetknąć zasuwę. Canthera syknął z bólu: przycięła mu palce. Sacchetti z całej siły pchnął drzwi i dostał się do dyżurki.

--- Która kabina?

Kobieta odchyliła głowę i oddychała ciężko.

— Dziewiętnastka.

Rozejrzał się.

— Gdzie masz naftę?

Nie rozumiała.

— Gdzie masz naftę?

Skinęła głową w stronę okna. Schylił się i wyciągnął zza szafy matą miedzianą bańkę.

— Idziemy.

Zobaczyli, jak Canthera wystawia zatłuszczoną kartki; z napisem „Łaźnia nieczynna” i zamyka okienko. W zwięzającej się szczelinie mignęła twarz kobiety. Siedziała nieruchomo, tępo patrząc w ścianę. Pobiegli, w stronę kabiny Hookera. W wahadłowych drzwiach minęli pomarszczonego siwego mężczyznę w białej marynarce, który pospiesznie pakował mokry wzorzysty ręcznik do teczki wypchanej żywnością. Wchodząc do środka poczuli duszące tchnienie gorąca. Oddychali z trudem. Przeskoczyli przez białą kałużę mydlin pod siedemnastką. Buty ślizgały się na czarnym okratowaniu odpływu. Sacchetti zachwiał się.

Stanęli pod drzwiami z numerem dziewiętnastym. Pierwszy miał wejść Sacchetti, za nim Joachim, Canthera miał zostać tutaj. Ale Canthery nie było. Sacchetti chwycił za klamkę i natychmiast ją puścił. Drzwi były przecież zamknięte od wewnątrz. W środku szumiała woda wlewająca się do wanny. Spojrzeli na siebie. Udawanie łącznika nie wchodziło w rachubę — Hooker mógł się na to nie nabrać. Pozostawała tylko jedna możliwość. Joachim splótł ręce i oparł się plecami o drewnianą ściankę. Sacchetti postawił stopę na jego splecionych dłoniach i błyskawicznie przerzucił się na drugą stronę. Za przepierzeniem woda zakotłowała się, ktoś wstawał z wanny, potem rozległ się głośny plusk, woda chlusnęła na podłogę. Joachim zobaczył, jak lśniąca plama wypływa spod drzwi i łączy się z pianistą kałużą pośrodku przejścia. Potem usłyszał czyjś stłumiony głos, jakieś pytanie, potem krzyk, ale krzyk umilkł, znowu pytanie... Teraz nie było słyhać nic oprócz szumu rozpryskujących się kropeł z prysznicza i dobiegającego z góry huku wentylatorów. Więc może wystarczyły pieniądze?

Drgnął. Z poczekalni dobiegł czyjś podniesiony głos.

— Jak to zamknięte?! Otwierać! Jeszcze nie ma piątej!

Ktoś walił pięścią w okienko zaryglowane przez Cantherę. Trzeba było się spieszyć.

Cisza za drzwiami przedłużała się. Co robi ten Sacchetti?! Cemu nie wychodzi? Czuł, że sekundy stają się minutami. Patrzył w napięciu w stronę poczekalni. Co się dzieje z Sacchettim?! Z kabiny nie dobiegał żaden odgłos. Co się stało? Wreszcie szcęk-

nęła zasuwka: w szczelinie ukazał się Sacchetti. Miał zsiniałe usta. Woda spływała mu z ubrania i twarzy. Wyszedł i zamknął za sobą drzwi.

Pobiegli w stronę poczekalni. Jakiś wysoki Metys tłukł pięścią w okienko. Drzwi dyżurki uchyliły się. Canthera spojrział na Joachima i Sacchettiego, potem rzucił w kierunku Metysa:

— Nie widzisz, że zamknięte?!

Wepchnęli go do dyżurki i przekręcili klucz. Szybko zeszli na dół. Mżył deszcz. Ulica była pusta. Skręcili w Aleję Pokoju, tam gdzie manufaktura Ewersa styka się z synagogą i prawym skrzydłem magazynów Ardena. Zamglone, czerwonawe słońce dotykało już wieży św. Jakuba. Szli w kierunku Zarzecza.

Usłyszeli za sobą potężną detonację. Skulili głowy. Kawałki potrzaskanego szkła sypnęły z brzękiem na jezdnię. Wielki obłok pary zmieszany z jaskrawym płomieniem buchnął w górę nad gmachem łaźni rozłamując poczerniały dach. Poszarpane płyty drucianej siatki wyleciały z okien wypchnięte podmuchem. Strzaskane dachówki zastukotały po płytach chodnika. Z wejściowych drzwi wystrzelił na ulicę kłęb białego gorąca. Czerwony, wzbierający grzyb ognia otoczony chmurą pyłu powoli wzniósł się nad wyłamanymi żebrami belkowania unosząc ze sobą płonące strzepy ręczników, bandaży i prześcieradeł, które zawirowały nad murami, zaczepiając o obłamane gzymsy i obnażone szyny sterczące ze ścian. Potem pył przesłonił wszystko.

Kiedy znaleźli się obok synagogi, Sacchetti powiedział:

— Niczego nie wyciągnąłem z Hookera.

Joachim spojrział na Cantherę. A więc wszystko na nic — nadal nie wiedzieli niczego o Ines. Biegli teraz w milczeniu przez Zachodnią Dzielnicę. Ulice pustoszały. Zamykano sklepy i restauracje. Minęli browar i wielkie stajnie kompanii przewozowej, potem przejściem obok banku doszli do bramy starego dworca. Pobiegli wzdłuż zardzewiałych torów w stronę akweduktów. Kiedy dotarli do pierwszych zabudowań gazowni, wybrukowaną drogą, wśród domów skupionych wokół okrągłej ceglanej wieży, przeleciał patrol kirasjerów. Oficer na białym koniu trzymał w dłoni długi rewolwer. Uniesiona ukośnie lufa, wyglądała jak czarny kaduceusz oplątany jadowitymi węzami. Małe skrzydełka przy stalowych hełmach połyskiwały w słońcu. Za kirasjerami pojawiła się grupa grenadierów.

Weszli w wąski zaułek między winiarnią Hectosa a arkadami. Było tu pusto. Kilka kobiet rozmawiało niespiesznie przy granitowym korycie wypełnionym wodą. Obok stały kosze z mokrą

bielizną. Nikt nie zwrócił uwagi na odległy huk. Wyminęli garnarnię, potem skręcili w boczną uliczkę i wśliznęli się na podwórze domu pod numerem 29. Przez drzwi ukryte w wapiennym murze wyjrzeni na rue de Catesso.

Wystarczył jeden rzut oka, by cofnąć się natychmiast. Pustą ulicą przemknął oddział kirasjerów w czarnych pelerynach. Fesiony z kolorowej bibułki, leżące na jezdni wśród łupin pomarańczy i kawałków potłuczonego szkła, wzniosły się w chmurze kurzu. Było to ryzykowne -- a jednak musieli iść dalej. Ruszyli więc szybkim krokiem wzdłuż wystaw. Za szklanymi taflami przeżyły się woskowe manekiny w ślubnych sukniach i ciemnozłoty cylindrach. Purpurowe winogrona jarzyły się w porcelanowych wazach. Białe torty obsypane czerwonymi truskawkami wyglądały jak zbryzgany krwią śnieg. W głębi ulicy zobaczyli konnego łącznika w mundurze błękitnych huzarów, który zakręcił gwałtownie przed gmachem poczty i popędził w stronę kościoła św. Jakuba. Nie zauważył ich. Stali w cieniu rozłożystego wiązu, blisko słupa oblepionego afiszami Opery i obwieszczeniami z królewską cyfrą. Chwilę odczekali. Potem przebiegli na drugą stronę. Dobiegając: do kamiennych schodów Joachim spostrzegł, że wszystkie okna są zasłonięte żaluzjami. Szyldy w języku aramejskim kołysały się nad pustymi ogródkami kawiarni. Miasto wyglądało jak wymarłe.

Teraz zbiegli w dół. Musieli zniknąć jak najprędzej. Od strony magazynów Ardena doleciał krótki sygnał trąbki. Odpowiedziała mu trąbka z koszar przy klasztorze. Przez wąski korytarz w strzyżonej zieleni weszli na zastawione drewnem podwórze stolarni Artesiosa. Białe pnie herbe, ułożone na żelaznych kozłach, zagrażały drodze. Prześliznęli się pod rusztowaniami tartaku. Wielka kolistka piła obracała się powoli na mosiężnej osi, tak jakby ktoś, kto przy niej pracował przed chwilą, rozpląnął się w powietrzu. Mieli tu spotkać Wegnera — ale nie było nikogo. Chwilę zawahali się, czy nie zaczekać jeszcze — ale sygnały trąbki powtórzyły się. Od strony Doków doleciał stukot kopyt. Przez miasto przejeżdżały galopem patrol Gwardii.

Nie mogli więc iść ulicami. Pozostały tylko ogrody. Uchylili żelazną furtkę za stolarnią i zeszli nad strumień obsypany wilgotnymi kwiatami aleute. Idąc wśród granitowych nagrobków pokrytych hebrajskimi napisami, minęli obelisk z czerwonego bazaltu. Na kamiennej powierzchni iglicy lśniły złote litery: „... bisogna essere volpe e leone”... Czarny bluszcz przypominał pajęczą sieć. Kilka jasnozielonych jaszczurek umknęło spod stopy Canthery.

Po przedarciu się przez gąszcz splątanych gałązek chmielu znaleźli się w ogrodach Gaetano. Należało zachować szczególną ostrożność. Strzyżone żywopłoty z bukszpanu ciągnęły się równymi rzędami pod sklepieniem grabów. Trawniki miały kształt wieloramiennych gwiazd. Szli cicho po zwirowanych ścieżkach mijając nieruchome pawie, które patrzyły na nich szklanymi oczami. Woda spływała po marmurowych stopniach kolumnady otaczającej park. Nad głowami przelatywały bezgłośnie białe gołębie. Doszli do domku myśliwskiego z czarnym belkowaniem pruskim, nad którym powiewała mała trójkątna chorągiewka o barwach Juana Carlosa. Odnaleźli ukrytą wśród bluszczu szczelinę w murze.

Mieli do przebycia już tylko ostatnią przeszkodę: od wozowni oddzielała ich gęstwina cmentarza lutoruńskiego. Ostrożnie rozsuwali zwisające gałęzie wierzb. Miejsce było niebezpieczne, bo właśnie tutaj, wbrew dekretom Hugo Altendorfa, pojedynkowali się wiele razy kadeci z VIII Korpusu. Na korze pni widniały białe drzazgi odstrzelone z wielkokalibrowego pistoletu. Zdeptana trawa świadczyła o czyjejs niedawnej obecności. Kilka łusek lśniło na piasku. Powoli przedzierali się przez wiklinę. W górze szumiały jarzębiny obsypane kiściami czerwonych jagód.

Dopiero o zmierzchu dotarli do celu. Wozownia nie była oświetlona. Canthera wszedł pierwszy. Przez chwilę szukał zapalek na skrzyni z narzędziami, potem zapalił lampę naftową. Wnętrze rozjaśniło się. Byli zmęczeni. Joachim usiadł na workach z trawą morską i oparł się plecami o ścianę. Patrzył otępiąłym wzrokiem na Sacchettiiego. Czuł narastający ból w mięśniach. Krew pulsowała w skroniach. Sacchetti ściągnął skórzaną kurtkę. Jasne włosy opadły mu na czoło. El Toro milczał przez chwilę.

— Sacchetti, co robimy?

Ale Sacchetti nie odpowiedział. Uważnie układał teraz na blacie skrzyni przedmioty wyjęte z kieszeni: magazynek Collinsa, kilka naboju, składany nóż, zwinięty kawałek stalowej taśmy... Obok tego wszystkiego położył skórzany pugilares.

— Sacchetti, co teraz robimy?...

El Toro powtórzył to takim głosem, jakby już wcale nie czekał na odpowiedź. Czuł, że stracili ostatnią szansę. Wszystko na nic. Bóg wie, kiedy trafią na następny trop. Ale Sacchetti nie zwracał na niego uwagi. Wziął do ręki pugilares i zajrzał do środka. Przez chwilę patrzył na papiery ułożone ciasno w bocznej przegródce. Potem spojrzał na Joachima.

— To są rzeczy Hookera.

El Toro drgnął. Rzeczy Hookera?!...

Wszyscy trzej pochylili się nad skrzynią. Sacchetti wysypał zawartość pugilaresu na blat. Papiery Hookera... Były to jakieś wybrudzone kartki, strzępy białej skóry z czerwonymi znakami firm garbarskich, wygniecione banknoty z wizerunkiem Juana Carlosa, jakieś rachunki (długie kolumny cyfr podkreślone czerwonym ołówkiem...), wizytówki z nazwiskami kobiet, nieprzyzwoite fotografie, przedziurawione bilety kolejowe z nazwami odległych od El Ebro stacji... Jedno tylko dziwiło: Joachim nie dostrzegł żadnego dokumentu Hookera... Nazwisko Hookera nie figurowało na żadnej kartce. Przez chwilę pomyślał, że to wcale nie są papiery Hookera... Sięgnął po blankiet rachunku: kolumny cyfr ciągnęły się przez całą kartkę... Przeleciał wzrokiem wszystkie rubryki, ale nie dostrzegł żadnego nazwiska. To samo na biletach. Żadnego śladu. Poczul się oszukany: przed chwilą miał jeszcze jakąś nadzieję, teraz ogarnęło go otepiałające zobojętnienie. Rzucił kartkę na blat skrzyni i oparł się o ścianę. Z oddalenia patrzył na Saechettię: przecież te papiery to śmiecie, z których nic nie wynika...

Ale Sacchetti nie przerywał oględzin. Co kilka chwil podnosił jakąś karteczkę czy fotografię uważnie przyglądając się barwie papieru, nadrywał krawędź, rozcierał w palcach postrzępione włókna. Joachim poczuł, że ogarnia go senność. Wszystkie wrażenia dnia zlały się w mglistą smugę obrazów, która przesuwawała się pod powiekami. Widział Saechettię w **sennym** półmroku. **Rysy** twarzy zacierały się. Płomień lampy ciemniał. Klosz przypominał drżące skrzydło białego gołębia. Sacchetti porównywał kawałki papieru, zwilżał je śliną, oglądał pod światło. Przecież to nie miało żadnego sensu... Canthera położył się na zwojach sznurów górniczych i założył ręce pod głowę. Joachim zmrużonymi oczami patrzył w ciemność. Czuł, że senność ogarnia go coraz natarczywiej.

Nagle obudziło go gwałtowne szarpnięcie za ramię. Otworzył oczy i ujrzał przed sobą twarz Saechettię. Canthera stał przy skrzyni. Oczy Saechettię dziwnie błyszcząły.

— Zobacz.

El Toro jeszcze nie rozumiał, co się stało. W pierwszej chwili spojrzął na blat: zobaczył tylko zwęglone strzępy papieru. Czy ten Sacchetti oszalał? Pali papiery Hookera? Po co?! Ale Sacchetti podsunął mu blankiet rachunku pokryty cyframi.

— Zobacz.

Teraz Joachim zaczął pojmować, do czego zmierza Sacchetti. Patrzył uważnie na jego ręce. Sacchetti uniósł ostrożnie kartkę i zbliżył ją do wylotu szklanego klosza. Kartka lekko wygięła się

w strumieniu gorącego powietrza.

— Widzisz? — zapytał Sacchetti.

Ale Joachim nie poruszył się — nie widział niczego.

— A teraz? — Sacchetti niemal dotknął samego wylotu.

Tak! Teraz Joachim dostrzegł coś, ale trwało to tylko mgnienie. Kartka nagle pociemniała i biały płomień pojawił się na jej obrzeżu. Ogień zaczął sunąć w stronę kolumny czerwonych cyfr. I wtedy właśnie, na moment, przed zwęgleniem papieru, tuż obok cyfr pojawił się niewyraźny napis! Ale Joachim nie zdążył go odczytać — trwało to zbyt krótko... Papier zmienił się w czarne płatki popiołu...

Teraz wiedzieli już czego szukać!

Sacchetti wziął do ręki jedną z fotografii i zbliżył ją do klosza. Płomienie chwyciły natychmiast lśniąca powierzchnię papieru. Sunęły szybko w górę zwęglając nagie ciało kobiety. Patrzyli w napięciu na wędrującą linię ognia, na lekkie brązowienie zdjęcia tuż przed zbliżającym się gorącym... I nagle dostrzegli, że z tła fotografii wypłynął wykaligrafowany równym pismem napis: „VILLA ISTRIS...” Potem papier rozsypał się w palcach Sacchottiego.

To mogło przecież nic nie znaczyć. Musieli mieć pewność: trzeba było sprawdzić wszystko. Podejmowali ryzyko: niszczyli przecież w ten sposób całą zdobycz. Nie pozostawał żaden ślad. Tylko garstka popiołu. Zbliżyli do ognia kartkę z wyliczeniem jedwabnych sukien, zakupionych w magazynie Da Fiori na Zarzeczu, potem spis przejazdów z El Ebro do El Huaz i z powrotem, potem cieniutki różowy karteluszek, na którym wypisano ceny srebrnych pierścionków z szafirami... Napis pojawił się znowu! Wszędzie w prawym górnym rogu czaiła się zamaskowana nazwa, którą ogień wywabiał z ukrycia...

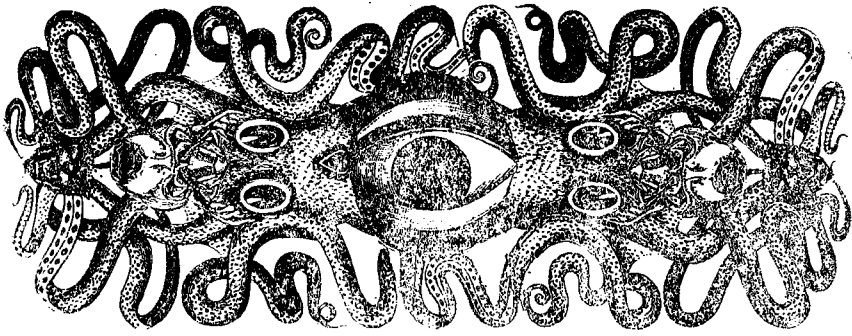
Ale co oznaczała?...

Potrzebna była mapa. Canthera wydobył z torby plan zachodnich prowincji i rozłożył go na skrzyni. Pochylili się nad siecią znaków topograficznych. Ale takiej nazwy nie było na mapie. Wyglądała na nazwę jednego z przedmieść Coreites, takiego przedmieścia jednak nie znaleźli. Szukali więc wśród osad na stokach płaskowyżu, ale natrafiali tylko na nazwy podobne. Było ich, wiele — wszystkie wyglądały na zniekształcone wersje nazwy z papierów Hookera, tak jakby ktoś chciał ukryć ich prawdziwe brzmienie. Dopiero kiedy Joachim rozłożył szczegółowy plan El Ebro, zrozumieli, co oznaczał napis wykaligrafowany angielskim pismem. VILLA ISTRIS — to była nazwa antykwarycznej firmy

znajdującej się na rue Corovallo, w pobliżu Doków. Joachim odepchnął od siebie arkusz. Płachta pokryta szachownicą domów i ulic zsunęła się na posadzkę. Ogarnęło go zniechęcenie: a więc to były po prostu firmowe papiery ze znakiem wodnym jakiegoś antykwariatu?... A zdjęcia? Widocznie ta antykwaryczna firma, z którą miał konszachty Hooker, handlowała nie tylko starodrukami i Hooker czerpał z tej znajomości niezłe dochody.

To samo powiedział Sacchetti. A więc i ten trop okazał się fałszywy. A może Hooker wcale nie był tym człowiekiem, którego szukali? Może popełnili błąd, za który drogo zapłacił Bogu ducha winny antykwariusz? Na skrzyni leżały spopielone kawałki papieru. Lampa migotała w ciszy. Milczeli. Następnego dnia jednak Joachim nie mówiąc o niczym ani Sacchettiemu, ani Cantherze wsunął za pas świeżo oczyszczonego collinsa i ruszył w stronę Doków. Około południa był na rue Corovallo.





VILLA ISTRIS

Przeskoczył przez mur. Zsunął się po pnączach obrastających kamienie i szybko przebiegł przez trawnik ocieniony rozłożystą koroną azaliowca. Zatrzymał się. Teraz powinien iść w stronę gąszczy wielkich sykomor -- tam znajduje się przejście... Już miał ruszyć dalej, gdy nagle zobaczył coś, co przeraziło go bardziej niż spotkanie z patrolem Gwardii na Rue de Sanditz: wśród fioletowych kwiatów, tuż przy ścieżce wysypanej żwirem, zaświeciła czerwono-złotym blaskiem para kolczyków.

A więc — była tu! Tak, to były kolczyki Ines, te same kolczyki, które dostała w klasztorze El Nimeiro, kiedy ukrywali się tam, czekając na wiadomość od Latarde'a... Pochylił się i szybko chwycił je drżącymi palcami. Potem ruszył w stronę domu bielejącego za ciemnozielonymi liśćmi.

Dotarł do kępy czarnego jałowca, potem przesunął się pod nawisem kolczastych gałązek obsypanych jaskrawoczerwonymi jagodami. Poczul na twarzy chłodny dotyk szklistych owoców. Przyczaił się i patrzył w głąb zieleni.

Park był pusty. Pszczoły krążyły nad czarną sadzawką w kolumnie światła. Po ostrym liściu tataraku wspinał się ślimak ciągnący za sobą pajęczą nitkę śluzu. Zza muru dolatywały odgłosy ulicy. Sprzedawcy fig nawoływali się podniesionymi głosami. Gdzieś z daleka dobiegł słaby, przytłumiony odległością i gwarem miasta krzyk kobiety. Joachim drgnął — ale nie. to nie była Ines. Nie, to nie mogła być ona... Miał przed sobą już tylko gęstą zasłonę ze spletanego bluszczu, która zwisała z konarów jak poskręcane w ogniu włosy. Podpełznął tam i ostrożnie rozsunał pnącza.

Zobaczył teraz dom — z bliska. Czarne okiennice odcinały się ostro od jaskrawej bieli ścian. Na parapecie stała niebieskawa

kryształowa karafka, przy niej kubek z ciemnego srebra. Kilka kropel czarnego płynu lśniło na krawędzi tak, jakby ktoś przed chwilą odjął usta od naczynia. Czyjś głos dobiegał z otwartego szeroko półkolistego okna.

Joachim wysunął się zza liściastej zasłony. Ostrożnie, omijając wkopane w czarną ziemię odłamy czerwonego granitu, oplecione wijącymi się lodygami o chwytnych kolcach, podpełznął pod samo okno. Kiedy znalazł się tuż pod drewnianą krzywizną parapetu, usłyszał powoli wypowiedane słowa:

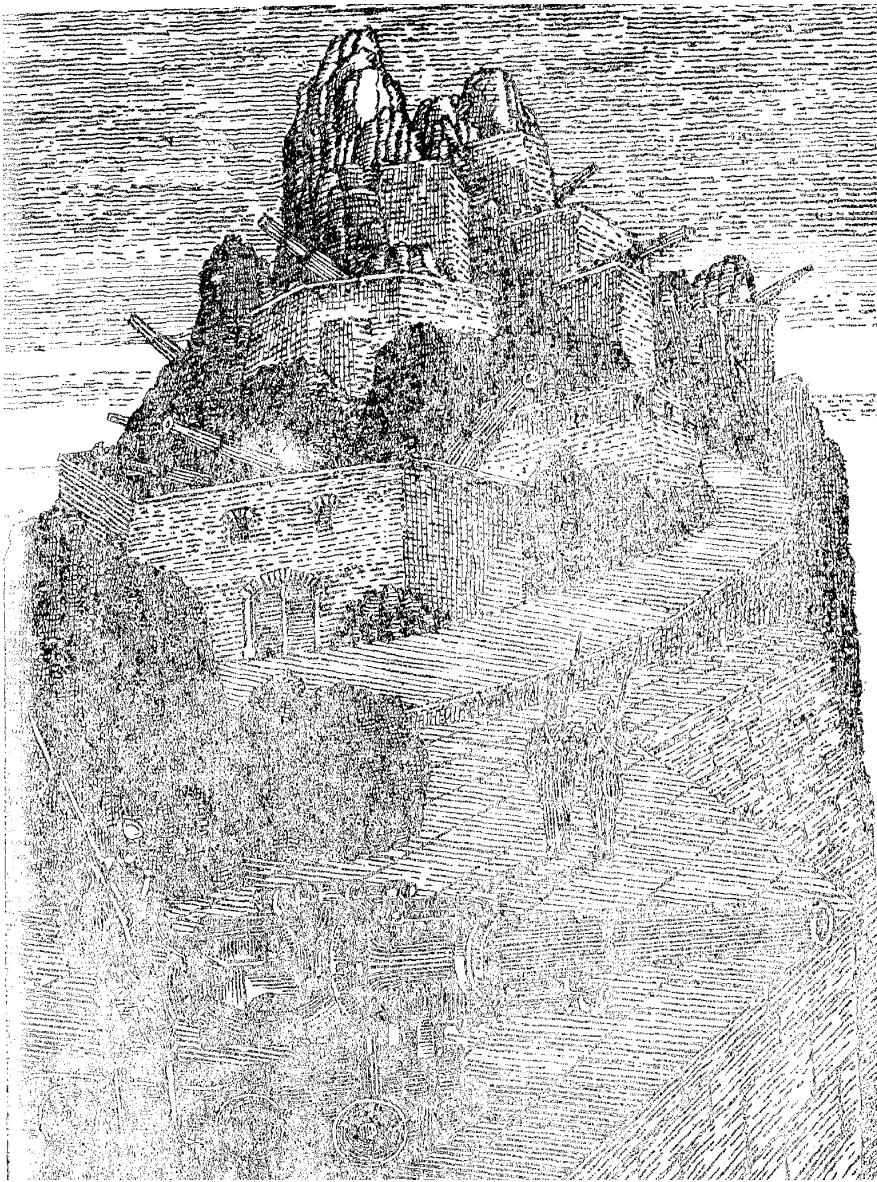
— ...winić? Czy można winić kogokolwiek, czy można winić szczególnie panią za to, co się stało i co tak zasmuciło nas wszystkich? Czyż ktoś tak młody, jak pani zdawać sobie mógł sprawę z tego, jak daleko sięgają ich ręce? Nie, to niemożliwe. To były rojenia, tak, z pewnością szlachetne, ale czyż rojenia mogą być wszystkim? I my także nie jesteśmy wolni od rojeń, tych samych rojeń, i my także marzyliśmy o innym wspanialszym życiu... Rozumiem pani marzenia — i szanuję je. Ale wiem też, i wiem to z bólem, bo rozumiem pani ból, że życie ma swoje twardo prawa, których nie możemy zmienić... A mądrość nie zawsze idzie w parze z młodością...

Nie znał tego głosu. Był to spokojny, znużony głos mężczyzny w trudnym do określenia wieku. Brzmiał tak, jakby przezroczysta, mglista smuga słów unosiła się w gorącym powietrzu i sunęła w głąb ogrodu nikać wśród zielonych cieni... Chwilę trwała cisza - z wnętrza nie dolatywał żaden szmer, białe owady krążyły bezgłośnie przy nagrzanym ścianie, koliber przeleciał nad sadzawką i usiadł na wygiętym źdźble srebrnej trawy. Potem Joachim usłyszał drugi głos. Tak, to był głos Ines.

— To nie były rojenia...

Ale głos Ines był dziwny — spowolniały i senny. Joachim zdrewniał — było w tych cichych słowach coś niesamowitego. Musiał zobaczyć ją, za wszelką cenę zobaczyć! Ostrożnie podniósł się i zajrzał do środka. W głębi pokoju zobaczył dwie postacie, ale niebieskawe rozbłyski w kryształach przesłoniły widoczność. Przesunął głowę i wtedy zobaczył wszystko.

Najpierw dostrzegł obłok — tak, to chyba był obłok, snujący się obłok tytoniowego dymu... Potem ujrzał białą koszulę, pochylone plecy, wygolony kark mężczyzny... Niżej jaśniała twarz kobiety — Joachim nie mógł rozpoznać jej rysów, zlały się w niewyraźną plamę cieni i światła. Nad czołem, które promieniowało



jakąs fosforyczną jasnością ujrzał włosy — ale włosy sterczały nienaturalnie w górę jak zbity, skręcony snop czarnego sitowia... Kobieta była nieruchoma — siedziała na krześle — i zupełnie naga. Miała zaciśnięte oczy, sinawe usta obrzeżone czarną lamówką brudu... Była podobna do Ines, ale... i niepodobna. Wszystko zawirowało mu przed oczami: przez związane na końcu włosy przechodził napięty błyszczący drut, który ginął gdzieś pod sufitem... Szyja była sztywna, grube żyły wystąpiły ponad obojczykiem, krtań powoli przesuwała się pod skórą tak, jakby kobieta

połknęła coś ostrego i teraz nie mogła tego wypluć. Mężczyzna trzymał w ręku jakiś metalowy podłużny przedmiot i powoli zbliżał go do jej brzucha.

Joachim nie widział niczego więcej: pod powiekami pojawiły się purpurowe plamy i rozbłyski. Kiedy otworzył oczy, twarz kobiety nie zmieniła się — tylko czarne źrenice były dziwnie rozszerzone... i nieruchome... Miał wrażenie, że kobieta patrzy na niego, że widzi go w oknie przed sobą, nie mógł poruszyć się, był uwięziony w tym spojrzeniu jak w szklistej kuli powietrza wypełnionej ciszą. Ale chyba go nie widziała: ten wzrok był martwy. Z kącika ust wypłynęła cieniutka nitka śliny, przezrzysta — jak woda... i spadła na odsłonięte ramię...

Ale gdzie jest Ines? Co dzieje się z Ines? Zmrużonymi oczami wpatrywał się w brązową głębię salonu wyłożonego ciemnym drewnem. Chciał ją zobaczyć, był gotowy na wszystko — tylko zobaczyć ją, choćby na chwilę... Zapomniał o ryzyku. Już nie nasłuchiwał odgłosów parku. Wszystko zlało się w kolorowy szum — wrzaski ptaków, ciężkie przeloty araukarii, krzyki różowych kolibrów, trzepoty strzegawców... — i znikło. Zanurzył się w zupełnej ciszy — chciał tylko jednego: żeby z tej pustki, z tego próżnego naczynia światła i dźwięków wynurzyła się ona — - na moment, na chwilę, na małą chwilę!

Jakaś biała wydłużona plama przesunęła się w głębi pokoju, potem nagle zaczęła zbliżać się w stronę okna, Skurczył się, schylił głowę i przylgnął do ściany. Nad sobą usłyszał lekkie brzęknięcie szkła o metal: potem płyn z bulgotem przelewał się do srebrnego kubka. Mężczyzna pił powoli — słychać było powolne przetykanie. Po chwili odstawił naczynie. Z parapetu zbiegła czerwona kropla i spłynęła po białych kamieniach ściany, tuż przy policzku Joachima, ciągnąc za sobą ciemny ślad. Mężczyzna odszedł w głąb pokoju — znowu słychać było jego spokojny, wyjąłowy głos z barwy głosu.

— To straszne, jak mało w tobie litości. Jak możesz patrzeć na jej cierpienia? Co ona tobie zawiniła? Dlaczego musi przez ciebie cierpieć? A może ty ją znasz? — w głosie mężczyzny zabrzmiało złośliwe zaciekawienie. — A może teraz mścisz się za coś, co ci kiedyś zrobiła i w głębi duszy cieszysz się tym, co tu widzisz... Znasz ją, czy nie?

— A może mam zacząć od nowa? Może o to ci chodzi?

Dopiero teraz Joachim zobaczył Ines. Stała pod ścianą, oparta plecami o szklaną bibliotekę z różowego drzewa, w której połykiwały złożone grzbiety książek. Była nieruchoma — i ołśnie-

wajaco piękna. Miała na sobie śnieżnobiałą suknię z wiotkiego jedwabiu. Jej ramiona — ciemne jak orzech herbe na początku jesieni — odcinały się od tej pienistej bieli ostro i drapieźnie. W uszach połyskiwały kolczyki z polerowanego srebra, wydłużone jak krople żywicy.

Zobaczył w jej oczach strach — taki strach widział tylko jeden raz w życiu w oczach Amelii Lantes, kiedy dowiedziała się o tym, w jaki sposób umarła jej siostra w koszarach Cortenado na Zarzeczcu. Ines nieruchomym wzrokiem patrzyła na kobietę i mechanicznie, powoli, na w pół świadomie, powtarzała:

— Nie... nie... nie...

Ale mężczyzna odłożył cygaro — popiół posypał się na ciemny dywan i wąska ręka znowu sięgnęła po dziwiły przedmiot z niklowanego żelaza.

— Masz rację, nic trzeba jej krzywdzić. Po co ma to wszystko przechodzić? Możesz jej przecież pomóc... Gdzie jest ten El Toro?

Ines drżała. Jak urzeczona patrzyła wciąż na kobietę — nie mogła oderwać od niej oczu. Joachim patrzył na wszystko skamieniały z bólu. Jego ręka spoczęła na rogowej rękojeści rewolweru — teraz kciuk powoli odsuwał zakrzywione żelazo bezpiecznika.

Mężczyzna puścił kobietę: zwisła ciężko na błyszczącej uwięzi. Odwrócił głowę w stronę Ines.

- Ona nie powie nic.

Chwilę patrzył w milczeniu.

— A wiesz dlaczego?

Ines nie poruszyła się.

— Chodź tutaj.

Rozległ się suchy szelest jedwabiu. Ines powoli przesunęła się w stronę okna. Mężczyzna kiwnął głową.

— Zobacz...

I włożył palce do ust kobiety: wierzgnęła, zaczęła szarpać głowę, ale on był silny, więc powoli rozsunał jej szczęki. Joachim nie widział teraz twarzy Ines, widział tylko ruch: cofnęła się gwałtownie. W rozwartych ustach kobiety poruszał się bezradnie siny kikut uciętego języka..

— Bo widzisz — mężczyzna patrzył na Ines — ja nie wiem, co to za kobieta. Tego nikt nie wie. Kiedyś jechałem przez Rue de Sanditz i zobaczyłem ją: miała ze sobą sześciolatniego chłopaka, razem sprzedawali jakieś paskudztwa, których do ust nie bierze nikt oprócz peonów. Więc wskazałem ją jednemu z naszych — i znalazła się tutaj. Chłopak musi sobie radzić sam. Prawda?

Potrząsnął kobietą. Ale ona patrzyła szklistymi źrenicami przed siebie. Joachim wiedział już, że go nie widzi i nie zobaczy nigdy.

— Więc — mężczyzna zwrócił się do Ines — czy mamy zaczynać wszystko od początku?

Ines powoli pokręciła przecząco głową.

— Gdzie chowa się teraz ten... El Toro?

Ale Ines kręciła głową nadal... machinalnie...

Było tak. cicho, że Joachim usłyszał monotonne uderzenia spadających kropel w zegarze wodnym stojącym gdzieś w głębi domu. Zaciskał do bólu spocną dłoń na kolbie rewolweru, ale nie mógł się ruszyć: bał się, że najmniejsze poruszenie zabije Ines. W wyobraźni usłyszał chrzesczenie żwiru pod swoimi stopami — ale to były tylko przywidzenia. Panował zupełny spokój, w parku lekki słony wiatr znad oceanu poruszył splotami czerwonego bluszczu, które jak przezroczyste zasłony falowały nad żwirowaną ścieżką.

Joachim patrzył jak zahipnotyzowany. Mężczyzna powoli zbliżał się do Ines, miał w ręku jakiś fosforyzujący kulisty przedmiot, z którego wnętrza dobiegało delikatne brzęczenie — tak jakby wirująca chmura świecących owadów była uwięziona w środku. Ines uniosła rękę, by zasłonić się przed ciosem, ale mężczyzna stanął przy niej i powolnym ruchom zbliżał jaśniejący przedmiot do jej ust. Joachim nie mógł uwierzyć w to, co zobaczył. Ines odchyliła głowę do tyłu, jej czarne włosy zsywały się na odsłonięte ramiona, i zastygła w nienaturalnej pozie: przypominała porcelanowe figury z Van Leiden, była tak samo ukwiecona jak one: na ramieniu, tam gdzie suknię spinała brosza rzucająca diamentowe rozbłyski, tkwił biały, konchowaty kwiat, który otwierał się i za mykał jak szklisty, perłowy motyl żyjący na bagnach w delcie Cami Ariel... Mężczyzna dotknął jej warg: ale w niej nie zmieniło się nic, żadnego drgnienia, popłochu, szelestu jedwabiu, nic... Chwilę nie ruszali się — przypominali owady zanurzone w zastygłym bursztynie. Światło powoli przesypywało się w stojącej kolumnie kurzu. W tej ciszy nie było niczego, czego Joachim nie znałby: jakaś dławiąca tęsknota, płacz dziecka, które wyciąga ręce do matki, wielki smutek, jaki odczuwa się, gdy pawie roztaczają swoje tęczujące ogony... Było w tym coś tak przejmującego, że powstrzymał oddech...

Dopiero za moment zauważył, że coś się niepostrzeżenie zmieniło. Na razie nie mógł zrozumieć tej zmiany, nie wiedział, gdzie jej szukać. Czuł tylko, że staje się coś dziwnego za nim, za jego plecami, gdzieś tam, poza polem widzenia... Więc nagle gwałtownie odwrócił się wyszarpując rewolwer zza pasa. W salonie trwała

niczym nie zmacona cisza. Przykucnięty tuż przy ścianie, za złodem granitu, wodził lufą po zbitym gąszczu.

Tak, w parku ktoś był: na razie nie było słycać żadnych głógów, ale coś, co przypominało gęste i lekkie uderzenia stóp na ścieżkach, jakiś nieludzki tupot, bez echa, podobny do dźwięku przesypującego się piasku w klepsydrze... Za splątanymi gałęziami muszlowca, w których bezgłośnie roily się kolibry, nie przesuwali się żaden cień, ptaki zachowywały się tak, jak zwykle, wielki czerwopomarańczowy płat astelli spłynął ze szczytu czarnozielonego krzewu... i osiadł na nieruchomej wodzie sadzawki. Ale Joachim wiedział, że coś się musiało stać: wyczuwał to całą powierzchnią skóry. Jeszcze przez moment zastanawiał się, czy nie ukryć się tutaj, gdzie był, gdzieś w załamaniu muru, wśród gęszej winorośli pokrytej teraz fioletowymi kwiatami przypominającymi chore owady. Ale nie, zerwał się nagle wiedziony nieomylnym instynktom; przeskoczył strumień, potem kępę rdzawych agaw i wśliznął się bezszelestnie w rozłożystą kopułę liści sangowca.

Ryło tu cicho, tylko moskity cięły boleśnie w odsłoniętą szyję. Patrzył teraz uważnie na biały dom, nie mógł już zobaczyć niczego w czarnej głębi okna. Przez kołyszące się listowie spoglądał na zakręt alei obsadzonej potężnymi drzewami o skręconych pniach podobnych do ciemnobrazowego stopionego wosku. Wiedział, że właśnie z tamtej strony nadejdzie niebezpieczeństwo. Uniósł broń. Był gotowy na wszystko.

Nie mylił się. Zza drzew wychylił się najpierw cień, potem drugi, za nimi dołączył trzeci. Byli to trzej mężczyźni, których Joachim nigdy przedtem nie widział: szli rozglądając się, ale tylko jeden z nich, ostatni, trzymał w ręku ciężki rewolwer systemu west-corleight. Pierwszy rozglądał się uważnie, bez cienia niepokoju; patrzył nie na zarośla, jak pozostali, lecz pod nogi. Rył to chyba Metys: czarne lśniące włosy związane w luźny węzeł opadały z tyłu na sukienny surdut. Miał wąskie, zbrązowiałe ręce.

Joachim wstrzymał oddech. Metys zatrzymał się, przyklęknął na jedno kolano i uważnie przyglądał się ścieżce. Pochylił się i lekko, rozchyłonymi palcami wodził po żwirze. Za moment, nie powstając, sięgnął do wewnętrznej kieszeni surduta i powoli wysunął z niej west-corleighta. Potem wstał i uciszającym gestem wskazał biały dom. Drugi mężczyzna przeskoczył przez strumień i zbliżył się do okna.

Był w tym samym miejscu, w którym jeszcze przed paroma chwilami znajdował się Joachim. Dopiero teraz można było zoba-

czyć, jak dziwnie jest ubrany: na grzbiecie plecionka z trzciny, okrągła, z małym wizerunkiem słońca, taka jaką noszą podczas żniw peoni znad delty, pod nią skórzany kubrak z rudymi nacięciami rytualnymi, dalej fartuch płócienny ogrodnika i łapcie z króliczych błamów — bezgłośnie, takie jakie noszą zwiadowcy z okręgu Huerta, kiedy wybierają się z małymi oddziałami grenadierów w góry.

„Ogrodnik” zapukał w parapet. Nie zaglądał do środka, stał bokiem i patrzył na Metysa. Ten kiwnął głową. Wtedy „Ogrodnik” zapukał jeszcze raz: ale z pokoju nie doleciał żaden odgłos.

— Chyba już wyszli — w głosie „Ogrodnika” czuło się ulgę.

— Zastukaj jeszcze raz — Metys opuścił rewolwer. Ale „Ogrodnik” nie zastukał — przechylił się ponad parapetem i zajrzał do środka.

— Nie ma ich.

Przez chwilę Metys stał niezdecydowany. „Ogrodnik” przelaźił z powrotem przez złomy granitu — stąpał ostrożnie, tak jakby nie chciał połamać różowych kwiatów bleso, które oplatały tu ciemniejszą od nich różowość kamienia. Rewolwer w jego rękę lśnił, co kilka chwil słońce załamywało się na wypolerowanej

Joachim nic ruszał się, patrzył uważnie poprzez gęstwinię: bicie serca, tak gwałtowne przed chwilą, spowolniało — tylko stopy wydawały się jak z ołowiu. Metys stał odwrócony do niego bokiem i węszył. Ale już nie mierzył lufą rewolweru w zarośla. Patrzył w liście po prawej stronie domu. Dwaj pozostali nie opuszczali jednak broni. Potem obrócił się powoli w stronę drzewa, w którego listowiu siał Joachim. Patrzył uważnie w ciemną gęstwinię i Joachim poczuł zimną strużkę potu na karku. Stali tak naprzeciwko siebie --- nieruchomi, oddzieleni tylko zasłoną z *liści* Ale czy Metys go widział? — Joachim nawet nie stawiał sobie tego pytania: był skamieniały z przerażenia, chciał stać się zwierzęciem, które zmienia barwy, gdy grozi mu niebezpieczeństwo, *chciał* roztopić się w *listowiu*... Owady roiły się na skórze szyi...

I wtedy stało się coś niezrozumiałego. Dwaj mężczyźni runęli na ścieżkę, Metys błyskawicznie odwrócił się w stronę *alei*. *Huknęło*. Wydłużona, niebieskawa smuga rozproszyła się w stojącym powietrzu. Metys zastygł -- na lekko ugiętych kolanach, z głową wciśniętą w ramiona, z wyciągniętymi sztywno przed siebie rękami, w których tkwił czarny połyskliwy przedmiot...

Ptactwo zerwało się trzepotliwą chmurą. Strzał był suchy, bez echa, utonął w rozgwarze miasta, ale Joachimowi wydał się po-

dobny do gromu. Słyszał jego urojone echo, które chybotliwe objęło się o liściaste ściany alej parku. Krew odpłynęła mu do stóp: nie rozumiał niczego, wiedział, wiedział to z całą pewnością jak Metys nie myślał się nigdy. Nie mógł więc zrozumieć tego, co się stało... Metys zaś z wysuniętym przed siebie rewolwerem powoli ruszył w stronę alei. Dwaj pozostali szybko zerwali się z ziemi i pobiegli w stronę, w którą celował ich szef. Ale nie biegli ścieżką, tylko przeskakiwali od drzewa do drzewa, kryjąc się za, złomami granitu i kępami krzewów. Przykucnęli za kamieniami z lufami uniesionymi na wysokość oczu. Joachim zrozumiał, że tylko teraz ma szansę!

A więc ktoś był w parku oprócz niego!

Nie zastanawiał się, kto to był. Nie zastanawiał się, dlaczego był — wiedział tylko to jedno: że tam ktoś był (przez moment pomyślał — był!), i że oni tam właśnie pobiegli, zostawiając otwartą drogę odwrotu. Fala gorąca ogarnęła mu piersi. Jak wąż wysliznął się z za przekłętego drzewa, które go ocaliło, i bezszelstnie pognął w stronę moru — pod nogami czuł tylko miękką trawę. Przemykał się pod zwieszającymi girlandami lian i bluszczu, rozsuwał kolanami giętkie trzciny ze srebrnymi pióropuszcami. Jeszcze tylko kilka kroków i już zobaczył mur z białych kamieni — na górze błyszczało tłuczone szkło butelek. Jedno podrzucenie ciała i już był na szczycie: poczuł tylko gorąco na dłoniach i prawym kolanie, ale żadnego bólu. Niosło go rozgrzano powietrze i jakiś rozdzierający, radosny spazm serca. Przerzucił się przez mur i był już po drugiej stronie.

Teraz myśli biegły gorączkowo. Miał ręce we krwi - to musiałoby zwrócić na niego uwagę, ale uliczka była pusta. Tylko dwie kobiety w czerni szły po drugiej stronie, obok domu z białej gliny, na której wielki szyld świecił żółcią i czernią. Miał ręce we krwi, ale — tak! — jeśli oni wyszli, Ines i tamten z cygarem. to przecież musieliby przejść obok niego, tą aleją, którą szedł Metys ze swoimi ludźmi... Tak, innej drogi nie było - musieliby przejść tamtędy, a potem przejść obok skalnej grotty i wyjść na tę uliczkę, na której stał teraz.

Ale ich nie było i nie przechodzili obok niego.

Więc - są jeszcze w środku? Ta myśl ugodziła go w serce. Więc uciekł zostawiając ją tam?! Wiec tylko o siebie potrafił się bać naprawdę? Poczul piekącą gorycz wstydu więc nie potrafił bardziej bać się o nią, niż o siebie samego? Było to bolesne i upokarzające, poczuł się zdeptany, niezdolny do jakiegokolwiek gestu. Stał pod muran, z za którego nie dolatywał żaden odgłos. — Może

wyszli jakimś innym wyjściem - pomyślał - ale tę myśl odrzucił natychmiast.

Nie, to niemożliwe: badał mur uważnie - - było tylko jedno wejście tu, od frontu, tam gdzie nad bramą widniał napis „Villa Istris”, wykaligrafowany starożytnymi literami. Ale myśl nie panowała już nad jego odruchami. Zaczął biec rozpaczliwie wzdłuż muru, w stronę głównej ulicy. W głębi, w prześwicie między **na**-różnymi domami widział przed sobą kilku tragarzy niosących na głowach wiązki wikliny. Dobięł do zakrętu i wbiegł na chodnik z glinianych płyt. Jakaś kobieta wyciągnęła **w** jego stronę naszyjnik z czarnych kamieni. Wyminął ją kocim ruchem, przeskoczył przez rozłożone na glinianej polepie naczynia wypełnione złotym ziarnem kukurydzy. Czuł, jak narasta w, nim szaleństwo, jakaś upajająca gorączka krwi, czuł, jak w mięśniach gra nieznana pewność, że musi to zrobić, i że to się musi udać. Biegł wzdłuż muru — ale tak, że bardziej wyczuwał, niż widział, iskrzące się rozbłyski tłuczonego szkła na szczycie. Miał ręce we krwi — ludzie ustępowali mu z drogi, kobiety żegnały się z przestachem, zagarniały ku sobie spłoszone dzieci. Słyszał tylko swój oddech, gorączkowe walenie serca — mur ciągnął się bez końca, gładki, z kamieni szczelnie przylegających do siebie. Nie było żadnego załamania, żadnego śladu zamurowanych drzwi... Biegł przed siebie — już tracił świadomość, dokąd biegnie i po co. Miejsce upajającego odurzenia zaczęła zajmować, jeszcze ledwie tylko wyczuwalna, obawa i strach, strach nie przed tym, że go złapią, ale że nie uda mu się niczego zrobić, że nie zdąży cokolwiek zrobić...

Poczuł wściekłość, która pojawiła się niespodziewanie, zatrutą wściekłość, pełną goryczy i nienawiści. Jeszcze moment, a zatrzyma się tu, wśród tych ludzi, stanie pod murem, ogłupiały, znieruchomiały, dyszący tępy, zwierzęcym zmęczeniem. Miał już wszystkiego dosyć: dopiero teraz poczuł piekący ból dłoni, jeszcze zdobył się na to, że zwinął je w pięści, potęgując cierpienie do ostateczności, ale już wychodziło z niego święte, szalone uniesienie, już porzucała go upajająca gorączka nienawiści. Stygł.

Przeleciało mu przez myśl, że przecież i tak nic się nie da zrobić, że to wszystko urojenia: cała ulica była przeciw niemu — nie myśli tych ludzi (wiedział, że są podobne do jego myśli), — ale zgoda., machinalna uległość, wszystkie te rozstawione stragany, przesuwające się wozy załadowane trzcina cukrową i workami owsa, wózki tragarzy popychane nerwowo, załadowane byle czym, starymi meblami, żelastwem, stertami kolorowych szmat. To wszystko było przeciw niemu. Więc poraziła go ta obcość — ale

biegł dalej roztrącając ludzi, przebiegając wśród dzieci grających w tang nero, biegł siłą bezwładu, jakby popychany przez powietrze, które zamykało się za nim jak wielkie, przezrocyste usta.

I nagle stanął jak wryty: coś zatrzymało go, nie wiedział, co to, przez chwilę rozglądał się bezradnie.

Obok niego ruszał właśnie furgon z wielkim napisem na drewnianej budzie. Czarno-żółte litery mignęły mu przed oczami, nie mógł niczego zrozumieć. Wóz mijał go i Joachim wiedziony jakimś niejasnym przeczuciem, spojrzął na zamykające się drzwi: nie zobaczył właściwie niczego, ktoś przyciągał do siebie mosiężną klamkę, wóz kołysał się, drzwi nie chciały się domknąć. Pojawiła się w nich ręka w białej koszuli. Ktoś chciał zamknąć budę, ale nie mógł tego zrobić.

Dalej wszystko potoczyło się tak błyskawicznie, że Joachim nie zdawał sobie sprawy z kolejności zdarzeń; podbiegł do drzwi, szarpnął za klamkę. Drzwi otworzyły się szeroko, piszcząc na zawiasach kołysały się jak bezwładne ramię. Mężczyzna w białej koszuli wypuścił klamkę, runął na plecy do środka, nie mógł wstać, wóz wjechał właśnie na okrągłe kamienie nierównego bruku, kołysał gwałtownie, przechylał się z boku na bok, furman ruszył ostro, słysząc było jego gromkie przekleństwa, którymi rozpędzał tragarzy zagradzających drogę...

Joachim wskoczył do środka i wyszarpnął zza pasa rewolwer. Wyciągnął rękę w stronę mężczyzny, ale już za chwilę skoczył pod ścianę budy — z głębi ruszył w jego stronę cień. Joachim rozpoznał znany ruch: tamten sięgał do wewnętrznej kieszeni surduta, ale wóz przechylił się nagle i Metys nie mógł utrzymać równowagi. Wtedy Joachim nacisnął spust. Nie usłyszał nawet wystrzału, tak głośno dudniły koła furgonu, zobaczył tylko oślepiający błysk — biały, sinobiały i obłok dymu, który wysunął się nagle w stronę tamtego. Metys zachwiał się, ale jego ręka nadal mocowała się z zaplątaniem surduta. Wtedy Joachim strzelił po raz drugi. Błysnęło. Właściwie nie wiedział, ile razy rewolwer szarpnął w jego rękę. Tamten tylko cofnął się w głąb, opadł na drewnianą ławkę przymocowaną do ściany i przechylił się nieznacznie, jakby szukał czegoś, co rozsypało mu się pod nogami, potem przekrzywił głowę i osunął się na podłogę.

Wszystko to trwało niewyobrażalnie długo i Joachim stracił poczucie czasu. Koła wozu dudniły, furgon huczał jak wielka dębowa beczka, w którą wali ktoś drewnianym młotem. Drzwi otwierały się i zamykały, w środku robiło się na przemian jasno i ciemno. W jednym z takich rozjaśnień Joachim odzyskał świa-

domość, że jest jeszcze drugi mężczyzna, że gdzieś tu musi być: zobaczył jasny kształt leżący na podłodze. Skierował tam łufę i na szeroko rozstawionych nogach posunął się w jego stronę. Drzwi uderzały o mosiężną framugę, szarpały się na piskliwych zawiasach. Mężczyzna nie ruszał się, leżał dziwnie skręcony. Joachim zobaczył jego świecące białka. Mężczyzna miał otwarte usta, zęby wyszczerzone jak u zabitego kota. Dopiero po dłuższej chwili Joachim usłyszał przeraźliwy świszczący krzyk.

Rzucił się w głąb wozu — i zobaczył Inos. Siedziała na drewnianej ławie za przepierzeniem z drucianej siatki, obok, na podłodze klęczała kobieta, którą Joachim widział w salonie. Ale Ines nie patrzyła na niego, nie widziała wcale ani jego, ani tego, co się działo w tylnej części furgonu, poza jej więzieniem. Patrzyła tylko na kobietę, skamieniała z przerażenia, a kobieta patrzyła na nią i były jakby skute tymi spojrzeniami. Nie widziały niczego więcej. Ines oddychała płytko, tak jakby bała się połknąć więcej powietrza. Miała tą samą białą suknię, tyle tylko — Joachim zauważył to ze zdumieniem — była obwieszona monstrualnie obfitymi wisiorami, naszyjnikami, diademami. Wszystko to rozbłyskiwało nieprawdopodobną grą światła, kiedy drzwi furgonu otwierały się i fosforyzowało zieloną poświatą, kiedy furgon pograżał się w ciemności. Kobieta trzymała ją za rękę i przekrzywiała głowę jak dziwny ptak. Kiedy Joachim dotarł do siatki przepierzenia zobaczył, że kobieta śmieje się bezgłośnie szeroko otwierając usta i pokazuje Ines pływający między zębami kikut języka. Rozpaczliwie szarpnął za druty.

— Ines!

Ale ona nie odpowiadała, wpatrzona w twarz kobiety. Wtedy całą siłą runął na druty — ale przeszkoda nie ustępowała. Zobaczył zasuwę, obok zamek, nie było czasu, by szukać klucza, więc przechylił się, zmrużył oczy i z bliska strzelił ze swojej dziewiątki w naoliwione żelazo. Posypały się zielonawe iskry — zasuwa puściła. Jednym ruchem przedostał się do Ines, chwycił ją za ramię i potrząsnął. Ale Ines nie mogła wyrwać się z pólśnu. Za to kobieta dostrzegła go i rzuciła się gwałtownie w kąt furgonu. W pierwszej chwili Joachim chciał podejść do niej, ale ważniejsza była Ines, szarpnął ją i pociągnął ku sobie. Ines bezwolnie ruszyła w stronę drzwi. Wyciągnął rękę do kobiety, głową skinął ku wyjściu, poruszył palcami takim ruchem, jakim wabi się domowe ptactwo. Kobieta przysunęła się bliżej — patrzyła uważnie, miała szeroko rozwarłe oczy i zielonawą cerę. Powtórzył ruch. Pochyliła głowę i z bardzo bliska oglądała jego otwartą dłoń. Ponaglił ją

jeszcze raz: znieruchomiał, uważnie nasłuchiwał; coś się zmieniło, koła furgonu nie dudniły już tak głośno, pudło nie kołysało tak gwałtownie, było ciszej i spokojnie. Wjechali na gładką drogę.

W tej samej chwili poczuł piekący ból — kobieta ukąsiła go w rękę i rzuciła się w kąt swojego więzienia ze szczerzym piskiem, drapała deski paznokciami, rozgarniała słomę, przesypywała ją.

Nie było już czasu.. Prowadząc Ines zbliżył się do drzwi. Wóz toczył się równo po ubitej powierzchni. Drzwi otwarte na zewnątrz kołysały się powoli, wpuszczając do środka czerwonawe światło ulicy.

Trzeba było tylko zeskoczyć w dół, by znaleźć się na wolności. Joachim chwycił mosiężną poręcz biegnącą wzdłuż framugi. Kątem oka zobaczył białą suknię Ines poplamioną rdzawymi plamami. Już miał zeskoczyć w kurz unoszący się za furgonem, gdy usłyszał w głębi wozu trzask odsuwane rygła i ostry głos:

— Czy mam jechać przez Altaro?

W suficie pojawił się kwadrat światła, w którym ciemniała głowa wozaka. Wóz zwolnił i stanął — właśnie tego Joachim, obawiał się najbardziej. Znieruchomiał w oczekiwaniu. Ines przychodziła, do siebie, wyłaniała się z ciężkiego odurzenia, wstrząsnęła głową i spoglądała w ciemność poza sobą, jeszcze nie rozumiała wszystkiego, ale też zastygła — w środku było słychać tylko gwałtowne, urywane skowytanie kobiety. Wozak pochylił się nad okienkiem.

— Kapitanie?

Nie widział pod sobą niczego — tylko mrok drewnianego pudła. Pytał z dziwnym zawieszeniem głosu: nikt mu nie odpowiadał. Zniknął na moment — Joachim usłyszał, jak złązi z kozła gruchocząc buciarą po drewnianych występach. Nie zeskoczył jednak na ziemię. Chwilę wahał się, potem zaczął się wspinać z powrotem. Kiedy znowu był na kozle, Joachim usłyszał ciężkie szurgotanie — wozak wyciągał zza swojej ławy ciężki, żelazny przedmiot. Dach furgonu zadudnił przez chwilę. Potem dało się słyszeć powolne schodzenie coraz niżej, niżej, i wozak zeskoczył na ziemię. Joachim błyskawicznie przekręcił magazynek: w czarnych otworach tkwiła już tylko jedna kula. Nie ruszał się — lufę przesunął w stronę drzwi. Ines drżała. Jej kryształowe wisior, kolczyki, diademy ściemniały. Za drewnianą ścianą wozak kroczył powoli, ciągnął buciarą po ziemi, zaczepiał czymś o furgon. Wtem zatrzymał się. Joachim wyczuł, że dzieli ich tylko narożna ściana wozu; tak, tamten zatrzymał się, nasłuchuje, czeka, czatuje...

Obie strony zastygły — tylko kobieta grzechotała w swoim

kację i rozsypywała wokół siebie żdźbła słomy, uderzając pięścią w rozdartą siatkę. Joachim w napięciu czekał na pojawienie się ciemnej sylwetki: drzwi były szeroko otwarte, kurz powoli opadał, widać już było mgliste zarysy domów oświetlonych ukośnym światłem słońca.

Cisza przedłużała się -- tamten stał nieruchomo, jakby na coś czekał.

A może odszedł dalej i czatuje na nich, aż zeskokczą z wozu?

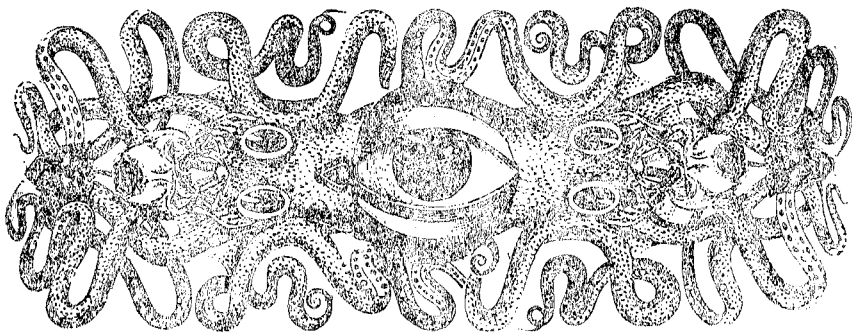
Ale nie było słychać kroków... Więc chyba jest tam ciągle... Czego on chce? Co knuje? Musi być siary — pomyślał Joachim — powłóczy nogami...

Nagle zrozumiał wszystko: wystarczyło lekko przesunąć głowę, by wiedzieć, co się stanie za chwilę. Na drodze, za wozem poruszył się cień człowieka z długim karabinem. Joachim rozpoznał bez trudu: tak, to był taki sam mauzer, grenadierów z gwardii pałacowej, ale człowiek trzymał broń dziwacznie: pochylony do przodu wyciągał przed siebie obie ręce... Cień lufy już za moment miał się zetknąć z cieniem odchylonych drzwi!

Nie było ani chwili do stracenia. Joachim wiedziony niemal zwierzęcym instynktem szybko przesunął lufę w narożnik wozu i strzelił w ścianę!... Kobieta rzuciła się gwałtownie za siatkę. Ines wyskoczyła z wozu. Zobaczył, jak biała suknia z szelestem osunęła się, a diademy rozbłysły czerwonym blaskiem zmierzchu. Skoczył za nią. Biegli teraz razem w stronę otwartej bramy wielkiego ceglanego gmachu.

Czas był najwyższy: wozak leżał obok furgonu, ale powoli sięgał po mauzer, który mu wypadł z rąk. Kiedy dobiegali cło bramy, usłyszeli tuż nad głowami suche trzaśnięcie i odłamki czerwonej cegły posypały się na włosy. Ines wbiegła do środka. Joachim zatrzymał się na chwilę i wyjrzał zza ceglanej framugi. Wozak podnosił się z trudem, powłóczył sztywniejącą nogą, ale nie wypuszczał ani na moment broni. Nie strzelał już jednak w ich stronę. Podniósł karabin w górę i oddał trzy strzały.

Joachim wiedział, co teraz nastąpi: cofnął się natychmiast w głąb podwórza. Nie był pewien, czy mu się zdawało, czy słyszał naprawdę: od strony miasta rozległ się tętent koni, który zbliżał się szybko do miejsca, w którym ranny cywil oparty o furgon z napisem *Usługi antykwaryczne* ładował do komory mauzera długie mosiężne naboje.



GRUPA POŚCIGOWA CX 18

Wbiegli do budynku. W korytarzu prześlizgneli się obok kilku wywróconych wagoników leżących na betonowej posadce, koła i osie pokryte rdzą zawałały przejście. Zatrzymali się nasłuchując, czy konie pościgu są już, blisko. Ale była cisza -- słyszeli tylko swoje przyspieszone oddechy. Ruszyli dalej wymijając zwoje czarnych łańcuchów, sterty powyginanych sztab i kłęby kabli. Dobiegli do uchylonej bramy z nitowanych płyt. Schylając głowę pod płataniną miedzianych drutów weszli do wielkiej hali z łukowatym sklepieniem przypominającym stalowe konstrukcje mostów.

Ukośne promienie słońca z półkolistych okienek pod sufitem słabo rozjaśniały ciemne wnętrza. Potężne tryby i koła zamachowe starych maszyn wznosiły się pośrodku czarnej podłogi wyłożonej karbowaną blachą. Kolumny kurzu stały w smugach czerwonego blasku. Wysoko na ścianie, ponad zatartym rysunkiem królewskiej cyfry z koroną, powoli kołysała się czarna figura Chrystusa zwisającego głową w dół z osmalonego płomieniami krzyża. Głowę Boga otaczały ostre żelazne promienie. Wzdłuż ścian biegły długie białe strzałki z napisem DO SCHRONU. Na żeliwnych podstawach maszyn widniały nadpalone plakaty z muskularnym, młodym mężczyzną dzierżącym młot. Stanęli bezradni: brama na wprost, wychodząca chyba na drugi dziedziniec — za walona górą żelastwa... okna — wysoko... żelazna drabinka idąca pod strop — zerwana ponad ceglana rampa...

To była pułapka.

Muszą natychmiast wydostać się stąd! Na dziedzińcu, w lewo od wejścia, była jakaś żelazna galeria, schody osłonięte siatką, dźwig z ogromnym napisem... Trzeba cofnąć się tam — znajdą przejście do magazynów Ardena na Hosta Molino, potem obejdą

akwedukty i znikną wśród małych domków Le Dueso. Byle tylko zdążyć!...

Cofnęli się w głąb korytarza.

Było już jednak za późno. Kiedy podchodzili do drzwi na dziedziniec, przed gmachem rozległ się stukot kopyt i brzęk kilkuset uprzęży. Wbiegli natychmiast z powrotem do hali i przyczaili się za skrzydłem uchylonej bramy. Oddział Królewskiej Konnicy wjeżdżał na teren fabryki. Konie zatrzymały się, ktoś wydawał komendy spokojnym, znudzonym głosem. Jeszcze nie było słychać kroków, ale Joachim wiedział, że huzarzy idą już przez ceglane podwórze. Za moment usłyszał:

— Czy on jest pewien, że tu weszli?

- Tak. Mówi, żeby uważać. Mają broń.

--- Fernandez, osłaniaj nas. Hero, uważaj na tamte okna. Na przód!

W tej samej chwili Joachim pochylił się i ciągnąc za sobą Ines pobiegł w głąb hali.

Błyskawicznie wyminęli rozbitą maszynę parową, prześliznęli się pod płaską belką z kołem zębatym, przebiegli obok druczianych koszy pełnych żużlu i tłuczonej kamionki... Dobięgli do półkolistej ściany. Żadnej szczeliny, żadnej dziury, żadnego zagłobienia... Ceglane kadzie, żeliwne kotły, jakieś stopnie, barierka z czarnych prętów, trzy wielkie kopuły z cegieł... i nic, nic! żadnej niszy, w której można by zniknąć!

W korytarzu rozległy się kroki.

Najpierw przebiegł tylko jeden: przeskoczył kilka metrów i przywarł do ściany z uniesionym mauzerem... Jeden skok — i cisza. Potem drugi skok — i cisza. Teraz cisza przedłużała się: huzar szykował się do ostatecznego skoku...

Nagle huknął wystrzał; zadygotały szyby, posypał się rozprysnięty tynk... Jeszcze nie było widać gwardzistów, ale Joachim czuł, że zaraz wpadną. Stał teraz bezradnie przed kopułą z żółtawej cegły, gładkiej, wynurzającej się spod posadzki jak monstrualna ogolona głowa. Wskoczył na stopień. Ines machinalnie powtórzyła jego ruch: przeszli pod barierką, okrążyli szybko ceglana wypukłość i przywarli w szczelinie, tuż przy ścianie.

Do korytarza wbiegali następni. Krótkimi skokami, po kilka kroków... Echo zwielokrotniało uderzenia podkutych butów. Atak miał nastąpić za chwilę. Joachim czuł zimną wilgoć ceglanej powierzchni. Boże, jak chciał żyć, jak bardzo chciał teraz żyć. Spojrzał na Ines. Była dziwnie senna, nieuważna, na wpół obecna... Miał wrażenie, że w ogóle go nie widzi, że trwa w przerażającym

odrętwieniu, zatopiona w sobie, obca... Nagle pod palcami wyczuł głębokie pęknięcie biegnące wśród cegieł. Machinalnie powiódł ręką w górę wzdłuż szczeliny — i fala gorąca załała mu piersi. Na szczycie kopuły znajdował się otwór — niewidoczny z dołu, okrągły otwór obwiedziony żelazną obręczą z odłamanym zawiasem...

Błyskawicznie podsadził Ines. Zsunęła się w dół jak jaszczurka; jeszcze jeden ruch i znajdowali się we wnętrzu razem...

Oddychali powoli... ostrożnie... aby nie zburzyć kruchej ciszy kryjówki. Nasłuchiwali. Wiedzieli, że za chwilę się zaczną. Najbardziej przerażała Joachima mechaniczna bezwładność tych ludzi o wytresowanych odruchach — znudzonych, i równocześnie uważnych, spowolniających i równocześnie sprężystych -- czających się tam, w korytarzu, z gwintowanym żelazem w dłoni. Nie było w nich żadnej zaciętości. Robili swoje. Tępiłi niebezpieczne robotwo, które mogło ukąsić. Był dla nich owadem. Nie spieszyli się. Mieli czas. T tak zrobią co trzeba. Wiedział, że porozumiewają się teraz między sobą krótkimi gestami: kiwnięciem głowy, przegięciem ręki... Patrzą na dowódcę, który przyczał się przy samym wejściu, i czekają na znak.

Wystrzelili. Dym prochowy buchnął do wnętrza hali. Huk był tak ostry, że Joachim drgnął jak oparzony. Serce zastygło z bólu. Nie wychylał głowy, nie patrzył, a tamci wbiegali do środka, nisko pochyleni, strzelając w biegu w stronę machin. Przeskakiwali przez sterty żelastwa, szukając dogodnej osłony za załomami ścian. Kule, sypiąc iskrami z gwizdem odbijały się od żelaznych bloków, szarpały ceglana powierzchnię murów. Parę rykoszetów trafiło w zakurzone szyby pod sufitem — rozległ się wrzaskliwy brzęk i szkło posypało się w dół...

Potem zapadła cisza. Nie widział ich, ale czuł, że czają się tam za podstawami maszyn, za stalowymi wyciągami, za przewróconymi bębnami drutu, za popękkanymi sztabami z przerdzewiałej stali... Skurczeni, przykucnięci, ze zmrużonymi oczami wyglądają ostrożnie zza swych osłon... sprawdzają skutek ostrzału... Przez chwilę ogarnęło go uczucie triumfu i upajającej bezkarności: bezgłośnie roześmiał się, wyszczerzając zęby. Z dziką, mściwą satysfakcją wyobrażał sobie ich twarze... Ale z hali nie doleciał żaden odgłos. Trwali wciąż nieruchomo wpatrując się w ciemność. Pewnie układali teraz palce na drewnie kolby szykując się do następnego skoku. Poruszony kurz wirował w smugach światła.

I wtedy z oddalonego krańca hali doleciał głos, w którym Joachim wyczuł ulgę i zniecierpliwienie.

— Ich tu nie ma. Stary nagadał głupstw.

Teraz podnosili się zza swoich osłon — powoli, niepewnie, wodząc nadal lufami po ciemnych zakamarkach wnętrza. Rozległ się szurgot butów i brzęk sprzączek umundurowania. Napięcie zelżało — ładowali karabiny, szli powoli w stronę wyjścia.

— Trzeba otoczyć Hosta Molino... tam od strony rzeki... pewnie przeszli przez mur...

Joachim zacisnął palce na dłoni Ines: byli uratowani! Teraz trzeba było tylko cierpliwie przeczekać obławę i wymknąć się w stronę miasta. Oparł głowę o ceglana ścianę i odetchnął głęboko.

Ludzie z grupy pościgowej zbliżali się do wyjścia. Podkute buty zazgrzytały na żelaznym progu. Weszli w wielkie wrota hali prowadzące na dziedziniec. Kroki zadudniły w korytarzu i poczęły się oddalać. Potem słychać było już tylko kroki ostatniego, wlokącego się na końcu żołnierza. Jeszcze zostało mu kilkanaście kroków do wyjścia... Był już coraz bliżej bramy...

— No, szybciej! Na co czekasz! Wychodź! Szybciej! Joachim szeptał przez zaciśnięte zęby nie mogąc pohamować wzbierającej radości. Żołnierz otworzył zamek mauzera i przyspieszył.

Ale rozległ się cichy metaliczny stuk i Joachim skulił głowę w ramionach. Żołnierz przystanął: to podczas ładowania nabój wysliznęła się z komory i spadł na posadzkę... — Idź dalej! Po co się schylasz?! Masz tego pełne ładownice! Zostaw to! Wychodź!... Ale żołnierz schylił się po zgubę leżącą w pyłe i pochyłony zniechęcony. Przykucnął i uważnie przyglądał się zakurzonej karbowanej blasze pod stopami.

Joachim wstrzymał oddech. Ines niczego chyba nie rozumiała, całkowicie zdając się na jego pomoc. Zastygli więc wszyscy: tamten, z mauzerem w ręku, rozglądający się dokoła, i oni, niewidoczni, uwięzieni w czarnej kryjówce. — Boże, co on robi, czemu nie wychodzi?! Żołnierz nie ruszał się — Joachim przez chwilę miał wrażenie, że tamten znikł, rozpląnął się w powietrzu. Głosy na dziedzińcu ucichły. Słychać było tylko dzwonienie wędzideł. Po chwili ciszy zabrzmiał łomot podkutych buciorów: żołnierz zerwał się i jednym skokiem dopadł korytarza. Przyczał się za żelazną framugą bramy i wysunął lufę w kierunku maszyn. Z podwórza ktoś zawołał:

— Altamiro! Gdzie się podziewasz?! Znowu jakieś akcje na własną rękę?

Ale Altamiro czaił się za framugą i nie odwracając głowy odkrzyknął:

— Chodźcie tu!

Kilku podbiegło do niego i przyczało się tuż za wrotami.

— Są?!...

Altamiro tylko skinął głową.

— Gdzie?...

Ale Altamiro nie odpowiedział; wodził wzrokiem po górach żelastwa, zwalonych maszynach, ceglanych kopułach, wiszących łańcuchach, dźwigniach, lewarach wypatrując najmniejszego ruchu, który zdradziłby ściganych...

To było straszniejsze niż cokolwiek innego. Joachim w jednym rozbłysku myśli znienawidził mroczną kryjówkę, która przyniosła ocalenie, a teraz wydała mu się ohydny więzieniem — dołem pełnym czarnej sadzy i kaleczącego żużlu. Jeszcze chwila i trafią tu! Wiedzą już, że oni tu są. Ale skąd. wiedzą? Przecież nie mogli usłyszeć szelestu sukni Ines... ani dźwięku jej kolczyków... A może usłyszeli? Może wytropił ich jakiś półkrwi Indianin, który potrafi uchwycić nawet szelest białego chico przemykającego wśród traw... Nonsens! Joachimowi wydało się, że ceglana kopuła staje się przezroczysta, że są widoczni jak muchy zamknięte w szklanym kloszu na ladzie rzeźniczego sklepu...

Nie, tamci nie mogli usłyszeć niczego. Więc jak ich odkryli?!... Więc skąd wiedzą? Siady?! Tak! Może tylko jeden, może tylko kilka?... Może nie jest to ten przekłety łańcuszek śladów, który prowadzi prosto do kryjówki... Nie, na pewno nie... Kurz leżał nierównomiernie, więc zobaczyli co najwyżej kilka śladów stopy Ines... Suknia zresztą ścierała trop... Więc jest jeszcze trochę czasu... Przypomniał sobie rozmiary hali. Będą posuwać się ostrożnie, powoli, z bronią gotową do strzału... wiedzą, że będzie się bronić... Więc jest jeszcze trochę czasu... Myślał gorączkowo: może lepiej zastygnąć, może stanie się cud i nie zauważą, może są tu jakieś inne drzwi, których nie dostrzegł i tam pobiegną sądząc, że ucieczka się udała... Już zobaczył w wyobraźni, jak przebiegają obok kopuły z odbezpieczonymi mauzerami, a Altamiro pokazuje im małe żelazne drzwiczki, gdzieś, w prawo od kryjówki, w głębi... pcha je lufą, rozwierają się z piskiem...

Ale to były majaki: wiedział, że przeszukają całą halę centymetr po centymetrze... że znajdą swój fach... że teraz nie zrezygnują... Wpadł w panikę; nie mógł powiązać myśli. Jakieś obrazy ze wspomnień przeleciały mu przez głowę: noc, wirujący ogień, smuga czerwonego słońca, płatanina lian, jadowity fioletowy motyl...

— Spokój! Spokój! Myśl! Musisz coś wymyślić! — powtarzał

mechanicznie. Ale myśli rozbiegały się, nie mógł nadążyć za ich rozbłyskami. Tylko jedna powracała uparcie jak przyspieszone echo uderzeń serca: przecież musi być stąd jakieś wyjście, przecież niemożliwe, że to już koniec! Uczepił się jej kurczowo — przesłoniła mu na moment grozę sytuacji. Musi być jakieś wyjście... Powtarzał to uparcie... I wtedy uświadomił sobie, że kłęczy na ostrych złomach żużlu... Więc jeśli tu palono... Trzeba zbadać wnętrze kopuły!... Już wyciągnął rękę w stronę przeciwległej ściany, gdy naraz cofnął ją, jakby dotknął czegoś budzącego grozę...

Jeśli ruszy się, tamci natychmiast usłyszą jego ruch! Zdradzi się! Podbiegną natychmiast... Usłyszał kroki: już rozsypywali się po hali, kryjąc się za zwalonymi maszynami... Ogarnęła go wściekłość. Wszystko jedno! Nie ma wyboru... Skoczył pod przeciwległą ścianę i przeciągnął dłońią po chropowatej powierzchni. Wyczuł pod palcami zgrubienie żużlu. Tak, powierzchnia tworzyła tu załom... Włożył tam rękę — jest! Było pusto, ręka trafiła w próżnię... Pociągnął Ines i wśliznęli się do niskiego, wąskiego tunelu...

Usłyszeli za sobą dudnienie: to Altamiro wbiegał na szczyt kopuły łomocząc buciorami. Potem rozległ się ogłuszający huk. Altamiro wsunął lufę w otwór i wystrzelił do wnętrza cały magazynek. Ale oni czołgali się już szybko w głąb. Zapach prochowego dymu dmuchnął w twarze... Tunel zakręcił i zobaczyli przed sobą nikłe światło.

Dziedziniec? Joachim zatrzymał się: jeśli tunel prowadzi na drugą stronę budynku... są straceni... Ale światło nie rozjaśniało się. Zbliżyli się do kwadratowego otworu i Joachim wychylił się na zewnątrz. Spojrzał w górę. Nad sobą zobaczył kwadratową studnię komina... Na ścianie czerniały żelazne klamry, pokryte lśniąca sadzą... W górze, w kwadratowym prześwicie, jaśniało niebo. Wokół czerniały otwory prowadzące do innych palenisk...

Dopiero to była ostateczna pułapka: jeśli zaczną się wspinać po klamrach, znajdą się ponad dachami w pustce bez wyjścia... Pozostawało tylko jedno: zsunąć się w dół... Spuścił nogi i skoczył. Zapadł się w coś grząskiego. Za chwilę skoczyła Ines... Jej suknia była w strzępach... Komin rozszerzał się u podstawy... przywarli do ściany... niewidoczni z góry. Usłyszeli odgłosy przesuwania się czegoś w tunelu. Ktoś pełzył za nimi... Tu, gdzie stali, ceglana cembrowina była popękana. Wyczuł za plecami ukośną szczelinę. Wiedział, że nie zostawią ich w spokoju.

Powoli wśliznął się do środka. Fioletowe błyski zawirowały przed oczami — nic nie widział, ciemność była tak gęsta jak opar czarnej mgły. Obejrzał się: Ines przez moment zakryła sobą wej-

ście — światło pociemniało — i zsunęła się w dół. Ujął ją pod ramię i powoli, macając stopą grunt pod sobą, zaczął zstępować niżej. Wyciągnął przed siebie drugą rękę i rozstawionymi palcami, jak ślepiec, po omacku, dotykał powietrza. Niedawna panika poruszyła ciemne złoza wyobraźni. Miał wrażenie, że każdy krok może być ostatni: jeden ruch stopą, jedno stąpienie, a wpadnie w jakąś wilgotną, oślizłą studnię, która czai się pod stopami i runie w dół, tocząc się po obłych ociekających śluzem występach. Za sobą słyszał oddech Ines. Oparła się na jego ramieniu zatopiona w półśnie. Objął ją i — stracił równowagę. Ines krzyknęła. Noga ześliznęła się z okrągłego kamienia... Kilka odłamków cegły czy skały obsunęło się z szurgotem, rozległ się szelest mokrego żwiru... Nagle szurgot urwał się i dopiero po dłuższej chwili dał się słyszeć odległy plusk — gdzieś głęboko, głęboko... Joachim wyostrzył słuch aż do bólu: wydawało mu się, że echo uderzenia rośnie, że wzbiera, że jest słyszane nawet w hali, którą zostawili za sobą... Nasłuchiwał odgłosów pełzającego za nimi człowieka.

Ale nie, nic — cisza była zupełna. Żadnego odgłosu... Więc może spróbować?... Może zejść jeszcze niżej... tu, bokiem tuż przy ścianie... Ominąć tę przekłętą studnię i zapaść się w podziemny labirynt, w którym nikt ich nigdy nie znajdzie... Wyczuwał, że ciemność, w której się zanurzali, rozgałęzia się w wielu kierunkach... Zeszli po żwirowisku i stanęli na litej skale... Mogli zrobić jeszcze kilka czy kilkadziesiąt kroków, znaleźć jakąś niszę i ukryć się tam. Co jednak zrobią, jeśli trzeba będzie iść dalej? Bez światła? Bez map?

Obejrzeliby się: wysoko w górze jaśniało mgliste światło szczeliny, przez którą weszli. Tu, w dole, panował nieprzenikniony mrok. Pod nogami wyczuli zbutwiałe drewno, przegniłe szmaty, jakieś kawałki żelaza. Próchno fosforyzowało słabym zielonym blaskiem... Szmaty pachniały smołą. Joachim odłamał szczapę i owinął ją strzępami materiału. Potem skrzesał ogień. Płomień zapałki oślepił go — krąg światła był mały, ściany pieczary, czy piwnicy, nie wyłoniły się z ciemności, zobaczył tylko własne ręce i twarz Ines; patrzyła w ogień szklanym wzrokiem. Szmaty zajęły się szybko: długie, wąskie białe płomienie szły w górę lekko pochylając się w stronę szczeliny... Cień Ines zakołysał się. Zobaczyli ściany z cegieł... ostrołukowe sklepienie... jakieś drewniane konstrukcje... beczki z pękniętymi obręczami... zwalone pod ścianą... Podłogę tworzyła lita skała idąca w dół. Z murów wylaniały się skalne występy...

Joachim zobaczył przed sobą małe, półkoliste drzwi. Schylił

się, odłamał kilka szczap, wsunął je pod pachę i poprowadził Ines w kierunku wejścia. Kiedy zanurzyli się w nisko sklepiony czarny korytarz, usłyszeli za sobą odległy głos:

— Potrzebne latarnie!

Przypieszyli. Biegli teraz po równej posadzce, omijając wyrwy wypełnione wodą o oleistym połysku. Ich wielkie, powyginane cienie skakały po ceglanych ścianach. Korytarz obniżał się, ściany były coraz bardziej popękane, stopy gruzu zawały przejście. Wreszcie ceglana powierzchnia urwała się: szli teraz wąską jaskinią o białych kamiennych ścianach.

Joachim obejrzał się: z tyłu, daleko u wylotu korytarza, pojawiły się trzy migoczące światła. Kołysały się gwałtownie.

— Pochodnia!

W pierwszym odruchu chciał wetknąć płonące drzewo w najbliższą kałużę. — Przecież widzą go jak na dłoni: wystarczy jeden strzał! Ale nie zrobił tego — spojrzął za siebie na odległe, kołyszące się cienie. Wiedział, że nie mogą mu nic zrobić: tylko szalenie strzelałby w tej podziemnej ruinie... Ines ślaniała się. Podtrzymał ją i pociągnął za sobą. Musi tu być jakieś rozgałęzienie, jakiś boczny tunel, tam znikną i zastygną w bezruchu. Może tamci przebiegną obok... zgubią ich... Ale tunel biegł prosto, nie chciał się skończyć żadnym rozgałęzieniem... Był coraz niższy... Biegli skuleni, potykając się o skały...

Naraz Joachim przeraził się: przecież to może być ślepy tunel! Biegną na oślep, a tam, głęboko przed nimi — ściana. Odrzucił panicznie tę myśl. To przejście musi dokądś prowadzić, nie budowano by korytarza donikąd! Ale wyobraźnia mnożyła majaki: ten tunel może kiedyś prowadził gdzieś, ale teraz? Teraz ściany obsunęły się... Natrafią na górę kamieni! Przyszedł mu do głowy szaleńczy pomysł: zaraz odwróci się i ruszy z powrotem w górę!

Przebić się! Roztrącić ich wszystkich i wydostać się stąd!

Ines traciła siły z każdą chwilą... Obejrzał się: światła były coraz bliżej.

Jeśli ten tunel się nie skończy, dopadną ich tutaj!

Zobaczył już ruchome cienie tamtych. Spojrzął na Ines; nie pobiegnie dalej niż sto kroków. Oddychała ostatkiem sił... Gdzie jest to rozgałęzienie?... Musi tu być jakaś szczelina... jakaś dziura... rozpadlina... Ale ściany były gładkie. Żadnej szczeliny, która obiecywałaby ocalenie. Żadnej wyrwy, żadnego załomu... Słyszał tylko dudnienie własnych stóp. Tamci byli coraz bliżej. Latarnie szczękały, nafta chlupotała w blaszanych zbiornikach... Jeszcze kilkadziesiąt kroków i dopadną ich... Jeszcze tylko kilkadziesiąt

kroków...

Nagle Ines zachwiała się i Joachim z przerażeniem zobaczył, że osuwa się na ziemię...

To już koniec...

A jednak jakaś nieznaną siłą poprowadziła rękę: wyszarpnął Collinsa i skierował lufę w stronę pościgu.

Tamci stanęli jak wryci. Cofnęli się pod ściany. Wiedzieli, że gotów jest to zrobić! Otworzyli usta i cofali się powoli w głąb tunelu. Joachim stał z wyciągniętą ręką, drugą ujął Ines. Ocknęła się i podniosła upuszczoną pochodnię. Chwiejąc się ruszyli dalej; on tyłem, z Collinsem wycelowanym w skulone postacie, ona opierająca się ciężko na jego ramieniu... Ludzie z grupy pościgowej patrzyli na niego nie wykonując żadnego gestu. Zostawali z tyłu. Oddalał się od nich powoli, stąpając uważnie, gotów na wszystko... Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że oprócz echa kroków dyszy też jeszcze inny dźwięk: głuchy, przeciągły huk, łoskot, szelest... Cofał się obserwując ścigającą go grupę — huk rósł za nim, zagłuszał jego kroki, był coraz bliżej. Nagle Joachim kątem oka zobaczył, że po obu stronach tunelu znikły kamienne ściany. Wokoło był mrok. Wszedł więc do jakiejś obszernej pieczary i zbliżał się coraz bardziej do źródła dźwięku — za plecami huczało potężniejsze echo.

Altamiro powoli podniósł się i ruszył w jego stronę; może wyczuł, że w Collinsie nie ma naboju, może szedł na szaleńcze ryzyko: wytrącić odbezpieczoną broń z ręki... Joachim zamachnął się i rzucił rewolwerem w pochyloną postać. Trafił: Altamiro skulił się, ale już po chwili biegł dalej... Latarnie zakołysały się. Żołnierze wstali i obnażyli szable: zakrzywione ostrza błysnęły w ruchliwym świetle. Pochylili je ukośnie... Joachim zasłonił sobą Ines: walczył już tylko o sekundy życia... Pojął, że wcale nie chcą brać ich żywcem... Klingi zamigotały...

Cofnął się jeszcze bardziej — wyszedł z ruchomego kręgu światła latarni. Skryć się w ciemnościach!... Zniknąć!... Choćby na chwilę!... Cofał się, patrząc w oświetlone wnętrze tunelu, z którego wynurzali się ludzie z grupy pościgowej. Huk wypełniający pieczarę oszołomił go - Joachim stanął i patrzył osłupiały na zbliżające się ognie i błyszczące ostrza... Za plecami huczała ciemność.

Ocknął się. Czując ból usłyszał rozdzierający krzyk Ines. Wcepiła się kurczowo w ramię. Tamci wynurzali się z tunelu i podchodzili półkolem. Pełgające światło rozjaśniało pieczarę. Zobaczył twarz wykrzywioną grymasem przerażenia: Ines patrzyła za sie-

bie, w dół, i krzyczała jak poparzone dziecko. Odwrócił głowę — i też tam spojrział.

W dole, pod nimi, huczała podziemna rzeka. Stali na kamiennym, wysokim nabrzeżu. Czarna, drewniana łódź, przykuta łańcuchem do skalnej ściany wynurzała się z topieli i znikiała w bryzgach piany.

Żołnierze opuścili szable i podchodzili coraz bliżej. A więc zmienili zamiar? Wezmą ich żywcem i zawloką do Twierdzy? Altamiro uniósł latarnię i przypatrywał się parze, która zastygła w rozpaczliwym uścisku. Jeszcze wołał uważać: a może len człowiek, którego ścigali, ma gdzieś ukryty nóż i nagle zada cios? Ale Joachim nie sięgał po nóż. Stał przy Ines i czuł przyspieszone bicie jej serca... Za sobą słyszał kipienie żywiołu. Woda z hukiem przelewała się pod nabrzeżem w głąb pieczary.

Poczuł niedorzeczną ulgę: a więc nie musi już biec, a więc nie musi już uciekać... Żołnierze chowali szable do skórzanych pochew. A więc to tylko więzienie... tylko więzienie... Teraz poprowadzą ich z powrotem, w górę, na dziedziniec, do żółtego furgonu... i będzie można usiąść... Myśl o możliwości **snu przesłoniła** wszystkie inne... Poczuł nawet coś w rodzaju wdzięczności do Altamiry — za schowane zakrzywione ostrza, za...

Będą bić?!!! — ta myśl przeszła go dreszczem. Mocniej objął Ines. Nie... nie... tylko zwiążą ręce... Tak, tylko zwiążą ręce... i poprowadzą w górę... jeżeli będą bić — ją?!! Nie, ten Altamiro nie wygląda na takiego...

Spojrział w twarz pół-Indianina. Altamiro podszedł blisko i przypatrywał się Ines.

Czego on chce? Dlaczego oni tak stoją? Dlaczego tak patrzą?

Poczuł, że w tym milczeniu czai się jakaś groźba i podłość... Altamiro stał przed nimi i patrzył... Joachim otworzył usta, chciał mu coś powiedzieć, coś wytłumaczyć, czemuś zaprzeczyć i wtedy tamten pchnął go z całą siłą w pierś... Zachwiali się, Ines krzyknęła i runęła na plecy, w dół, w huczącą, czarną wodę.

W ostatnim przeblysku świadomości zacisnął palce na jej przegubie. — Tylko nie dać się rozdzielić! — Woda zalała mu usta, zachłysnął się i wynurzył na powierzchnię... Ines! Czuł ją przy sobie, chwyciła go kurczowo i coś krzyczała, ale huk zagłuszył jej słowa... Skłębione fale uniosły ich w ciemność. Z zawrotną szybkością ocierali się o śliskie ściany skalne. Joachim usiłował płynąć, ale woda przerzucała ich. ciała od brzegu do brzegu... Wiry wciągały w głąb... Kilka razy zniknęli pod powierzchnią, ale prąd wyrzucił ich na wierzch, jak dwa kawałki drewna. Wpłynęli na

głębie: woda krążyła tu wielkim wirami. Zaniosiła ich pod ścianę... Joachim wyciągnął rękę, by chwycić się skalnego występu. Natrafił tylko na śliskie liszaje grzybów, które rozlazły się w palcach... Popłynęli dalej, wąskim krętym korytarzem, przerzucani gwałtownymi spiętrzeniami fal... Koryto było wyslizgane, gładkie, tylko dlatego nie odnieśli jeszcze ran... Huk zaczął słabnąć: woda szeleściła szybkim strumieniem, siejąc deszcze kropel... potem zwolniła... i zaczęła rozlewać się szerokim, ociężałym nurtem. Mogli teraz pomagać sobie ruchami rąk, osłaniać się przed uderzeniami o skalisty brzeg...

Może dopłyną... do morza?... Ta myśl wyzwoliła w nim resztkę sił. Może dopłyną do jednej z wielkich nadmorskich pieczar na wschód od portu i dostaną się do zatoki? Podtrzymywał Ines i dawał się nieść nurtowi.

Naraz wydało mu się, że widzi światło. Nie, nawet nie światło — jakąś ledwie wyczuwalną, fosforyczną poświatę... Złudzenia! Skąd tutaj światło? Ale złudzenia powtórzyły się — to światło rzeczywiście majaczyło przed nimi, dziwne i niepokojące. Prószyło w powietrzu jak srebrzysta mgła... Przy zamkniętych oczach widział je również. A więc to było wrażenie puste, zrodzone w jego mózgu porażonym przez absolutną ciemność!... Otworzył oczy — ale wrażenie nie ustępowało. Zobaczył teraz przed sobą czarny zarys wielkiej, skalnej bramy. W głębi powietrze fosforyzowało. Woda rozszerzała się przed nimi gładka i bezszelestna...

Wpływali na podziemne jezioro. Poświata stała się jaśniejsza. W oddali dostrzegł brzegi porośnięte jakimiś białymi roślinami... Wystarczyło więc podplynąć od nadbrzeżnego nawisu. Zagarnął mocniej wodę. Zaczęli płynąć w stronę sinobiałych bezlistnych, lśniących krzewów, które zwieszały się nad czarną taflą. W wielkiej ciszy donośnym echem rozlegało się każde pluśnięcie. Jeszcze jeden ruch ręką, jeszcze jeden...

Dostrzegł jednak, że dzieje się coś dziwnego: do brzegu było już niedaleko, a oni wciąż nie mogli dopłynąć. Poruszali rękami tak, jakby byli zawieszeni nieruchomo w powietrzu. I przesuwali się w lewo, równoległe do białej roślinności...

Usłyszał za sobą świst podobny do oddechu podwodnego zwierzęcia, które wyłoniło się na powierzchnię, wessało powietrze i znikło... Przyspieszył. Zagarniał teraz wodę głęboko, wpierał się w nią całą siłą ramienia. Ines starała się robić to samo. Ale nie posunęli się nawet o krok. Trwali w tym samym punkcie, który przesuwał się powoli, z przerażającą monotonią, w lewo... Byli więc uwięzieni przez jakiś kaprys głębin, która ujęła ich w wil-

gotne kleszcze i nie chciała wypuścić...

Rozejrzał się uważnie szukając miejsca, w którym jezioro odpływało ku morzu. Może to tam, w tym ciemnym zakolu, pod nawisem splątanych białych łodyg, kryje się rozgałęzienie pieczary? Może to tamtędy jezioro rusza powoli ku zatoce? Woda powinna mieć choćby ślad słonej goryczy. Oblizwał wargi. Ale nie — żadnego śladu mona, smak wapienny, mdlący, ciężki... Długi świst znowu rozległ się za plecami...

Zwierzę? Tu? W takej trupiej ciemności?

Trzeba wypatrzeć smugi na wodzie, które prowadzą w stronę ujścia... Trzeba wypatrzeć ukryty nurt, który uniesie ich ku morzu... Przeszali pomagać sobie rękami i zdali się na ruch wody. Skoro nie mogą dopłynąć do brzegu, bo nie pozwalał im na to prąd, to musi być ujście. Woda niosła ich powoli i nieubłaganie wzdłuż brzegu, zataczając szeroki łuk... To go uspokoiło: trzeba zaufać tej sile, która sama nieomylnie toruje sobie drogę w skalnym labiryncie. Ludzka przebiegłość niczego tu nie zdziała. Zastygli nieruchomo na powierzchni, woda niosła ich w ciszy.

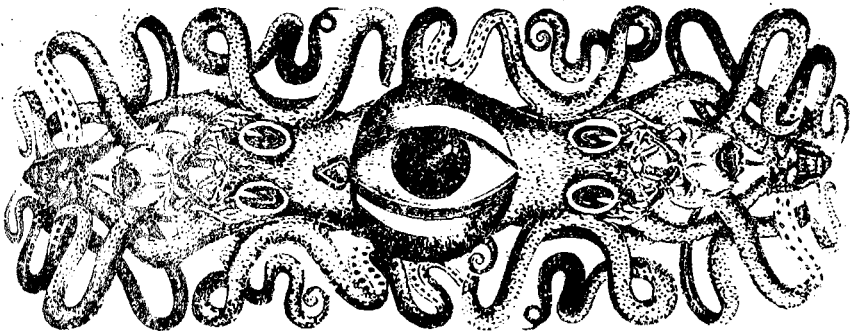
I wtedy powróciło przerażenie. Wyobraźnia wezbrała obrazami pełnymi grozy: skóra na nogach skurczyła się, czekając na ból, ukąszenie czegoś mrocznego, tajemniczego, co sunęło gdzieś głęboko pod nimi — bezkształtne, oślizłe...

Zaczęli płynąć, zagarniali wodę gwałtownie, tylko to mogło ich ocalić... Szybciej! Trzeba płynąć szybciej od nurtu, trzeba wykorzystać ruch wody, przyspieszyć. Płynęli szybko, rozpryskując krople. Ale Joachim ze zdumieniem zauważył, że mimo to oddalają się coraz bardziej od brzegu. Są coraz dalej od brzegu! Usłyszał z boku świst głośniejszy niż poprzedni i wtedy zrozumiał.

Jezioro nie miało żadnego odpływu! W głębi, na jego środku, syczał wielki, czarny lej, którym woda wpadała w dół. Dlatego nie mogli dopłynąć do brzegu: woda zataczała wielkie spiralne kręgi i sunęła ku środkowi topieli! Nurt niósł ich właśnie tam! Spróbowali zboczyć, wydostać się z ukośnej, wodnej bruzdy, która zakrzywiała się łagodnie i ginęła gdzieś daleko, w mroku. Udało się! Ale już za chwilę ujęła ich następna — tak samo powolna i nieubłagana. Spróbowali raz jeszcze: przebili się przez wydłużoną falę... ale Joachim zrozumiał, że mają przed sobą dziesiątki takich fal i nie starczy im sił. Znowu ogarnęło go senne znużenie. Będą przebijać się przez setki bruzd... aż zastygną ze zmęczenia, położą się na wodzie... i czarna krążąca masa poniesie ich w syczący dół...

Usłyszał delikatne pluśnięcie. W pierwszej chwili myślał, że to

wąska lśniąca ryba ukazała się tuż pod powierzchnią: zobaczył na wodzie cienką, połyskującą nić, która biegła w stronę brzegu. Błyskawicznie oplątał nią sobie dłoń — cienka linka wynurzyła się z wody i naprężyła ociekając kroplami. Była dziwnie giętka i sprężysta. Szarpnęło. Zatrzymali się — poczuli jak prąd opływa ich ciężką masą. Teraz podciągając się na śliskiej uwięzi poczęli pod pływać do brzegu. Przed sobą, na skalnym urwisku, wśród białych, szklistych krzewów, ujrzeli dziwną postać.



MAŁŻE

Dopływali do brzegu. Woda próbowała jeszcze oderwać ich od liny i unieść w stronę wiru, ale na próżno. Byli już coraz bliżej skalnego urwiska, które białło przed nimi. Rozróżniali już nad ciemną taflą poszczególne pnącza: wachlarzowate kiście, obrzmienia i guzy na białych liściach. Teraz płatanina przesłoniła im postać, którą zobaczyli przed chwilą. Prąd znosił ich nadal w lewo, wzdłuż brzegu. Widzieli przed sobą tylko gąszcz bladych łodyg. Podciągali się na napiętej, ociekającej wodą uwięzi, dotykając włosami zwisających gałązek. Jeszcze kilka ruchów dłoni - i znaleźli się pod nawisem. Tuż przed sobą zobaczyli pomarszczoną, pełną bruzd i wąskich wyżłobień, powierzchnię bladoloróżowej skały. Joachim dotknął kamienia. Pod palcami poczuł dziwne, drobniutkie ziarna, podobne do zamarzniętych kropeł wody. Ale to nie były krople wody; zbyt były gęste, twarde i wydłużone... Chwytał się kilku łodyg i wspiął na skałę. Kiedy był już na płaskiej płycie, pochylił się, podał rękę Ines i wciągnął ją na brzег.

Stali teraz wśród białych skręconych roślin, które porastały skałę. Właściwie — nie porastały: zauważył, że rozwidłone korzenie nie znikają w szczelinach, lecz rozpościerają się płasko na wybrzuszeniach kamienia tak, jakby pełznące zastygły tylko na moment. Ale to zauważył kątem oka. W mroku wypatrywał prze-



de wszystkim dziwnej postaci, którą przed paroma chwilami dostrzegli, a która teraz znikła.

Tutaj, pod ziemią? Kto to mógł być?

A może nie było nikogo?

Przecież biała nić, która wydała im się linką, była tylko długim sprężystym pnączem wysuwającym się z gąszczy i znikającym pod wodą.

Obejrzał się. W paru miejscach, przy brzegu, tuż pod powierzchnią, falowały białe, giętkie lodygi znikające w głębi jeziora. Więc może to wyobraźnia stworzyła tajemniczą postać, wiedzona pokusą symetrii: skoro jest lina, to musiał ją ktoś rzucić... Ale przecież lina nie była liną... To było pnącze. Śliskie, mocne pnącze jednej z tych bezbarwnych roślin, które udawały tylko, że są białe, podając fałszywą, przejrzystą, anemiczną barwę za żywą biel. Patrzył w czarną wodę: sunęła obok brzegu powoli i nieubłagane, jak wielka krążąca masa zastygłego powietrza. Białe, wąskie pasma wiły się u podnóża skał znoszone prądem.

Ines mocno ścisnęła go za ramię i ledwie dostrzegalnym ruchem głowy wskazała na głęboką niszę, otwierającą się w splątanej masie lodyg.

Spojrzał tam. W głębi ciemnego tunelu z liści i pnączy majaczył mglisty, białawy kształt. Joachim nie był pewien, czy jest to ta sama postać, którą widzieli wcześniej. Tamta wydawała się jakby większa i bardziej jasna... Stali nieruchomo. Zmrużył oczy i usiłował rozpoznać czyjeś niewyraźne rysy... ale cienie zacierające rysunek twarzy, roztopiały kontur ust, zamazywały jaśniejącą plamę szyi... Nie rozległ się nawet najmniejszy szelest. Trwali tak w bezruchu naprzeciwko siebie...

Dopiero po dłuższej chwili zrozumiał, że stoi przed nim — dziecko.

Chłopiec patrzył na nich uważnie.

Był nagi.

Joachim dostrzegł na jego skórze sine i buroczerwone plamy przypominające ubarwienie podbrzusza wielkiej traszki żyjącej w skalnych sadzawkach wypełnionych szklistą wodą siarczaną; plamy brudu czy błota... Połyskliwe gałązki i wachlarzowate kłaczka dotykały ostrymi końcami małych ramion. Wielkie oczy w kształcie liścia były nieruchome.

Chłopiec drgnął. Powoli, jakby płynął po omacku w nieprzejrzystej wodzie, odwrócił się i wszedł w mrok tunelu roślin. Cienie przesłoniły go, zniknął. Joachim spojrzał na Ines. Poszli za nim w milczeniu, schylając głowy pod niskim pułapem mokrych liści. Za sobą usłyszeli odległy świst wodnego leja.

Chłopiec szedł powoli. Widzieli przed sobą mglisty, ciemny zarys jego postaci. Zbliżyli się — szli tuż za jego plecami, widząc przed sobą czarną sylwetkę drobnego ciała. Kontur delikatnych ramion wyostrzył się. Byli coraz bliżej prześwitu jaśniejącego na końcu przejścia. Światło obrysowało ostrą linię kształt stóp i dłoni. Joachim odniósł wrażenie, że chłopiec ich nie słyszy. Dziecko

szło jak we śnie: sztywno, a równocześnie jego ręce miały w sobie jakąś niepokojąco luźną bezwładność, stopy zaś, tuż przed każdym dotknięciem ziemi, przesuwały się niespodziewanie w bok tak, jakby w ostatniej chwili zmieniały zamiar, w którym miejscu zetknąć się z chłodem skały.

Wynurzali się z cienia. Na zwisających gałązkach rozjaśniły się wydłużone, zastygłe krople. Biała poświata prószyla lekko przez prześwity wśród liści. W powietrzu kołysały się błoniaste strzępy podobno do wilgotnych pajęczyn. Kuliste zgrubienia na skręconych łodygach opalizowały mętnym blaskiem podobnym do różowego połysku muszli.

Skalna ścieżka wznosiła, się i skręcała w stronę gąszczy białych widłaków. Chłopiec powoli wyszedł z ciemności.

Wtedy Inos cofnęła się gwałtownie, nie mogąc równocześnie oderwać wzroku od tego, co zobaczyła. Fosforyczna jasność oświetliła plecy dziecka.

Joachim zdrętwiał: plamy, które wcześniej dostrzegł na jego skórze, nie były wcale plamami. Chłopiec miał skórę zupełnie przezroczystą. Przez nagą, zbyt dużą, wypukłą czaszkę, przeświecał pulsujący mózg. Zielonawe płaty płuc poruszały się ociężale za szklistymi łukami żeber. Purpurowosine serce wzbierało i gasło oplecione ciemnymi rurami tętnic, niżej pulsowały brunatne zwoje jelit... Wrzcionowate pasma mięśni miały barwę lekko przydymionego szkła... Kręgosłup przypominał perłowe ziarna różańca... W żyłach przesuwała się przezroczysta, gęsta ciecz...

Zastygli w przerażeniu i odrazie. Dziecko szło pod górę tak, jakby nie wiedziało o ich istnieniu, oddalało się coraz bardziej, wreszcie znikło w zaroślach. Nasłuchiwali. Ale nie usłyszeli żadnego odgłosu bosej stopy, tylko daleki syk wody przerywał chwilami ciszę. Zarośla były nieruchome, nie usłyszeli żadnego szelestu rozsuwanych łodyg. Nie ruszali się czekając, aż chłopiec odejdzie od nich jak najdalej.

Joachim widział wokół siebie tylko nieruchomy biały gąszcz, W górze, nad ich głowami sinoczerwone połyski mgły krążyły spiralnie jak woda jeziora, z której wyszli. Śledził ten ruch wodząc wzrokiem... Miał wrażenie, że znaleźli się pod powierzchnią, że otacza ich sunąca woda... Wstrzymał oddech: wystarczy tylko uchylić usta, by do płuc przedostała się zimna otchłań, która udaje powietrze! Wystarczy tylko zapomnieć o tym!... Starał się nie zgubić tej myśli, trzymał się jej kurczowo: Nie zapomnieć! Czuł, że zaczyna się dusić, ale dusił się wodą, która już wlewała się ustami, nosem, wypełniała źrenice. Rozwarł usta, zacisnął oczy

i połknął powietrze. Wydało mu się, że w przestrzeni suną żywe smugi wilgoci, jak śliskie węzowate ryby, które wślizgują się do ust topielców. Jeśli go ominą — jest ocalony!... Na razie ocierają się tylko o policzki, jeszcze nie trafiają...

Otworzył oczy. Zobaczył Ines, która oddychała głęboko. A więc to majaki. Powoli uspokajał się. Zrozumiał, że to wyobraźnia poruszona strasznym spotkaniem brała odwet. Teraz trzeba było za wszelką cenę zachować przytomność umysłu. Musieli iść dalej: najchętniej skręciłby w najbliższą rozpadlinę, aby ominąć wąskie przejście, w którym zniknął chłopiec. Ale to było jedyne przejście. Aby wydostać się z nadbrzeżnej gęstwiny musieli iść właśnie tędy. Ruszyli powoli, na palcach, lękając się każdego szelestu. Ale to nie był strach — to bała się sam skóra — na ramionach, plecach, brzuchu, skurczona, napięta, obawiająca się najmniejszego dotknięcia.

Skręcili w gąszcz widłaków. Szli uważnie, obserwując zarośla — Joachim pierwszy, Ines pół kroku za nim, gotowa natychmiast zacisnąć oczy, gdyby pojawił się cień. Błoniaste strzępy oblepiały im włosy. Mglisty pył osiadał ma skórze. Poczuli chłód. Rozglądali się — ale pnącza trwały w bezruchu, bardziej podobne do kryształicznych nacieków na czarnej skale niż do roślin.

Nagle coś poruszyło się w gąszczu i ciemny kształt wyśliznął się spośród łądyg dopadając Ines. Wczepił się zębami w jej odsłonięte ramię. Krzyknęła. Wokół warg chłopca przyssanych do ciała wypłynęła ciemna, lśniąca krew.

Joachim z całej siły odepchnął dziecko — i błyskawicznie cofnął dłoń: pod palcami poczuł zimny śluz. Zachwiało się nieprzytomne. Chciał zabić, rozdeptać to śliskie, plamiste ciało, odrażające, wstrętne, nie dające się z niczym porównać... Ines skryła się za nim i ściskając dłonią zranione miejsce patrzyła na dziecko błyszczącymi oczami.

Chłopiec drżał i z trudem łapał powietrze w szeroko otwarte usta.

Na szyi, w pobliżu uszu, pulsowały czerwonawe zgrubienia podobne do skrzeli... Chwiał się...

Naraz przestał oddychać i znieruchomiał. Twarz wykrzywiła mu się w grymasie strasznego bólu.

Joachim patrzył skamieniały ze zgrozy: zobaczył, jak ciemny kęs połkniętej krwi przesuwają się powoli w szklistym przewodzie pokarmowym dziecka i skurczami schodzi w stronę jelit... Chłopiec zwinął się z bólu i upadł. Jego ciałem wstrząsnęły konwulsje. Ines zamknęła oczy i odwróciła głowę. Joachim objął ją i przy-

cisnął do siebie patrząc na leżące dziecko, któremu nie mógł pomóc. Chłopiec wtulił kolana pod brodę i gryzł wargi, wykręcając głowę w bok. Purpurowosine serce skakało w nim jak żywy pelzający stwór. Płuca zaciskały się wokół zwężonej aorty... Jelita falowały targane gwałtownymi skurczami... Począł niezgrabnie czołgać się po skalnej ścieżce. Wysunął giętkie palce i szukał zaczepienia na gładkiej powierzchni... Podciągnął stopę. Przechylił się... i znowu runął... Powoli wpełził w zarośla i zniknął...

Nie mogli się ruszyć z miejsca Z daleka dobiegł świst wodnego leja wirującego w ciemności. Znowu zapadła martwa cisza. Joachim podniósł dłoń i rozstawił palce: na skórze czuł wciąż zimne dotknięcie śluzowatego ciała. Instynktownie obtarł rękę, ale lepkość nie znikła. Spojrzał w gąszcz. Zauważył, że podobnym śluzem pokryte są liście i łodygi, okrągłe zgrubienia i wypryski, że biała skała, na której stanęli, jest wilgotna i połyskuje na wybrzuszeniach muszlowym blaskiem. Krew na ramieniu Ines rozmazała się w długie smugi. Oddarł strzęp mokrej koszuli i przewiązał ranę.

Musieli uciekać. Atak mógł się w każdej chwili powtórzyć. Pobiegli w górę, prześlizgując się wąskim przejściem między skałami. Ines drżała i co chwila oglądała się za siebie. Mocniej ścisnęła jej rękę. Weszli teraz na skalną, ukośną galerię prowadzącą W mrok. Znaleźli się ponad zaroślami. Pod sobą zobaczyli gąbczasty, nieruchomy gąszcz podobny do wielkiego białego mchu obrastającego czarne wzgórze. Jezioro ginęło w ciemności.

Spojrzał w dół. W okrągłej niecce, wygniecionej wśród łodyg, ciemniało wielkie gniazdo umoszczone z białych pnączy.

Leżała w nim mlecznobiała owalna larwa.

Spod jej błoniastej powłoki przeświecał ciemny, wydłużony obły kształt. Larwa wyrzuszała się w kilku miejscach pod naciskiem wewnętrznego pulsowania — tak jakby oddychała.

Teraz zobaczyli drzenie gąszczy w pobliżu ścieżki, którą szli znad brzegu. Ciemna bruzda rozchyłała łodygi, sunęła powoli w stronę gniazda, przebijając się przez płataninę. Zatrzymywała się, grzęzła w zbitych kłębach pnączy, ruszała dalej, znikła i pojawiała się znowu. Wreszcie dotarła do skraju białego lasu. Spośród wachlarzowatych liści wypełznął chłopiec. Ostrożnie, kilkoma poruszeniami, wśliznął się do legowiska, objął rękami głowę, skulił się i znieruchomiał. Larwa oddychała. Na czarnym zboczu obok gniazda lśniły dziwne, okrągłe owoce. Spod ich skóry przeświecał czerwonawy rozwidlony rdzeń.

Ruszyli dalej. Weszli na kilka ukośnych stopni, wspinali się

coraz wyżej. Galeria zakręcała wzdłuż półkolistej pionowej ściany. Powietrze pociemniało. Połyskliwa mgła krążyła tu na wysokości oczu jak wielka obracająca się szklista tafla żywej wilgoci. Mieli wrażenie, że zbliżają się do powierzchni odwróconego jeziora, że za chwilę przebiją wodę i popłyną w górę w stronę dna... Wydłużone cienie dotykały ich ramion... Pod palcami wyciągniętych rąk wyczuli wielki, okrągły otwór w skale obrzeżony krystalicznymi naciekami. W głębi mrowiło się niewidzialne życie. Wielkie, bezszelestne fale powietrza wznosiły się i opadały w głębi, woda miała gorzki smak ognia... i unosiła miękkie ptaki...

Skalna galeria urwała się. Mogli zejść z powrotem nad jezioro, albo wejść w nieznaną ciemność. Nie zawahali się nawet przez moment: wspomnienie wiru budziło strach tak wielki, że byli gotowi na wszystko, byle tylko nie wracać.

Weszli do środka. Szli po śliskim, półkolistym dnie. Joachim znowu zobaczył dziecko — obraz chłopca pulsował wciąż pod powiekami, rósł, rozświetlał się i przygasał. Ciemność rozkołysała powietrze. Wielkie gniazdo, które widzieli przed chwilą, wzniosło się na bezszelestnej fali. Białe pnącza pociemniały, wygięły się, jakby ogarniał je przezroczysty ogień, szerniały, i zmieniły się w kolczaste gałązki głogu. Plamiste ciało dziecka wynurzyło się z cienia... Złotawy blask oświetlił małą, rozchyloną dłoń. Potem w promieniach ukazała się druga — wilgotna muszla palców — stulona jak biały kwiat. Ramiona chłopca miały barwę różowego nieba, były podobne do ramion dziewczyny, która zasypia w trawie pod wielkim drzewem z czerwonymi liśćmi. Na cienkich przegubach otworzyły się dwie przezroczyste rany... Czarne strzały z pierzastymi lotkami rozcięły powietrze, utkwili w piersiach, zniknęły pod skórą i rozpląnęły się w rozjaśnionej głębi płuc jak krople sepii w przezroczystej wodzie... Wąziutkie kłaczka czerwonych traw przebiły stopy... Od białych mięśni oddzieliła się lśniąca skóra i zsuwała się po ramionach, piersiach i brzuchu płatami podobnymi do srebrzystych półpancerzy. Ostra włócznia weszła w bok dziecka. Twarz chłopca pociemniała... rozjarzyły się źrenice... giętkie palce drgnęły... Z rany na piersiach, wąskiej jak ukośny liść, wypłynęła podłużna, ciężka kropla ciemnoczerwonej krwi.

Przed sobą, w głębi półkolistego przejścia zobaczyli światło. Niebieskawy blask wśliznął się do ciężkiego snu i rozproszył pulsujące obrazy. Potykając się na obłych występach szli w stronę szczeliny świecącej wysoko pod poszarpanym stropem. Tunel rozszerzał się. Weszli do olbrzymiej pieczary. W smudze nikłego bla-

sku migotały złomy kryształów: grube, szkliste pryzmaty wrastały w skamieniałe drewno przewróconych lawet, pokrywały wyloty luf odlanych z brązu, wżerały się w popękane żelazo półpancerzy. Pochylone skrzydła samolotów majaczyły za ciężkimi nawisami pajęczyn jak za plamistymi siatkami ochronnymi... Ciemnozielone, postrzelane kopuły ze skośnymi źrenicami strzelnic wysuwały się zza nitowanych blach podziurawionych odłamkami... Pod sklepieniem trwały nieruchomo, jak wielkie szare larwy, olbrzymie balony zaporowe. Stalowe liny zwieszały się ze sterów jak poczerńiałe pnącza. Światło prószło smugami między lianami z żelaza.

Szli teraz szybko po kamiennych blokach wspinając się w stronę szczeliny. Minęli rumowisko falistej blachy, torpedy oplątane białymi żyłami kabli, wielkie, okrągłe miny pokryte guzami zapalników. Czarne mundury leżały na dnie nieruchomych sadzawek pełnych szklistej czerwonej wody. Kiedy kilka kamieni osunęło się, srebrne naszywki zakołysały się pod powierzchnią jak martwe ryby. Wypalone mosiężne gilzy świeciły wśród zwalów poczerńiałych bandaży. Przeszli obok szczeliny wypełnionej wodą. Na dnie leżały płachty nadpalonych map i rozsypane fotografie nagich kobiet. Nogi grzęzły w wilgotnych warstwach butwiejących ulotek i gazet z wielkimi czerwonymi nadrukami. Kłęby żółtej waty *nasyconej jodyną* przylepiały się do butów. Gumowe maski z zażółconymi szklami wysypywały się z przewróconych skrzyń... Śliskie kombinezony ociekały wodą płynącą ze ścian. Przerdzewiałe łańcuchy tonęły w zbutwiałym brezencie. Wszystko pokrywała czarna, cuchnąca trawa morska...

Podeszli do szczeliny wypełnionej światłem. Przecisnęli się przez wąskie przejście i wydostali na zewnątrz.

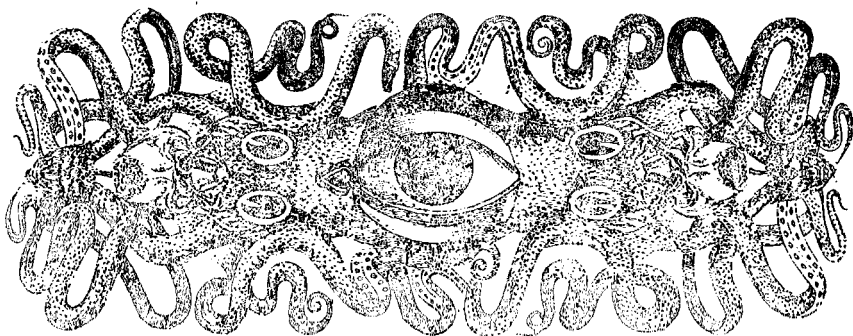
Gorące powietrze dotknęło ich twarzy. Zmrużyli oczy. Przed sobą ujrzeli nieskończony, rozmigotany w słońcu obszar oceanu. Stali wysoko, na krawędzi pionowej skały. W dole, u jej podnóża, w szczelinach i zatokach okolonych różowymi ścianami wzdymały się ciężko i powoli opadały wielkie, ciemne fale. Z wąskich przepaści tryskały słupy wodnego pyłu.

Ciepły wiatr wiejący od zachodnich krańców Archipelagu rozwiewał im wilgotne włosy. Trzymali się za ręce. Oddychali głęboko słonym powietrzem, czując jak wzbiera w nich nieznaną sita.

Na różowej pochyłości brzegu zobaczyli nagiego chłopca. Siedział na krawędzi skały i rzucał płaskimi, okrągłymi kamykami w wodę. Kiedy woda opadała pod brązowymi nogami odstaniały się dziwne porosty, korale i algi. Przy nim, na białym lnianym

ręczniku leżały rozłamane małże. Obok paliło się przezroczystym płomieniem małe ognisko. Wiatr powiał w stronę brzegu. Poczuli gorzki zapach pieczonego żywcem śliskiego mięszu.

Zaczęli schodzić po ukośnej bruździe zastygłej lawy, podobnej do długiego skrzepu czarnej krwi. W prawo od skały, w błękitnym prześwicie między kamiennymi iglicami, ujrzeli żółtawy zarys twierdzy El Ebro.



SEN INES O NAŚLADOWANIU

Nie podchodź do okna — powiedział Joachim, ale Ines milczała, tak jakby nie słyszała jego słów. Stała przy płóciennej zasłonie i odchyliła ją lekko. Trzymała w palcach czarny materiał. Przez wąską szczelinę wpadło światło słoneczne i oświetliło jej profil. W pokoju było ciemno. Czerwona lampka paliła się pod obrazem. Ukrywali się tu, na mansardzie u Latarde'a, już siedem dni.

Ines oparła czoło o framugę i patrzyła w dół, na ceglane podwórko. Chłopcy kręcili blaszanymi puszkami z żarzącym się węglem. Joachim dotknął jej włosów. Przycisnęła policzek do jego dłoni. Miała gorączkę.

Czuł, że nadal pogrążona jest we śnie. W głębi lustra przepływały urywane obrazy niczym powracający ból. Pokój przestawał być schronieniem. Otwierał się na nadbiegające światła. Znowu była t a m: jechała pociągiem. Za oknem przesuwały się wielkie, czerwone skały. W przedziale pusto. W lustrze kołysała się jej twarz — białe odbicie pocięte ostrymi pęknięciami. Szkło miało barwę rtęci. Było duszno. Dym wisiał w powietrzu. Wielkie kwiaty pełzały po obiciach z purpurowego pluszu. Pociąg wjeżdżał do głębokiego wąwozu. Nikiel wokół okien ściemniał. Skały zbliżyły się po obu stronach wagonu i wzniosły się przesłaniając białe słońce.

Nie mogła już dłużej patrzeć na tę starą kobietę, która siedziała naprzeciwko. Kobieta była podobna do jaszczurki. Miała czarne paznokcie.

Nie spuszczaaj oczu — powiedziała stara. — Co tam chowasz za sobą?

Ines wyjęła rękę z ognia.

— To tylko książka, którą spalono.

— Nie oszukuj — kobieta zmrużyła oczy. - Pokaż to. Nikt ci nie uwierzy. Nie łudź się.

— Ale — przerwała jej Ines — przecież ktoś musi być inny.

— Nie łudź się. Przeżyć jeszcze pięć minut. Wszystkim chodzi o to samo.

— Ale przecież wierzą w Niego.

— Nie łudź się. Rzeczy, które spalono, są ważne tylko dla tych, którzy je spalili.

Nad głowami pojawił się dym. Kobieta uśmiechnęła się i pogłaskała ją po policzku. Ines poczuła piekący ból.

— Dlaczego mnie bijesz? Przecież nic jestem królem. A trzciny rosną po tamtej stronie domu.

— Nikt cię nie bije — kobieta pokręciła głową. — To urojenia.

— A to — Ines wyciągnęła dłonie - na moich rękach?

— To szminka. Znowu **bawiłaś** się szminką. I obgryzałaś paznokcie.

— Odsuń się. Znowu zaczepiasz kobiety. One się boją takich jak ty — powiedział oficer podchodząc do starej. Trzymał w palcach cieniutkie pióro ze szkła. -- Musisz oddać nam to, czego nie masz.

Ines roześmiała się. Miała dopiero siedem lat i biegła ścieżką.

— Dlaczego pan za mną chodzi? - powiedziała wesoło.

--- A gdzie mieszkają twoi rodzice?

— O, tu - Ines pokazała białą kamienicę, z której uciekały dzieci. — Ale wszystko spłonęło. A mama bała się najbardziej o papiery.

— I wyrzuciła je?

— Nie. Nauczyła się wszystkiego na pamięć. A potem ktoś jej to odebrał. Bo nikt nie chciał od niej niczego wziąć.

— Dlaczego masz takie czarne ręce — zdziwił się oficer. — Czy to benzyna?

— Nie to bandaże. Oni robią to bandażami. Sam pan pamięta.

Zrobiło się chłodno i usłyszała głos matki. Pod drzewem było ciemno.

— Z kim rozmawiasz Ines?

— Już idę!

— Dlaczego ukrywasz znowu coś przede mną? Spalę się ze wstydu.

--- Puść mnie!



Ale chłopak nie chciał się od niej oderwać.

— Jak będę starszy, zapiszę się do policji.

— Puść, to boli!

Miała siniec na ramieniu. Wiatr poruszył firankami. Stała przed lustrem, a za oknem przesuwały się wielkie, czerwone skały. Ulicą biegli w popłochu ludzie. Biały dym snuł się nad jezdnią. Oficer siedział naprzeciwko.

— Czy to ten? — zapytał pokazując fotografię. Ktoś poruszył się na zdjęciu i pokazał różowy język.

— Nie pamiętam.

Na stole płonąła książka. Ogień zajmował rozchylone kartki.

— Ucięto mu ucho — powiedział mężczyzna w rogowych okularach. — Żeby lepiej słyszał.

Pochylił się i pocałował ją w szyję. Poczuela śliski dotyk ust. Nad stołem wisiał drewniany krzyż.

— Popatrz, to musiało tak wyglądać.

Rozchylił koszulę na piersiach. Zobaczyła wąską ranę.

— Krew i wino?

Nie, tylko woda. Zawsze jest tylko woda. Reszta to bzdury.

— Ale ja się bardzo boję.

— To nic strasznego. Żeby mieć spokój, wystarczy oddać wszystko.

Patrzył na nią uważnie, zagłębiając igłę w błękitną żyłę. Widziała własną krew, której było coraz więcej.

--- Przecież będę zupełnie biała.

— Pomalujesz usta i nikt nie pozna.

Wyjęła szminkę i przeciągnęła po wargach. Krew popłynęła na palce. Obejrzała rękę.

--- To ma zawsze dziwny smak.

— Tak, mówi każdy.

— A może tak nie jest?

Czuła, że wzbiera w niej wściekłość. Była silna i szła środkiem korytarza. Ludzie rozstępowali się. Pociąg kołysał. Uderzyła w pierś dziecko. Patrzyło nieprzytomnie.

— Nie obgryzaj paznokci! Zobacz — szarpnęła je za rękę — do krwi. Żadna nie będzie cię chciała.

— Ja nie chcę żyć — powiedział chłopiec.

Uderzyła go w twarz. Miał siwe włosy. Był stary. Z oczu ciekły łzy. Trząsł się.

— Oni są wszędzie. Wszystko wiedzą, Ja nie mogę się powstrzymać. Muszę coś mieć z życia.

Oglądał wstrętne fotografie nagich kobiet. Poczuela, że nie ma w nim krwi.

— Brudzisz. Ciągłe brudzisz. Niczego nie kładziesz na miejsce. Rozrzucasz po domu. Ja tego dłużej nie zniosę. Musisz się zmienić.

Pchnięto ją w plecy.

— Szybciej, nie możesz się spóźnić. Nie zdążysz.

Odwróciła się,

— Ale to już się stało — pokazała rękę. Dwie rany otwierały

się na dłoniach.

— Nie udawaj.

Chłopiec wytarł jej ręce ręcznikiem. Za oknem przesuwwały się czerwone wzgórza. Korytarz nie chciał się skończyć.

— Zobacz, moje są prawdziwe.

--- Po co to robisz?

--- Bo cię kocham.

— Głuptasie.

Potarmosiła go za włosy. Uderzył ją w twarz.

--- Jesteś brzydka.

--- Wiem.

--- Nie powinnaś żyć.

— Wiem.

— Nie powtarzaj.

Wybiegł przed dom. Nigdy nie widziała go takiego. Ludzie uciekali w popłochu. Dom drżał od wystrzałów.

--- Wszystko jest wstętne.

--- Na pewno.

--- Ale ja się nie urodzę? Tak?

--- Dobrze. Nie nudź. Chodź tu do mnie.

Nie miała na sobie sukienki. Nie pozwalali jej wyjść. Wstydziła się całe godziny gdy patrzyli na nią.

--- Jesteś świnią, robisz pod siebie.

Na każdego musi to przyjść. Biegła przez ulicę na drugą stronę. Ludzie uciekali w stronę kościoła.

--- Oni się ciebie boją — powiedział chłopiec.

— Bzdura.

--- Nie. To prawda.

Patrzyli całe godziny. Zmieniali się. Wchodzili i wychodzili. Nie pozwalali jej usiąść.

--- Nadgarstki tego nie wytrzymają — mówił oficer. - Trzeba wbijać tu, niżej, w stronę łokcia.

Wygiął jej rękę.

--- Ale to już się stało — powtórzyła.

Pokręcił głową.

— Nie masz racji. Twoja matka jest tak spokojna, jakby ciebie nie było.

— Matki nie było nigdy, był tylko ojciec. Zawsze było trzech — sami mężczyźni. Matka pojawiła się później.

— Nic nie rozumiesz. To wyglądało tak.

Odsłonił przeguby: zobaczyła wąskie rany w pobliżu dłoni. Przystawiła swoje ręce: były białe. Błękitne żyłki prześwitywały

pod skórą.

- Chciałabym, tego uniknąć.
- Możesz co najwyżej wybierać miejsce.
- Nie potrafię.
- To zrobię to za ciebie.
- Ale dlaczego chcesz, żeby to się stało ze mną?
- Stawiasz nierozsądne pytania.

Miał pręgi na ramionach po biczowaniu. Purpurowa szata owiała biodra. Trzymał w ustach cienkie lśniące gwoździe. Uśmiechnęła się.

- Wyglądasz jak stolarz.
- Jestem synem cieśli. Zbuduję z ciebie dom.
- Sama to potrafię.
- Łudzisz się.

Wyniknęła mu się i biegła przez wielką łąkę.

- Goń mnie!
- Poczekaj, masz skaleczone kolano. Owinę ci je.
- Najpierw mnie złap.

Stara kobieta kiwała z politowaniem głową. Miała czarny wachlarz i torebkę z wężowej skóry.

- Co tam chowasz?
- Nic.
- Pokaż.

Pokazała cieniutki ostry kształt.

- Gwóźdź?! A już się tak martwiłam...
- Na pewno nie masz niczego więcej?
- O, zobacz! Nic.

Biegła przez wysokie trawy. Korytarz ciągnął się w nieskończoność. Pchnęła drzwi. Nie chciały ustąpić. Pchnęła jeszcze raz.

- Nie wie pani, że trzeba pukać?!
- To był szpital, gdzie zabijano dzieci.
- Więc mam zapukać? Dobrze!
- Cofnęła się i zapukała z tamtej strony.

— Zachowujesz się nieprzyzwoicie — powiedział nauczyciel, którego nie lubiła w dzieciństwie. — Jutro przyjdiesz z matką.

— Matki nigdy nie było. Niech pan im nie wierzy, kiedy mówią o matce. Był tylko ojciec.

- Daj rękę.

Uderzył ją kantem drewnianej linijki w palec. Poczowała piekący ból. Machinalnie cofnęła dłoń. Ale potem wyciągnęła ją znowu.

- No, bij!

Ale czyjaś ręka dotknęła jej ramienia — spokojnie, zachęcają-

co. To była siostra Kornelia, z klasztoru El Nimeiro. Patrzyła przenikliwym wzrokiem na cieniutki krzyżyk ze złota, który Ines miała na piersiach.

— Piękny krzyżyk — powiedziała siostra Kornelia i wykręciła jej ręce do tyłu. — Musisz mieć ręce związane.

Kornet siostry Kornelii wygiął się jak pergamin nad płomieniem świecy i wielka, czarna kropla wypłynęła spod białego, sztywnego materiału na skroni.

— Jesteś zmęczona — powiedział młody mężczyzna, który miał wytatuowane ramiona. Odsunął siostrę Kornelię.

— Idź umierać gdzie indziej.

Ines zauważyła, że mężczyzna boi się jej — miał twarz pokrytą dziecięcym puszkciem i różowe, brzoskwiniove, wielkie, wywinięte wargi.

— Nie cierpię matki — powiedział mężczyzna i podniósł z ziemi porcelanową figurkę.

— Zobacz, ona nigdy nie urodzi człowieka.

Patrzyła ze zdumieniem — porcelanowy kształt odtwarzał jej rysy: to była ona. Ale jednego nie mogła zrozumieć: dlaczego ta mała, złośliwa dziewczynka z porcelany ma w sobie tyle nienawiści? Przecież kupowała jej wszystko. Dostała nawet cieniutką brzytwę, która lśniła, kiedy unosiło się ją pod słońce. Wszystko było takie dobre do dziś. Dlaczego ona mu tak głęboko, do krwi obgryzione paznokcie i śmieje się tak nieprzyjemnie? Włosy dziecka przypominały zwęglony papier, tak jakby wyciągnięto je pożaru.

— Ale przez pomyłkę! — krzyczała dziewczynka.

— Ja lubię ogień. Topie się jak wosk.

— Nie mów tak, Ines — powiedział mężczyzna. — Przecież nie ma niczego w moich rękach. Czy nie widzisz, że tamci panowie już sobie poszli. Oni są bardzo zmęczeni.

— Po co to nosisz?!

Czyjaś ręka szarpnęła krzyżyk na jej piersiach. Siostra Kornelia pochyliła się.

--- To złoto?

Chwyciła zębami metal.

--- Fałszywo. Prawdziwe jest tylko drzewo.

--- Ale ja muszę już iść - powiedziała Ines. - Muszę nakarmić moje dziecko.

Rozglądała się bezradnie. Ktoś podał jej kłęb białizny poplamionej krwią.

— To ta spod czternastki! Czemu tu stoisz?

— Muszę nakarmić dziecko — odpowiedziała Ines patrząc ze zdziwieniem na wielkie drzwi, które nie chciały się otworzyć.

— Nie ma go tu. Idź i powiedz wszystkim, że nie ma go tu. Wrócił do ojca.

— Ale dlaczego ojciec nie wrócił do nas?

Ines pochyliła się i zobaczyła prze siebie małą sadzawkę, przejrzystą jak szkło. Wytatuowany mężczyzna, przewiązany prześcieradłem, mył ostrożnie ledwie zagojoną ukośną ranę na piersiach.

— A gdzie odleciał gołąb? — spytała mała dziewczynka.

— Tam — mężczyzna kiwnął głową i ze śmiechem prysnął w nią wodą. Roześmiała się i nabrała wody w dłoń.

— Zobacz, potrafię przelać morze.

— To przenieś tę górę.

Mężczyzna uniósł z ziemi zardzewiały krzyż. Białe kropki iskrzyły się na krawędziach. Wtedy dziewczynka uderzyła go w pierś i z płaczem uciekła w czerwone zarośla.

— Chodź tu — powiedział mężczyzna do Ines.

Chciała zanurzyć stopę, ale powierzchnia wody była twarda i śliska. Skrzywił się.

— Jesteś zimna, dlatego nie może cię przyjąć moje ciało.

— Ale ja mogę przyjąć twoje? Prawda?

— Nic nie rozumiesz.

Mężczyzna odwrócił się i poszedł w głąb lasu.

— Nie zostawiaj mnie! — krzyknęła Ines. Poczuli, że twarda powierzchnia wody załamuje się. — Przecież nie możesz zostawić mnie tutaj!

Mężczyzna nie odwracał się i szedł dalej wśród drzew.

— Dasz sobie radę. Zresztą, spójrz w wodę.

Woda znów wygładziła się. Ines zobaczyła pod sobą czyjeś odbicie. Tak, to była ona, ale — jej twarz była twarzą mężczyzny, który odchodził w głąb lasu.

— Zazdroszczę ci - powiedziała siostra Kornelia. - Potrafisz chodzić po morzu.

— Przecież tu nie ma żadnego morza. Niech mnie pani puści,

— Oddaj mi to!

— Niech mnie pani puści!

Siostra Kornelia szarpała krzyżyk. Ines odepchnęła ją. Zdziwiła się, że ma tyle siły — ale to chyba dlatego, że miała na sobie mundur. Mundur wszystko zmienia.

— Oddaj to!

— Nic z tego.

Chwyciła za rękę siostrę Kornelię i chciała zatańczyć. Ale sio-

stra Kornelia miała skaleczony palec i płakała.

— Zazdroszczę ci — powiedziała Ines.

I rozorała jej ramię nożem. Krew trysnęła wąskim strumieniem jak źródło otwarte laską Mojżesza.

— Możemy już iść dalej.

— Ale nie mamy tablic — powiedziała dziewczynka.

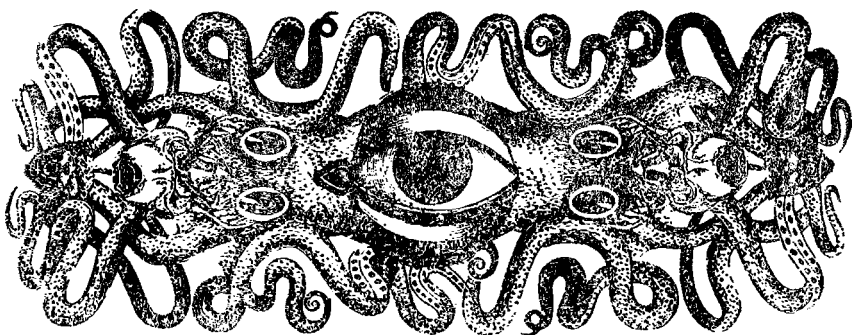
— Nie marny tablic, ale mamy krew. To wystarczy.

I wszystkie trzy ruszyły przez wielkie, białe wydmy, Łańcuszek, czerwonych kropeł ciągnął się po piasku. Ptaki zlatywały się spod chmur i wydziobywały krzepnące ziarna. Kiedy stanęły nad brzegiem, morze rozstąpiło się. Na dnie leżał czarny mundur ze srebrnymi naszywkami. W środku poruszało się coś, ale Ines nie wiedziała co to. Czuła, że Joachim czeka na nią pod murami więzienia. Spieszyła się.

Dwunastego, po obławie, która objęła całe Zarzecze, Joachim wrócił od Lavella dopiero wieczorem. Nie mógł otworzyć drzwi. Pokój był pusty. Pytał wszystkich, ale nikt nie wiedział, gdzie jest Ines. Podobno ktoś widział ją w okolicach mostu, ktoś inny zapewniał, że o czwartej na dworcu w Arcole wsiadała do pociągu odchodzącego do El Huaz. Chłopcy spod św. Jakuba widzieli białą ubraną kobietę z diamentami we włosach na cmentarzu, w pobliżu marmurowej Statui Dziecka z Narzędziami Męki. Wszystkie wiadomości przeczyły sobie. Joachim wiedział, że musi uciekać w góry.

Czternastego, tuż przed świtem, znalazł się na zboczach masywu, niedaleko El Huaz.





ATAK NA TWIERDZĘ W EL EBRO

Ludzie Gomesa nacierali od strony wzgórz. Kiedy zeszli w dolinę, tysiące wieśniaków witało ich chlebem posypanym czarnymi ziarnami soli. Chłopcy w postrzępionych poncho wspinali się na strzechy swoich domostw i spomiędzy trzciny poszycia wyciągali długie karabiny skałkowe z pamiętną datą wyrytą na drewnie kolby. Potem biegli za konnymi oddziałami prosząc o garść naboju. Gomes sięgał wtedy do skórzanej torby i rzucał w ich stronę błyszczący złoty deszcz. Zgarniali kule z czerwonej ziemi i pakowali do płóciennych woreczków zawieszonych na pierśsiach.

Dziwne rzeczy widziano na niebie.

W prowincji Unelo przeszła nad wzgórzami wielka przezroczysta postać kobiety niosącej na rękach dziecko otoczone wieńcem gwiazd. Peoni z okolic Morto mówili o skrzydlatych jeźdźcach w stalowych pancerzach, którzy pędzili szczeliną nieba w stronę El Ebro, ciągnąc za sobą smugę ognia. O zachodzie chmury układały się w kształt wielkiego miecza, który sunął nad horyzontem, zapalając szczyty drzew herbe na płaskowyżu. Samotne krzewy rosnące na pustyni wybuchały w mroku jaskrawym płomieniem.

Kiedy nadchodziła noc, miecz znikał. W jego miejscu żarzyła się w ciemności głęboka rana, w której, jak w wielkiej, rozświetlonej jaskini, krążyły ptaki. Tłumy gromadziły się na placach wpatrzonych w dziwną jasność.

Mówiono, że Hiszpanie wycofują się z okręgu Arezzo i przesuwają się w stronę wybrzeża. Ktoś widział nawet, jak ładowali się na barki Kampanii Przewozowej Ardena: konie, krowy, skrzyńki

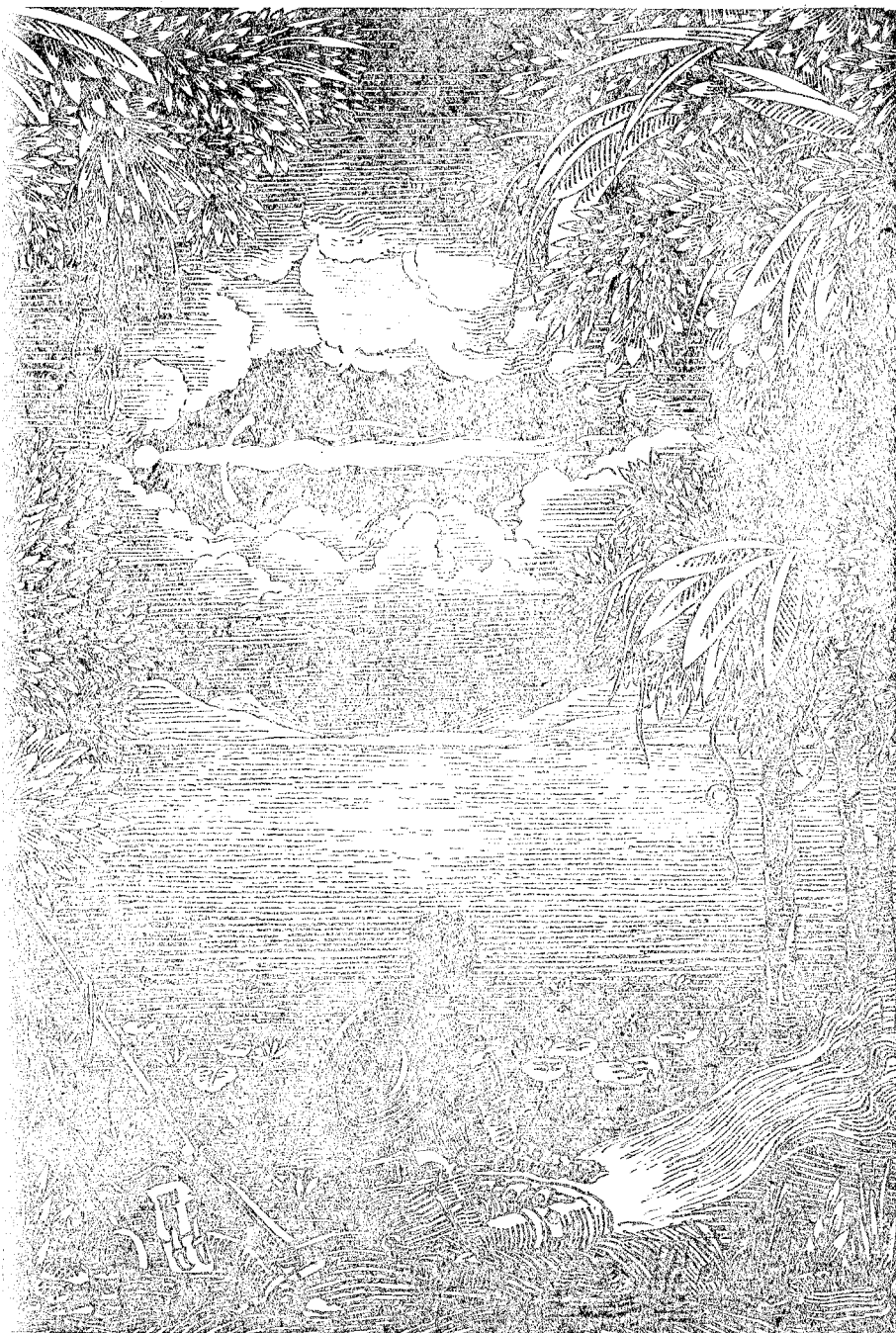
z drobiem, kobiety indiańskie ze związanymi rękami, dzieci Mulatów z żelaznymi obręczami na szyi. W porcie stacjonowali huzarzy Juana Artesiosa, mieli siedem armat i dużo amunicji na furgonach zaprzężonych w woły... Nikt nie wiedział, czy była to prawda, ale wszyscy wiedzieli, że to mogła być prawda.

Od strony Sierra Morena nacierał Cortensio ze swoimi Mulatami. Byli uzbrojeni bardzo źle. Tylko jeden porządny karabin z łukowatym magazynkiem, zdobyły podczas wypadu na rusztowania mostu kolejowego w wąwozie Combre, osłaniał czarnych wojowników dzierżących w rękach maczety. Kiedy dołączyli do nich ludzie z Zachodniego Przedmieścia El Huaz, sytuacja trochę się poprawiła: przyciągnięto kartaczoownicę, która miała jednak uszkodzoną lawetę i trzeba było ją dźwigać na płóciennych taśmach. Brakowało też amunicji. Cortensio kazał Alexisowi de Grazio zrobić parę ładunków z wydrążonego konara herbe; do środka drewnianej puszkii napchano czarnego prochu i ostrych odłamków bazaltu, wszystko to ściągnięto konopnym sznurem nasyconym olejem morakosowym. Ale nie był to najlepszy pomysł. Podczas natarcia na garnizon w Cordelezzo za wcześniej zapalono lont i siedmiu ludzi przyczajonych u podnóża hiszpańskiej baterii dziewięciocecalówek wyleciało w powietrze zdradzając równo cześnie obecność oddziału. Były poważne straty.

Dopiero gdy Hiszpanie opuścili Arconde, zabierając ze sobą cudowną figurę Matki Bolesnej z Gwiazdą, rzemieślnicy z manufaktur żelaznych przesłali kilkanaście dobrych sztucerów z oksydowanej stali. Wtedy ruszono nasypem kolejowym w stronę zachodniego masywu, po drodze zdobywając lokomotywę i wielkie obrotowe działo na platformie. Cortensio zmienił jednak plany: ruszył na południe i w poniedziałek, po święcie Jakuba Czarnego z Sole, stanął na przełęczy El Coy. W dole od strony masywu, dwoma krętymi wąwozami, spływały w dół potoki ludzi w białych chito. To oddziały Gonzaleza Opos i Caravangelisa szły na El Huaz. Miasto widoczne w oddali, za plantacjami oliwek i wiśni oranto, żarzyło się w mglistych blaskach wschodzącego słońca.

Było chłodno, kiedy dowódcy spotkali się w domu Manuela Costas, burmistrza małej miejsciny nad rzeką El Huaz, który jako pierwszy oddał peonom jedną trzecią swej posiadłości i udekorował urząd barwami wolnego Sandurasu.

Zwiad wysłany w stronę przedmieścia doniósł, że Hiszpanie ufortyfikowali się w trzech punktach na wybrzeżu. Bateria „siedemdziesiątek” stanęła tuż przy murze klasztoru — punkt chyba



najsilniejszy. Rzeka była w tym miejscu płytka: można nocą podejść pod mur i zaatakować przed świtem... Ale zwiadowcy odradzali to. Po drugiej stronie mostu wydrążono głęboką fosę, która osłaniała od południa bastion Lancos zbudowany jeszcze przez konkwistadorów (siedemnaście wieżyczek dla hakownic, rotunda dla moździerza), ale trzymający się mocno do dziś. Trudno było dokładnie określić, ilu huzarów stacjonowało w pobliżu katedry. Jedni mówili o pięciuset, inni o tysiącu koni. Na drodze, od strony wzgórza Miguas ustawiono wielką barykadę z ukośnych zaostrzonych pali. Kawaleria nie miała tu czego szukać, jedynie piechota mogła przedostać się przez zaporę, ale mówiono, że są też jakieś inne zabezpieczenia, które uniemożliwiają podejście.

Mieszkańców pognano do sypania szańców. Pracowali opornie, ale wały stanęły. Nie było tu żadnego planu, rowy biegły w różnych kierunkach, wspaniała sztuka inżynierska oficerów szkolonych w El Corzo nie dała najlepszych rezultatów... Siedem wyższych kopców zwieńczono workami z piaskiem. Ustawiono tam działka 35 mm z błękitnej stali. Wyglądało na to, że Hiszpanie tu właśnie wyznaczyli główny punkt oporu, aby zatrzymać ofensywę partyzantów idącą od strony masywu i przegrupować jednostki zagrożone w innych okręgach.

Cortensio nie miał złudzeń. Wszystko to wydało mu się podejrzane. Usypanie ziemnych wież w okolicy manufaktury Gambaessa urągało wszelkim regułom strategii. Z tamtej strony ostrzał był ograniczony: powierzchnia rzeki znalazła się w martwym polu. Go prawda grenadierzy z bastionów mogli razić drugi brzeg z mauzerów i jednej kartaczownicy, ale nie była *to* zaporą pewną, jeśli okaże się, że buntownicy mają armaty... Kiedy zbliżała się noc, Cortensio, co mu potem wytykano jako niepotrzebną brawurę, w przebraniu oficera błękitnych huzarów dostał się do miasta i rozmawiał podobno z samym pułkownikiem Sforza. Po drodze obejrzał ponoć umocnienia i upewnił się w swych podejrzaniach. Może należało obejść miasto — i zaatakować od wschodu, podpalając drewniane hale stadniny na przedmieściu? Me było tu żadnej logiki w rozlokowaniu oddziałów. Może to skutki paniki i demoralizacji? To było możliwe, ale wietrzył w tym jakiś podstęp.

Nie mylił się: kiedy o świcie do ataku ruszyła Kompania Boularda zbliżając się do szańców na obrzeżach miasta, nie odpowiadano strzałami: żołnierze wbiegli w głąb labiryntu wydrążonych w ziemi przejść — i wtedy nastąpiła detonacja. Ziemia trysnęła w górę na wysokość dzwonnicy św. Jakuba grzebiąc niemal wszystkich. Dopiero po wybuchu odezwały się

„trzydziestki piątki” z wież. Serie naganiały peonów w stronę rzeki. Kiedy wielki oddział ukrył się w rozpadlinach na wybrzeżu i raził z ukrycia grenadierów w bastionie obok mostu, nad żółtym murem wzniosła się **biała** chorągiew. Chłopów z okolic Asturio i Colevas ogarnęła euforia. Nie słuchając stanowczych okrzyków oficerów ruszyli biegiem w stronę twierdzy, rozbryzgując żółtawą wodę na płycznie.

Cortensio zasłonił twarz dłońmi. Rozległ się huk i wzburzone wody spiętrzone na jeziorze Hermi runęły przez wysadzoną zaporę, w dół, na uciekające w popłochu oddziały. Rzeka podniosła się w tym miejscu o siedem stóp.

Stracono wielu ludzi i kilka kartaczownic. Konie Arbusza przeżalone nadpływającą falą popędziły w górę wąwozu zrzucając jeźdźców. Wycofywano się na skraj płaskowyżu i tam spędzono noc. Alu kiedy zwiadowcy Gonzaleza powrócili nad ranem, przynieśli wieść zdumiewającą: El Huaz było wolne! Hiszpanie wycofywali się w kierunku równiny i szli teraz z taborem wielką rozpadliną między płaskowyżom zachodnim a Sierra Morena, w stronę morza. Wlekli za sobą tysiące skutych Indian.

Cortensio wiedział, że nie ma chwili do stracenia. Rozpadlina wiodła w kierunku pustyni, po prawej stronie rozciągał się łańcuch Cimelios, po lewej płaskowyż się obniżał i z półpustynnej dziczy stawał się ogrodem. Musieli więc ich dopaść przed Białymi Wrotami, tylko między skalną iglicą a piaskami pustyni mieli jakieś szanse — jeśli Hiszpanie stracą paszę, ich pochód ugrzeźnie w wąskim przesmyku...

Ale oddziały były zdziesiątkowane. Brakowało żywności i bandaży. Peoni tracili siły. W taborach pojawiło się robactwo. Kiedy weszli do El Huaz, zobaczyli spalone magazyny. Zboże i kukurydza żarzyły się w ruinach koszar. Należało spodziewać się też ataku jednego z lotnych korpusów, które w sile kilkuset koni pojawiały się nagle, w najmniej spodziewanym miejscu. Cortensio pamiętał noc z osiemnastego na dziewiętnastego, kiedy doborowy oddział kadetów spadł na nich w wąwozie Sar Alto... Kilkudziesięciu młodych, kawalerzystów zniszczyło tabory przygotowywane do marszu dla kilku tysięcy ludzi. Wysadzono najlepszą, świetnie wyważoną kartaczownicę. Porwano trzydzieści sześć koni i, co najgorsze, zatruto jedyną w promieniu wielu mil studnię. Ludzie w palowym lazarecie konali z pragnienia. Podpalono magazyn z lekami... Zanim się pozbiali, minęło kilka dni.

Teraz należało spodziewać się tego samego. Ludzie z Argose, którzy dołączyli się do nich wczoraj, mówili o śladach podkutych

kopyt na drodze z przełęczy Saltares na El Huaz. Jakiś nieznany oddział splądrował haciendę nad rzeką w pobliżu klasztoru.

Nie były to dobre wieści. Kiedy Cortensio zobaczył o zachodzie nad Amboses wielką łunę, zrozumiał, że pościg jest niemożliwy. Gorzej: chyba ich oskrzydłono od zachodu. Pchnął w tamtą stronę pięciu Indian na koniach, które podarował mu burmistrz El Huaz, ale wróciło tylko trzech, jeden z ołowiem kaliber 7,62 mm pod obojczykiem. A więc tamci byli już w okolicach przełęczy... Tylko szaleniec ruszyliby teraz w stronę pustyni. Należało wycofać się w stronę dżungli, na stoki masywu, to była jedyna szansa: zniknąć w gąszczu w którejś z dolin, do której mogą zaprowadzić tylko Indianie.

Ale to oznaczało załamanie się ofensywy!

Kto wie, ile posiłków płynie dla Hiszpan z sąsiednich wysp? Jeśli się teraz otrząsną, mogą już za kilka dni przejść do kontruderzenia. A to by oznaczało śmierć. Już w kilku okręgach zdecydowali się na podpalenie dżungli, chociaż wywozili stamtąd drzewo herbe, za które dostawali złoto i sól w stolicy Archipelagu.

W obozie pogarszały się nastroje. Kilkunastu peonów próbowało wymknąć się do swych wsi. Trzeba było zrobić to, o czym mówi prawo. Z lazaretu niosły się jęki chorych. Doktor Altevedro miał fartuch zbryzgany krwią. Siostry z klasztoru św. Anzelma dały welony na szarpie dla rannych. Wielkie wozy na zboże stały puste.

Wtedy Gonzalez zarządził odwrót.

Zaczęto zwijać lazaret i ładować na wozy ciała owinięte pokrwawionymi szmatami. Kawalerzyści Pereza nie wsiadali nawet na konie. Brakło paszy, zebra pojawiły się na końskich bokach. Zwierzęta patrzyły zamglonymi oczami. Upał narastał. Tysiące zielonych much wirowało nad resztkami kości wokół ogniska i nad płóciennymi furgonami lazaretu. W rzece, przy brzegu, kołysały się wzdęte ciała zabitych peonów. Cortensio kazał pozbierać broń leżącą w wodzie: ale ludzie z jego oddziału przynieśli tylko kilkanaście karabinów. Fetor bijący od rzeki był nie do zniesienia... Trzeba było stąd uciekać.

O wpół do dwunastej, dwudziestego dziewiątego, tabory ruszyły. Wozy zakołysały się na białych kamieniach, konie zastukotały kopytami. Ruszono w górę krętym łożyskiem wyschniętej rzeki w stronę dżungli. Kilku żołnierzy nacięło liście agawy covatos i nabierało do manierek różowy sok. Siostry szły za wozami lazaretu podpierając się mauzerami, których nie miał już kto nieść.

Chmury nad górami zapowiadały burzę.

Cortensio patrzył na ludzi, którzy go mijali. Obok przejechał Gonzalez, w rozpiętej kurtce kadeta, z wielkim skórzanym tobołem przytroczonym do siodła. Kilku peonów prowadziło wychudłe woły. Ludzie z oddziału Corzy, którzy dołączyli jeszcze przed starciem z huzarami pod Alamites, wyglądali lepiej niż ludzie z jego oddziału. Szli rozmawiając, z mauzerami na ramieniu. Kościsty Metys niósł na białej żerdzi bambusową klatkę. Drób drzemał. Na brudnych koszulach ciemniały plamy potu. Mały Meksykańczyk z taśmą naboju wokół bioder żuł brunatnoróżowy korzeń aleute, żeby oszukać głód. Opędzał się od wielkich much, które unosiły się nad głowami koni.

Cortensio machnął biczem i popędził Gonzaleza. Tamten nawet na niego nie spojrział. Jego koń z wysiłkiem wspinał się w górę wąwozu. Co kilka chwil podkowy ześlizgiwały się z głązów. Cortensio ściągnął wodze.

— Pojadę na pustynię.

Spod brudnych włosów wypływała strużka potu.

— Z kim?

— Potrzeba mi trzydziestu, czterdziestu...

--- Zdmuchną was już za El Huaz...

Gonzalez pamiętał o łunie, którą widzieli wczoraj.

--- Może przejdziemy...

--- Nonsens...

Jechali chwilę w milczeniu. Kilku Mulatów dźwigało kartażownicą, wspinając się zboczem wąwozu. Grube żyły pulsowały na skroniach.

Powinieneś tu zostać. Nie warto się rozdzielać.

Tracimy wszystkie szanse.

Nie mamy innego wyjścia. Musimy się przedostać do El Cobre. Tam przeczekamy.

- Może do was wrócę...

— Na pewno...

Cortensio zawrócił konia i podjechał do swoich. Zbliżył się do Corozzo.

--- Weź trzydziestu ludzi... I naftę.

Corozzo skinął głową w stronę El Huaz.

--- Idziemy - tam?

--- Tak. Niech jadą tylko CM, którzy mają dobre konie.

--- Ile nafty?

— Ile się da.

Cortensio zeskoczył z konia. Dociągnął popręg, sprawdził rze-

mienie. Rozwiązał derkę i odrzucił ją.

--- Trzeba to zostawić.

Corozzo podszedł do oddziału. Przeszedł obok koni przyglądając się **im** uważnie. Dotykał pęcín **i** sprawdzał osadzenie podków.

Po kilku minutach trzydziestu dwóch jeźdźców zjeżdżało w stronę El Huaz.

Kiedy przekroczyli rzekę, **Joachim** zobaczył chorągiew wolnego Sandurasu zatkniętą na frontonie ratusza. Dom był osmolony płomieniami, z żelaznego belkowania sterczały druty i kawałki czerwonych cegieł. Chorągiew była popalona i brudna. Wiatr nierozwiewał jej — zwisała ciężko wzdłuż kija sterczącego w niebo wśród gruzów. Owalna, emaliowana tarcza z wielką cyfrą Juana Carlosa, zdarta z frontonu budynku, leżała pod murem. Łaciaty **pies szukał czegoś pod nią nosem**. Usłyszał tętent, z podwiniętym **ogonem pomknął w stronę piwnic rozoranych eksplozją granatu 122 mm**.

Z tyłu, za rzeką rozległ się huk, a potem terkotanie. Odwrócił głowę. Żółty aeroplan zniżał się nad białym wąwozem — potem wleciał ostro. Parę chwil później wśród drzew wykwitł wielki jaskrawoczerwony grzyb ognia i echo detonacji przetoczyło się nad miastem.

Nie było czasu — musieli się spieszyć.

Teraz byli jeszcze względnie bezpieczni. Lotnik krążył nad taborami w wąwozie, zresztą gdyby nawet zatoczył łuk nad miastem, mogliby skryć się pod arkadami któregoś z domów.

Chmura żółtego pyłu zerwała się z placu. Gorący wiatr uderzył od strony Sierra Morenzo. Suche krzaki ovados przetoczyły się pod kopytami. Zasłonili usta chustami i ruszyli.

Skręcili w szeroką ulicę, tuż za bankiem z ołowianą figurą anioła na szczycie. Buroczerwone banknoty wyfrunęły w ich stronę z rozłupanych drzwi budynku. Przeciąg rozsypał nadpalone formularze na stopniach przed wejściem. Mosiężne łuski zaświeciły wśród czarnych spalonych skrzyń pod ścianami. Przejechali obok białego gmachu poczty. Na granatowo-żółtej tablicy bieleły okrągłe odpryski emalii. Kwadratowe okienko wyrwane z zawiasów kołysało się błyskając pokostowanym drewnem. Przy nadpalonej otwartej skrzynce pocztowej leżały pozółkłe listy.

Okrążyli fontannę. Wyminęli stół ciesielski zarzucony płatami zakrwawionej flaneli. Lufy długich sześciocalowych armat wystawały zza żelaznego ogrodzenia parku. Wjechali za mur przyklasztorny. Puszki z mięsem, baryłki z wodą, skrzynie z amunicją

do kartaczownic, brązowe butelki z portere i piwem lager leżały na strzyżonych trawnikach. W kałuży falerneńskiego wina brodziły czarne kury. Kieliszki z fioletowego szkła wystawały ze sterty nadpalonych książek.

Minęli kościół. Po wielkich schodach między białymi posągami toczył się w dół otwarty parasol z purpurową podszewką. W bramie zakrystii leżał nagi trup kobiety owinięty wełnianą kołdrą. Przejechali przez dziedziniec z małą dzwonnica rozpędzając stado gołębi dziobiących suchary z serem rozsypane na kamiennych płytach.

Wydostali się na ulicę. Jechali teraz w dół, pochyłą jezdnią. W prześwicie między manufakturą tytoniową, a magazynem towarzystwa przewozowego Ardena pojawił się ciemny gąszcz pałacowego ogrodu. Buchnął aromat wonnych drzew granatu. Za ciemną szybą sklepu korzennego błysnął miedziany barometr. Skręcili w stronę przejazdu kolejowego zostawiając za sobą wielki furgon rzeźni, pełen blaszanych baniek z napisem Olavos. Jechali wąskim przejściem między szopami. Ceglany komin fabryczny przesuwiał się nad dachami z falistej blachy.

Wjechali na przejazd. Kopyta zastukały po podkładach. Obok torów leżał trup urzędnika pocztowego, na trzewikach było pełno krwi.

Powietrze pociemniało. Mury przedmieścia nabrały barwy ołowiu. Gliniane rury do drenowania ogrodów zawałyły przejście między gąszczem opuncji a magazynem stacji. Kłęby miedzianego drutu toczyły się w chmurze pyłu. Przełamane słupy telegraficzne opierały się o dachy wagonów. Na rampie stały kałuże mazutu. Wielka siedmiocalówka z rozerwanym zamkiem sterczała wśród stada białych kóz. Brudne bandażę ciągnęły się z drzwi postrzelanego ambulansu.

Przejechali obok wieży ciśni. Nad budynkiem dworca powiewała chorągiew królewska. W oknie na trzecim piętrze zza zielonych worków z piaskiem wystawała lufa grawitat 824. Na ścianie, jak białe wrzody, jaśniały ślady po ostrzale z kartaczownic.

Skręcili za budkę szyldwacha. Rozbryzgnęli taflę brunatnej wody stojącej na drodze wśród ławic piasku naniesionych przez deszcz. Dojechali do ostatnich zabudowań. Pod kopytami zadudniły belki mostu. Przelecieli nad rzeczka płynącą w stronę miasta i wjechali w zagajnik herbe. Wszędzie było pusto.

Minęli dom noclegowy dla woźniców dyliżansu, na dziedzińcu leżała zabita krowa, zdziczałe psy szarpały czarne wnętrza pokryte lśniąca pokrywą much. Biała bielizna kołysała się na

sznurze.

Cortensio nie chciał wjeżdżać do rozpadliny między płaskowyżem a wzgórzami. To była pułapka: jeśli doszliby nawet do ariergardy sił hiszpańskich, mogliby zostać zaatakowani przez lotny korpus powracający z wypadu. Teraz szli po dobrze widocznych śladach: głębokie koleiny, zagłębienia po uderzeniach kopyt, ciała zakłutych Indian... Wozy były pełne... Koła wrzynały się w glinę... Wszystko to ciągnęło na El Ebro.

Zjechali z traktu koło małej wioski, parę mil za Alhoe, gdzie wielkie lasy różowo kwitnących kaktusów zamykają lewy skraj drogi. Cortensio wiedział, że muszą się spieszyć. Paru wieśniaków widziało oddział i niewykluczone, że doniosą o nich pierwszemu komisarzowi. Wszech-Hiszpanii, który wraca na dawne miejsce pod osłoną lotnego korpusu. Kobieta, którą napotkali za Hiverdo, powiedziała im coś, czego początkowo nie wzięli poważnie, zresztą trudno było jej dać wiarę: miała poparzone dziecko i spaloną chatę, uratowała się schodząc do starej sztolni w kopalni cyny. Mówiła o jakimś dziwnym oddziale, nazywała go „czarni”, który szedł od strony El Huaz głównym traktem w stronę pustyni... Było to nieprawdopodobne: chyba, że Gonzalez wysłał za nimi oddział wspomagający. Kiedy jednak nazajutrz, koło dziesiątej, wiatr od strony gór odsłonił zamglony dotąd horyzont i zza piaszczystych wzgórz, które minęli rano, wyłonił się siny zarys płaskowyżu, Cortensio uniósł się w siodle i patrzył przez długą chwilę w wąską szczeliną na krawędzi masywu. Potem zjechał w dół, po rdzawym zboczu porośniętym ostrymi trawami i zawołał:

—Napoić konie. Weźcie też wodę.

Zjechali za nim. Za białą kępą rosarios błękitniało skalne oczko. W głębi, na dnie sadzawki, biło lodowate źródło. Napelnili skórzane worki, ściągnęli rzemieniami chlupoczący ładunek i oddział ruszył dalej.

Po trzech godzinach zbliżyli się do gąszczu kaktusów. Kolczasta zaporą ciągnęła się w głąb pustyni. Cortensio zsiadł z konia i wziął do ręki trochę ziemi. Rozgniół ją w palcach i powąchał. Potem dał znak, żeby zsiadać z koni. Oddział wjechał między zielone kolczaste słupy.

Było to szaleństwo. Jeśli gąszcz nie skończy się przed zmierzchem, ugrzęzną w pułapce! Prowadzono konie ostrożnie, uważając, by ich nie zranić o sterczące kolce. Czerwone kwiaty świeciły wysoko ponad cieniem. Było duszno. Woń ptasiego guana niosła się od północy. Cortensio prowadził pewnie — ale przecież mógł trafić na gąszcz tak zbity, że wydostaną, się zeń dopiero za kilka

dni! Znał kierunek, nie wiedział jednak, co napotkają za kilka minut. Liczył na to że idą koźlą ścieżką wiodącą do wodopoju... Ale trop rozwidła się, nikł.

Dopiero wieczorem wydostali się na pustynię. Zmierzch zapadł szybko — jechali pod jaskrawymi gwiazdami zostawiając w piachu głębokie ślady. Tylko wiatr i deszcz mógł ich ocalić, jeżeli „czarni” trafią na trop. Chcieli przeciąć równinę Codeno, przejsć przez najtrudniejszy obszar — piargi, osypujące się z tarasów płaskowyżu — i znaleźć się nad rozpadliną jutro koło południa. Jeśli trafią o tej porze w okolice Białych Wrót, *mają szansę...*

Ale teraz musieli zwolnić. Konie były zmęczone, chwilami zapadały się w piaskowe wydmy po brzuchy. Zrobiło się chłodno. Mroźny powiew sunął po piachu. Jechali wolno, uważnie, ale nad ranem byli już pod piargami. Joachim zobaczył wielkie progi wznoszącego się ukośnie płaskowyżu i pomyślał, że nigdy nie dostaną się na górę. Miał już dosyć słońca, ale przecież nie stało wysoko. Cortensio popędzał ludzi. Zbliżyli się do skalnego osypiska — i wtedy padł pierwszy koń. Z siodła osunął się Milde i usiadł przy dyszącym zwierzęciu. Staltzer chciał go wziąć na swoje siodło — podjechał bliżej i wyciągnął rękę. Milde wiedział jednak, że nie pojedzie już dalej. Patrzył na zdychającego konia i sprawdzał magazynek Collinsa.

— Musisz go zasypać — powiedział Cortensio i ruszył w górę. Ale za moment zawrócił. Trzeba było zsiąść z koni i prowadzić je ostrożnie, wybierając płyty, które stały pewnie... Zaczęli wspinać się wzdłuż wielkiego cienia skalnej wieży. Słońce nie prażyło tu tak nieznośnie jak na pustyni. Wszyscy czuli głód.

I wtedy padł drugi koń.

Kiedy Zampo Ider, postawił nogę na różowym głazie wszystko było w porządku. Przycisnął mocniej stopę — kamień ani drgnął. Wprowadził swego gniadosza — koń wspiął się i stanął na płaskiej płycie. Wtedy zachybotwały się sąsiednie kamienie. Płyta przechyliła się i zwierzę runęło nakrywając sobą prowadzącego je człowieka. Strumień głazów zerwał się spod skalnego grzebienia. Wzniosła się chmura białego pyłu. Łoskot odbił się wielokrotnym echem od masywu. W miejscu, gdzie przed chwilą stał Zampo, spiętrzył się zwał kamieni. Kurz zaczął opadać. Ludzie patrzyli w milczeniu powstrzymując ściągnięciem wodzy niespokojne konie.

Około pierwszej Argazzo, jako pierwszy, wspiął się na krawędź płaskowyżu. Po nim wydostali się inni. Mieli twarze białe od pyłu. Od strony pofałdowanych wrzosowisk dmuchnął chłodny

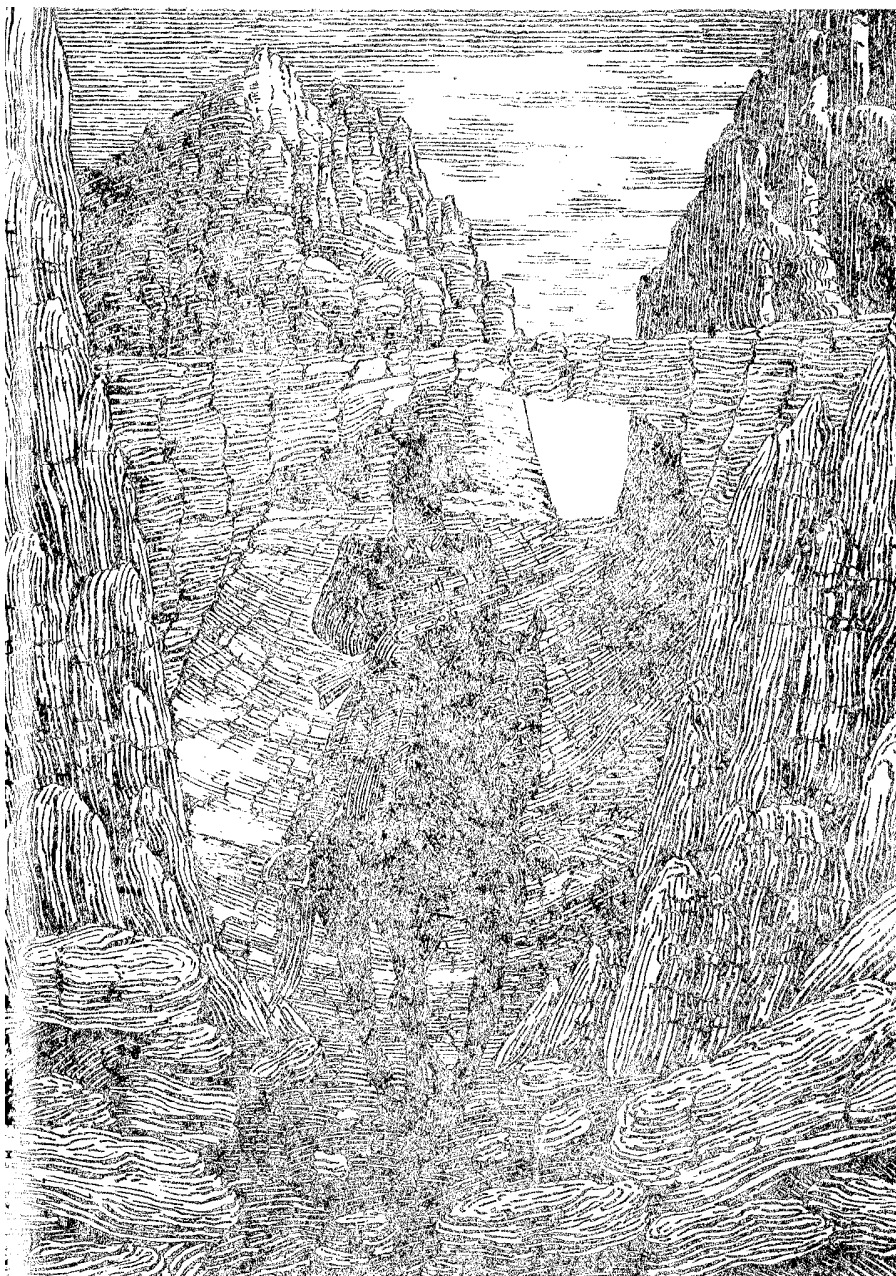
wiatr. Stali i patrzyli na zachód, w stronę wielkiej rozpadliny. Cortensio wyciągnął z olster sztucer Mc Laine'a: broń była szara od kurzu, pył pokrywał naoliwioną powierzchnię zamka. Konie stąpały niespokojnie, nafta chlupotała w bańkach. Ferreri skracał strzemiona. Schulzer owijał skaleczoną rękę. Wiatr wzmagął się. Tumany kurzu szły od zachodu, za nimi piętrzył się sinogranatowy gmach chmur. Równina była biała.

Ruszyli galopem. Wiatr uderzył ostro w zmrużone oczy, pył wciskał się w usta. Przejechali przez piachy zmarszczone niczym włókna rozpadającego się mięsa. Minęli pole okrągłych czerwonych głazów porośniętych mchem od północnej strony. Przebili się przez chmurę kurzu. Wjechali na kamienną płytę. Kopyta zadzwoniły. W otworach wydrążonych przez wiatr stała nieruchoma, martwa woda, nawet owady nie unosiły się nad powierzchnią. Wokoło nie było nawet żdźbła trawy. Wiatr świstał w wążutkach, głębokich szczelinach w skale.

Zostawili tu konie. Do rozpadliny mieli pół mili. Wyciągnęli broń z olster, przewiesili przez ramię skórzane torby z nabojami. Bańki z naftą były czarne. Pasy z amunicją niósł Herni, długi karabin z płaskim magazynkiem Alonzo. Mortesi szedł pierwszy. Słońce paliło i Ester utykał. Larsen poprawił chustę pod szyją. Wszyscy milczeli. Nord niósł zwoje czarnej linki, Simon haki i młotek rozczepiony na końcu. Mortesi miał skórzaną kurtkę, zieloną koszulę, bryczesy i sznurowane buty na gumie... Alonzo nosił czarny sweter i płócienne spodnie. Larsen lubił bawić się z psem. Simon w prawej górnej kieszeni trzymał mosiężną monetę, fotografię kobiety imieniem Rosa, dwa nadłamane ołówki, spinacz, trochę pokruszonego tytoniu. Nienawidził człowieka nazwiskiem Jopo. Lubiał synka sąsiadów. Dobrze grał w buła. Żle pisał. Głośno krzyczał przez sen. Herni obgryzał paznokcie do siedemnastego roku życia, potem pił. Ester miał białoróżową skórę na plecach. Dobrze grał w hulo. Dobrze pisał wiecznym piórem

Stetsona. Kiedy miał trzy lata, znalazł martwego chrząszcza. Pierwszy raz zobaczył krew, kiedy wszedł do łazienki kilka chwil po wyjściu matki — nic w życiu nie zrobiło na nim większego wrażenia. Lubiał obwarzanki. Nie lubiał kadetów. Lubiał spać. Nie lubiał aktora z teatru lalek „al Koro”. Kiedy stłukł karafkę, matka biła go po rękach cienkim rzemieniem. Simon lubiał rządzić. Larsen nie wierzył. Nord wierzył.

Joachim wiedział, że tam, przed nimi, w głębokiej rozpadlinie przecinającej płaskowyż przesuwają się teraz w ich stronę ciężkie wozy hiszpańskie. Za chwilę ujrzy je. Najpierw wynurzą się zza



zakrętu kirasjerzy — trzymają pionowo lance z purpurowo-żółtymi porpczykami... Colonel Artesias poprawia miedzianą manierkę obciągniętą skórą... Za nim Altasentes prowadzi błękitnych huzarów, potem idą grenadierzy z Merto, kuchnie połowę, lazarety, wozy z paszą, ubraniami kobiet, orderami, rondlami, łyżkami, bandażami, piwem, amunicją... Porucznik Idelio Havan Oritz,

chłopak z Alhuraz, gdzie jego ojciec ma manufakturę tytoniową, wznosi wysoko kwadratową chorągiew dowódcy zgrupowania z ukoronowanym złotym ptakiem, artyleria posuwa się czterema kolumnami — osłaniają czoło pochodu i wzmacniają ariergardę, pole ostrzału obejmuje także zbocza...

Powoli wjadą w pułapkę — i wtedy ogarną ich płomienie. Ogień błyskawicznie przerzuci się w głąb taborów. Czarny dym przysłania słońce...

Oddział Cortensia zbliżył się do rozpadliny. Zsiedli z koni i podpełzali w stronę wąwozu. Uważnie przesuwali broń, żeby nie stuknęła o kamień. Była cisza. W górze przesuwały się potężne kłęby ciemnych chmur podobne do wzgórz, na których wznosi się twierdza El Ebro. Słońce gasło i zapalało się w prześwitach. Było gorąco.

Joachim, zajął pozycję obok Morela i Estera. Patrzył na białe, piaszczyste dno wąwozu. Chmury pyłu wznosiły się wśród skał. Wyrwane kępy trawy toczyły się po ziemi. Zaciągnął zębami rozluźnione bandażę na przegubie i położył broń na skale.

Obok zamka mauzera zobaczył mrówkę. Szła po kamieniu powoli, z wysiłkiem pokonując pochyłość. Niosła coś — jakieś źdźbło, drzazgę... Była coraz bliżej... Widział, jak staje się coraz większa... połyskliwa, opięta lśniącym, chitynowym pancerzem niczym blachą z czarnego żelaza, ociężała. Przeszła tuż przy policzku, niemal ocierając się o rzęsy. Za nią szły następne. Szeregi. Setki czarnych mrówek — wielkich jak woły... Za każdą kołysał się ciężki, wydłużony, ruchomy cień...

Przesunął ku sobie broń. Rozległ się metaliczny stuk: bańka stojąca obok przechyliła się, chlupnęło i nafta spłynęła w dół. Wąski strumyk rozszerzył się na białym głazie i zalał owadzie tyraliery ciemną, tłustą plamą... Mrówki ślizgały się i grzęzły w lepkim płynie, przewracały się i przebierały w powietrzu sztywnymi nóżkami. Białe źdźbło pierwszej pochyliło się jak sztandar, zsunęło niżej i uwięzło w szczelinie...

Wiatr przyniósł zapach słonego piachu. W rozpadlinie zerwały się tumany. Słone ziarna wzbijały się i dolatywały aż tu, na samą krawędź urwiska. Ludzie byli straszliwie zmęczeni po całonocnym marszu: marzyli o jednym — zasnąć... Leżeli pokotem na nagrzannej skale i patrzyli w niebo.

Twierdza El Ebro szybowała nad nimi powoli jak gigantyczny okręt. Dziewięciocalowe działa okręcały się powoli na obrotowych wieżach... Lufy jak palce wielkiej dłoni wymacywały złote przestrzenie nad bastionami tonącymi w cieniu... Bramy z czarnej stali

ciemniały za falującą pajęczyną siatek ochronnych. Po ukośnych tarasach krążyły pancerne wozy z rozwidlonymi antenami, jak wielkie, powolne owady. Zza plamistych blach błyskały szklane przyłbico... Wielolufowe platformy unosiły się w mosiężnych łożyskach i opadały ciężko. W wąskich strzelnicach świeciły ciemno szkła lornet... Mgliste ołowiane podjazdy iskrzyły się ruchomymi światłami...

Wiatr wzmagął się. Słońce zsunęło się nad płaskowyż — stalowe kopuły rozbłysły ciemnoczerwonym blaskiem, zakołysały się mury, wieże wygięły się jak odbicia w pofalowanym lustrze... Wielki bastion drgnął. Krawędzie strzelnic postrzępiły się, jakby je dotknął podskórny dreszcz... Potem ciemna owalna wieża wzbierająca wśród prześwietlonej czerwieni przechyliła się powoli i oderwała od czarnej podstawy. Poszybowała nisko nad horyzontem szarpana wirami piasku wznoszonymi przez rozpedzone powietrze...

W rozsuwającej się szczelinie zaświeciło zimne światło wieczornego nieba.

I wtedy Joachim zobaczył tamtych.

Poczuł, że za plecami dzieje się coś dziwnego, odwrócił głowę i spojrzał w stronę pustyni.

Nieznany oddział stał na kamiennej płycie urwiska.

Joachim nigdy nie widział takiej formacji. Pył wiszący w powietrzu przesłaniał nieruchome postacie. Na czarnych mundurach nie było żadnych dystynkcji, tylko srebrne naszywki na kołnierzach połyskiwały jak skrzela martwych ryb. Wiedział, że nie ma żadnych szans. Nie miał złudzeń. Powoli odbezpieczył broń. Nord przez chwilę nie rozumiał jego gestu. Potem obejrzał się i sięgnął po mauzer. Broń stuknęła o kamienie. Wiatr świstał w pęknięciach skały. Nikt się nie ruszał. Wszyscy patrzyli na jeźdźców stojących szerokim półkolem na tle szarzejącej pustyni. Nie było żadnych komend. Jeźdźcy wydobyli z olster krótkie karabiny i skierowali lufy w stronę leżących. Rozległa się salwa. Joachim kątem oka dostrzegł krew na ramieniu Norda. Krople prysnęły na skałę. Jeźdźcy powtórzyli salwę. Teraz poczuł gwałtowne szarpnięcie i palący ból pod obojczykiem. Krew buchnęła na dłoń. Patrzył na „czarnych” oczami, które przesłaniała ciemna mgła.

Zsiedli z koni. Oficer w kepi wyjął z kabury rewolwer z długą lufą i dobijał rannych. Joachim nie mógł oderwać od niego wzroku. Czuł, że zna tego człowieka, rozpoznawał znajome poruszenia rąk, przechylenia głowy, kształt ramion... Ale ból pogrążał go

w otępiającym zmęczeniu. Nie mógł powiązać wspomnień. Widział przed sobą kredowo białą twarz pod czarnym cieniem daszka.

Żołnierz podchodził coraz bliżej. Pochylił się nad Larsenem i czubkiem buta dotknął odsłoniętej skroni. Potem ruszył dalej. Szedł tak, jakby brodził w nieruchomej wodzie. Stał nad Ferrerim. Trącił nogą skurczone ciało. Podeszedł do Herniego. Wyciągnął sztywno napiętą rękę. Joachim nie słyszał strzału. Zobaczył tylko biały obłok wypryskujący z lufy. Wyglądało to tak, jakby z czarnej, lśniącej lunety wysypał się na twarz chłopca biały popiół. Żołnierz był coraz bliżej. Joachim zobaczył wpatrzony w siebie nieruchome oczy. Wydało mu się, że te oczy nie widzą go, że są wpatrzony gdzieś dalej, że wzrok przechodzi przez niego jak zimny promień i przenika gdzieś w głąb ziemi. To były oczy Ines.

Na zachodzie z jasnej szczeliny w obłokach wypłynął ciemny miecz.

Joachim poczuł na twarzy pierwsze słone krople.

Nad pustynią przetoczył się grzmot.





Nad rozlewiskiem przetoczył się przeciągły, urywany huk podobny do dźwięku żelaznej kuli pędzącej po dnie brukowanego tunelu. Gdzieś, między drzewami, przeleciały wydłużone, jaskrawożółte, oślepiające rozbłyski i znikły z sykiem w głębi mokradeł. Cofnął się za pień bagiennego drzewa, przywarł do skamieniałej kory, zmrużył oczy i obserwował las. Znowu zapadła ciemność i białawe kontury drzew słabo majaczyły nad czarną wodą. Wychylił się zza osłony: patrzył w stronę obozowiska. Ale nie dobiegł stamtąd żaden odgłos. Ciemność była nieruchoma.
